


H.M. WARD

Autorka  
bestsellerów  
„New York  
Timesa”

POWROTY DO DOMU  
WYDAJĄ SIĘ ŁATWE

# ZRANIENI 2

JEDNAK TAKIE NIE SĄ...

 editored

**H.M. Ward**

**Zranieni 2**

Tytuł oryginału: Damaged 2  
Tłumaczenie: Małgorzata Stefaniuk  
ISBN: 978-83-283-3091-7  
Copyright © 2013 by H.M. Ward

No part of this book may be reproduced, scanned, or distributed in any printed or electronic form.

Polish edition copyright © 2017 by Helion SA  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Wydawnictwo HELION  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to! » nasza społeczność](#)

## Rozdział 1.

Po wyjściu Sama Peter sięga po komórkę. Podnosi wzrok i napotyka moje spojrzenie. Wygląda, jakby serce utknęło mu w gardle. O czymś myśli, ale nie wiem, o czym. Spojrzenie szafirowych oczu opuszcza się, gdy Peter spogląda na telefon w jego dłoni.

— Wyjdźmy stąd, żebyś nie musiała być blisko Deana. Muszę gdzieś zadzwonić, ale potem omówimy szczegóły. Okej? — Kiedy wreszcie na mnie spogląda, odnoszę wrażenie, że czegoś mi nie mówi.

— Do kogo dzwonisz?

— Do brata. Chcę go o coś zapytać. — Peter gwałtownie się odwraca, na twarzy ma wyraz zdecydowania. Rysy mu tężeją; już nie wygląda jak mężczyzna, którego znam.

Nie czaję się przy drzwiach, nie zwlekam z wyjściem, żeby posłuchać rozmowy. Między Peterem i jego bratem coś jest, może jakieś stare urazy. Nie chcę utrudniać Peterowi życia. Może powinnam odejść? W końcu to nie jego walka, tylko moja. To, że poprzednim razem poniosłam porażkę, nie znaczy, że teraz dam sobie złożyć tyłek. Spoglądam na swoje dłonie, które całe są pokryte zadrapaniami. Niech to szlag. Nie wiem, co robić. Oglądam się na pokój.

Decyzja zostaje podjęta za mnie, gdy drzwi się otwierają i z pokoju wylania się Peter. Ma napięty kark i ramiona. Jego szczeka przesuwają się z boku na bok, jakby rozmowa, którą właśnie przeprowadził, mocno go wkurzyła. Jego oczy odrywają się od podłogi i napotykają moje.

— Mój brat to dupek.

Uśmiecham się.

— Tak jak mój.

Peter przez chwilę mi się przygląda, potem wzdycha. Przesuwa ręką po włosach i przeciąga się. Gniew, który przeświecał w jego oczach, znika, ale nie całkowicie.

— Muszę ci coś powiedzieć. — Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że czuję ucisk w żołądku. Ton, to, że odwraca wzrok, wywołują ciarki na moich plecach. Słowa wiszą w powietrzu niczym zły omen.

Peter bierze mnie za rękę i pociąga do kanapy. Na początku siedzimy obok siebie i Peter ściska moją rękę, ale jest tak, jakby nie mógł usiedzieć w bezruchu. Chwilę później jest już na nogach, zaczyna krążyć. Próbuje mi coś powiedzieć, ale nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Chrząka z rozdrażnieniem i zaciska szczękę. Kiedy się odwraca i na mnie patrzy, wiem, że coś jest nie tak.

Gapi się na mnie, ma rozchylone usta.

— Nie chciałem tego wyciągać, nie teraz, ale musisz się czegoś o mnie dowiedzieć. — Ciężko przetyka ślinę i odwraca wzrok.

Podnoszę się z kanapy i podchodzę do niego.

— Możesz mi powiedzieć wszystko. — Kiedy dotykam jego ramienia, Peter się wzdryga. Ruch jest bardzo słaby, ale wiele mówi. Zaczynam się denerwować. Dlaczego Peter się tak zachowuje? Próbuję go jakoś rozweselić.

— To chyba nie ty podrzuciłeś tę wiewiórkę na parapet pod okno tamtej łazienki, co?

Peter jest zaskoczony, prycha z rozbawieniem i ogląda się na mnie. Obejmuje mnie i przytula. Jest mi dobrze, czuję się bezpieczna. Cmoka mnie w czubek głowy.

— Słyszałaś kiedyś o rodzinie Ferro?

Jestem zdumiona pytaniem, ale kiwam głową na potwierdzenie.

— Jasne, kto nie słyszał?

— Opowiedz mi, co wiesz. — Odsuwam się i spoglądam mu w twarz, ale to niczego nie wyjaśnia.

Okej. Pytanie jest dziwaczne, ale mimo to odpowiadam:

— Cóż, mają więcej kasy niż Scrooge w swojej puszcze na pieniądze. Matka to twarda sztuka, ojciec ugania się za kobietami, co tydzień ma nową kochankę, a trzech synowie ciągle pakują się w kłopoty. O najmłodszym, Jonathanie, pisali nawet ostatnio w gazetach, że wykręcił coś głupiego, ale ludzie zapomną, omamieni jego urokiem... i wyglądem. Najstarszy brat, Sean, jest skłócony z rodzicami; przynajmniej tak piszą w gazetach. To samo się tyczy średniego brata. — Nie mam pojęcia, o co Peterowi może chodzić. Milknę i czekam, że może mi coś wyjaśni, ale on tego nie robi.

— Co jeszcze słyszałaś?

— Tak naprawdę to już nic. Prawdopodobnie to samo, co i ty.

— Wątpię, ale kontynuuj.

Posyłam mu zdziwione spojrzenie i szukam w pamięci więcej informacji.

— Najstarszy brat był oskarżony o zabicie żony. Długi czas mówiło się o nim w wiadomościach, do czasu aż się wykaraskał z kłopotów. Potem Sean opuścił rodzinę, a tym samym majątek. Prasa zaczęła mówić o klątwie fortuny Ferro, czy coś w tym stylu. Po odejściu najstarszego brata następnym w kolejce dziedzicem majątku został Peter Ferro. Kilka tygodni później oświadczył się narzeczonej w Rockefeller Center i... — Przystaję mówić. Robię wielkie oczy.

Uścisk Petera na mojej dłoni się wzmaga.

— Mów, Sidney. Dokończ opowieść.

Z trudem przelykam ślinę i kontynuuję, bo to przecież niemożliwe — pomimo szokujących podobieństw.

— I kobieta została zabita. Peter dostał pchnięcie w bok. Przez jakiś czas nie mógł znaleźć dla siebie miejsca, dryfował, nic go nie interesowało, aż pewnego dnia zniknął. Porzucił fortunę Ferro.

Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, uświadamiam sobie, że to jest historia Petera. Moja broda drży, nie wiem, co mam o tym myśleć. Część mnie chce nakrzyczeć na Petera, że mi nie powiedział, że jest pieprzonym Peterem Ferro, ale inna część jest wystraszona. Bracia Ferro są sławni, a Peter jest jednym z braci. Stoję tam, milcząc, aż wreszcie mamroczę:

— Jesteś Peterem Ferro.

Przygląda mi się; jego szafirowe oczy są wlepione w moje. Wolno kiwa głową. Pociera kciukiem wierzch mojej dłoni.

— Taa, jestem. — Mrugam; jestem zbyt zaszokowana, żeby coś powiedzieć. — Nie rozpowiadam o tym wszem i wobec. To część mojej przeszłości, Sidney. Kiedy straciłem Ginę, porzuciłem wszystko. Sean odszedł, a moi rodzice nie są specjalnie pomocni. Matka na wszystko ma jedną receptę: wizytę u psychologa. Próbowałem tego. Uznałem, że najlepszym sposobem na ruszenie naprzód będzie nowy początek, więc tak zrobiłem. Przybrałem nazwisko Giny i dokończyłem doktorat. — Wzrusza ramionami, jakby to nie była wielka sprawa. — Potem przyjechałem tutaj i spotkałem ciebie.

— Jesteś bratem Seana Ferro? — Kiwa głową. Mam wrażenie, jakbym zagubiła się w jakimś śnie i że sen wciąga mnie głębiej i głębiej. — Jak... jak mogłeś...? — Tracę odwagę. Nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę powiedzieć tego, co mi przelatuje przez głowę. Jak mogłeś pomóc w zatuszowaniu morderstwa? Jak możesz być spokrewniony z kimś takim? Jak możesz być Peterem Ferro, uwodzicielem, który jest tak bardzo podobny do swojego ojca?

Plotka niosła, że Peter nie kochał Giny, że to był związek czysto biznesowy, ale to nieprawda. Peter kochał narzeczoną. Słyszę to w jego głosie. Tamta noc go prześladowa.

— Przepraszam, że mówię ci to dopiero teraz. Nie chciałem, żeby mnie znaleźli. Chciałem mieć szansę zacząć od nowa. Ty na pewno to zrozumiesz.

— To nie to samo. To, co ja zrobiłam, to nie to samo! Uciekłam od kogoś, kto mnie krzywdził. Jak mogłeś mu pomóc? — Jak mogłeś pomóc bratu zatuszować fakt, że maltretował żonę? Pytanie ciśnie mi się do ust, ale nie mogę go zadać, bo porusza sprawy, które są mi zbyt bliskie. Coś we mnie pęka. Czuję się oszukana, jakby Peter mnie wykiwał. Publiczny wizerunek Petera zupełnie nie przypomina mężczyzny, w którym się zakochałam. Jeden z nich jest falsyfikatem, ale nie wiem który. Serce zaczyna mi walić, zaczynam się bać, że straciłam Petera, że Peter nigdy nie był naprawdę mój — że mój Peter nie istnieje.

Wyrywam ręce z jego uścisku i zaczynam się cofać. Wyraz na jego twarzy nie niesie pocieszenia. Peter nie wyprowadza mnie z błędu, przez co jest jeszcze gorzej.

— Kim jesteś? Czy ja cię w ogóle znam?

— Sidney, znasz mnie...

— Więc dlaczego czuję się tak, jakbym nie znała? Dlaczego czuję się tak, jakbyś przez cały czas mnie oszukiwał? — Łzy kłują mnie w oczy, ale nie pozwalam im popłynąć. Muszę się zastanowić. Muszę odejść.

Peter rzuca się przede mnie, blokuje drzwi.

— Nie mogę ci pozwolić odejść. Nie, gdy na zewnątrz czeka na ciebie Dean.

— Uważasz, że naprawdę tutaj jestem bezpieczniejsza?

Peter wzdryga się, jakbym go uderzyła. Odsuwa się od drzwi i otwiera je.

— Wiesz, kim jestem, lepiej niż ktokolwiek inny. Nazwisko nie ma znaczenia, nie dla mnie. Jeśli uważasz, że zwodziłem cię we wszystkim, że od początku cię okłamywałem, to wyjdź przez te drzwi i nie wracaj. — Przymruża oczy, czekając na moją decyzję.

Nie wiem, co mam myśleć, i nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedział. Odzywam się, nie uświadamiając sobie, co mówię. Powoduje mną instynkt płynący z głębi brzucha, a w tej chwili mój brzuch czuje się tak, jakbym przez dwadzieścia lat kręciła się na karuzeli.

— Nazwiska się liczą, Peter, inaczej nie ukrywałbyś przede mną swojego. Nie jesteś tym, kim myślałam, że jesteś. Nawet nie mogę... — Kręcę głową i przeciskam się obok niego.

Wychodzę z pokoju i zbiegam po schodach. Nie zatrzymuję się. Peter woła mnie z góry. Wskakuję do samochodu i wyjeżdżam z parkingu najszybciej, jak mogę. Muszę pomyśleć, ale nie potrafię. Wszystko, co wiem o Peterze Ferro, zderza się z tym, co wiem o Peterze Granzie. Nic do siebie nie pasuje — nie ma wątku przewodniego, żadnej ciągłości. Myśli mi wirują, umysł szuka związków — czegokolwiek — gdy nagle zaczepia się o coś, co Peter zrobił. Wtedy myślałam, że to było dobre, ale to łączy Petera z jego przeszłością. Chodzi o groźby, które szeptał do Sama, i o to, że mój brat zbladł wtedy jak prześcieradło. Myśl o tym, do czego zdolna jest rodzina Ferro, co już robiła, sprawia, że mój płacz zamienia się w głośnie zawrodoenie.

Zjeżdżam na jakiś parking i walę rękami w kierownicę. Następny oszust. Następny mężczyzna, który pozwolił mi myśleć, że jest tym, za kogo się podaje, a potem się okazuje, że jest kimś zupełnie innym. Czuję się tak, jakby ktoś wyrwał mi serce z piersi. Nie mogę oddychać. Odchylam głowę w tył i zaczynam krzyczeć. Gdyby Peter wymienił każde inne nazwisko, byłabym głupia, gdybym odeszła — ale on powiedział „Ferro”. Ta rodzina jest tak strasznie pokręcona. Co nie znaczy, że żał mi Petera; raczej czuję się zmanipulowana. Peter mnie wykorzystał. Utkął się z kłamstw, a ja tkwiłam w samym jej środku.

Peter okłamywał wszystkich w każdej sprawie. Ciekawe, czy Strict-land wie, kim Peter naprawdę jest, czy połapała się, kiedy go zatrudniała. Ja nigdy bym się nie domyśliła, że Granz i Ferro to jedna i ta sama osoba. Peter Ferro, jakiego zapamiętałam z telewizji, w której ciągle go pokazywano, był opryskliwy, zupełnie

niepodobny do mężczyzny, z którym spędziłam ostatnie trzy miesiące.

Kończę z tym, kończę z nim. Nie zniosę tego bólu.

Nie mogę.

Nie chcę.



## Rozdział 2.

Kiedy podjeżdżam pod akademik, Millie już czeka z moją spakowaną walizką. Podchodzi do samochodu, gdy tylko się zatrzymuję. Rzuca torbę na tylne siedzenie i mówi:

— Jesteś pewna, że chcesz jechać sama? — Z jej twarzy można wyczytać, że jest przejęta. Kiwam głową. Boję się odezwać. Nie mam do siebie zaufania. — Bo mogę z tobą jechać. Musiałabym tylko dokończyć pracę semestralną i możemy ruszać. Albo pojedziemy od razu, tylko poproszę profesora, żeby mi przełożył termin. Nie powinnaś być tam sama, nie teraz, kiedy twoja mama jest chora.

— Już jeździłam sama do domu. Dam sobie radę, Millie. Skończ semestr i dobrze się baw z Brentem.

Millie ma otwarte usta, ale nic nie mówi. Potem się odzywa, a mnie nagła zmiana tematu zupełnie zbija z tropu.

— A gdzie doktor Granz?

— Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. — Mocniej zaciskam dłonie na kierownicy.

— Co mam mu powiedzieć, kiedy przyjedzie i będzie cię szukał?

Zerkam na Millie podejrzliwie.

— Szukał? Skąd pomyśł, że tu przyjedzie?

— Brent był wczoraj wieczorem z chłopakami na boisku. Mówił, że coś się tam stało, że doktor Granz tam był. Podobno wdał się w bójkę. — Millie ciężko przełyka ślinę. — Gadają, że ty byłaś jej powodem.

Łapię się za głowę obydwoma rękami i zaciskam oczy. Odcinam się od światła, widoku akademika, od hałasu i staram się, żeby to wszystko ode mnie odpłynęło. To oczywiste, że ludzie będą tak myśleli. Wszyscy uważają, że cały rok pieprzyłam się ze swoim wykładowcą. W porządku. Co mi tam.

— Sidney... — rzuca niepewnie Millie.

Przerywam jej i przez okno łapię ją za ręce. To normalny gest, robię tak zawsze, gdy mam jej do powiedzenia coś ważnego i chcę, żeby Millie się skupiła. Wykonuję ten gest automatycznie, bez zastanowienia.

— To nie było tak, okej? Wierz, w co chcesz, ale to nie było... — Słowa utykają mi w gardle, gdy Millie chwyta mnie za nadgarstki i przekręca moje dłonie.

W jej oczach maluje się wymowny wyraz, gdy na mnie spogląda.

— Sidney, co się stało? To wygląda, jakbyś próbowała gołymi rękami przedrzeć się przez ceglany mur.

Wyszarpuję ręce i strzepuję włosy z twarzy.

— Nic się nie stało. — Zaciskam zęby. Mam ochotę odjechać. Nie chcę o tym mówić. Nie chcę niczego Millie opowiadać. Nie istnieje jedno wytłumaczenie. Każda odpowiedź rodzi dwadzieścia nowych pytań, a ja nie chcę, żeby Millie

wiedziała, co Dean mi zrobił.

— To nie jest „nic”.

— Przewróciłam się, okej? Wczoraj wieczorem, po angielskim.

— Więc co z Granzem? Ludzie mówią, że on...

— Millie — znowu jej przerywam. — Muszę jechać. Zadzwoń i wszystko ci opowiem, okej?

Kiwa głową, przez co jej blond loki podskakują w górę i w dół.

— Okej, ale uważam, że robisz głupio. — Stwierdzenie jest ogólne, jakbym postępowała głupio w wielu sprawach.

— Też będę za tobą tęskniła. Do zobaczenia w sesji letniej, okej? — Millie kiwa głową i odstępuje od samochodu. Tego lata mamy razem wziąć udział w zajęciach z feminizmu. Błagałam Millie, żeby się ze mną na nie zapisała, a to znaczy, że jeśli w ciągu dwudziestu dwóch dni nie wrócę, Millie mnie zabije.

— Mam nadzieję. Inaczej zamienię się w feminazistkę i zrobię z ciebie swoją suczkę. — Mruga do mnie w ten charakterystycznie południowy sposób, który odziera słowa z wszelkiej złośliwości.

Chce mi się śmiać.

— Wrócę na pewno. I zadzwonię do ciebie z drogi.

— W porządku, tylko nie pisz SMS-ów, kiedy będziesz jechała stową. Nie chcę potem pisać w mowie pośmiertnej, że czasami naprawdę głupio postępowałaś. I, Sidney...

Powstrzymuję chęć przewrócenia oczami.

— No?

— Chyba wiesz, że cokolwiek by się z tobą działo, zawsze masz mnie po swojej stronie?

Och, kurde. Millie robi wielkie sarnie oczy. Z powodu moich podrapanych dłoni i plotek na temat Petera domyśla się, że coś jest na rzeczy.

— No już dobrze — mamroczę. — Wsiadaj, ale jak będziesz co pięć minut chciała się zatrzymać, żeby się wysikać, zostawię cię na poboczu. — Millie piszczy z radości i pakuje się na przednie siedzenie. — Nie potrzebujesz ciuchów?

— Phi. — Macha ręką i szczyrzy do mnie zęby. — Są już w walizce. Poważnie myślałaś, że pozwolę ci pojechać samej? Oprzytomniej, dziewczyno. — Karcąc mnie spojrzeniem, Millie zapina pas.

— Fajna nawijka z lat dziewięćdziesiątych.

— Wypchaj się.

Obie wybuchamy śmiechem, a ja odjeżdżam. Jestem wyczerpana emocjonalnie i naprawdę mam ochotę być sama, ale Millie ma rację — nie powinnam mierzyć się z tym w pojedynkę. Może jej obecność mi pomoże.

To dziwne — jeszcze niedawno to małe miasteczko było moim schronieniem, ale teraz się w nim duszę. Chcę się znaleźć jak najdalej od Petera.

Kiedy o nim myślę, skręca mnie w żołądku. Nie mogę uwierzyć, że jest Ferro. Nie mogę uwierzyć, że moje życie znowu tak szybko się pogmatwało. A myślałam, że spotkanie z Deanem to było coś najgorszego. Nie mogę się doczekać, aż dotrzemy do międzystanowej i zostawię to miasto w cholere za sobą.

### Rozdział 3.

Między uczelnią a następnym miastem rozciąga się długi pas nicości. Prowadzę, pogrążona w myślach, aż w końcu Millie przerywa ciszę pytaniem:

— No więc jak, powiesz mi, co się wczoraj wydarzyło?

Zerkam na nią kątem oka.

— Naprawdę nie chcę o tym mówić.

— W porządku, więc powiedz mi coś innego. Co jest między tobą i gorącym profesorkiem? Chodzi mi o to, że...

— O Jezu! — Przewracam oczami. Nie mogę się powstrzymać. Zaciskając mocno ręce na kierownicy, szybko myślę. Może po prostu powinnam jej powiedzieć. To lepsze niż rozmowa o Peterze. Niech go szlag. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie okłamał. Wzdycham z poirytowaniem.

— Okej. Wczoraj wieczorem pojawił się mój pieprzony były chłopak i chciał mnie zaciągnąć do swojego samochodu. Przewróciłam się i się okazało, że asfalt na parkingu i moje ręce to nie jest dobrana para, okej?

Millie rozdziawia usta.

— Nie, cholera, nie okej. Jaki były chłopak? I dlaczego chciał cię wciągnąć do swojego samochodu? — Zasypuje mnie tysiącem kolejnych pytań, aż wreszcie jej przerywam:

— Dean. Chodziliśmy ze sobą w liceum. Chociaż „chodziliśmy” to nieodpowiednie określenie. — Ciężko przelykam ślinę. Mam straszliwie zaciśnięte gardło. Powracają wspomnienia i tylko to mogę zrobić, żeby je upchnąć i kontrolować głos. — Dean mnie zgwałcił. Nie chcę o tym mówić, ale pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. — Bardzo prawdopodobne, że Dean i Sam jadą z Teksasu tą samą szosą, chyba że wybrali wiejską drogę, co jest wątpliwe.

Millie ma nadal rozdziawione usta. Powoli je przymyka, a jej oczy robią się szkliste. Kładzie mi rękę na ramieniu.

— Sidney, nie miałam pojęcia...

Jeśli zaczniesz płakać, ja też się rozryczę. Zwracam się do niej ostro, chociaż nie mam takiego zamiaru:

— Nie przepraszaj. Nienawidzę, kiedy ludzie przepraszają. To nic nie zmieni. Właśnie dlatego nigdy o tym nie mówię, kapujesz? — Wygląda tak, jakbym jej przyłożyła deskę w twarz, siedzi sztywno i kiwa głową na znak, że rozumie. — Sorry, Millie. Ale nie wiem, co mam robić. Dean był dla mnie wszystkim. Myślałam, że mnie kocha. Nie wiem, co się stało. Na początku było świetnie, a potem nagle wszystko się popsuło. Może to zabrzmie głupio, ale nawet nie byłam pewna, czy to się naprawdę wydarzyło. Dopiero później to do mnie dotarło. Wczoraj, kiedy Dean mnie odnalazł, był z moim bratem. Powiedziałam rodzinie, co się stało, ale mi nie uwierzyli. — Zastanawiam się, czy Millie mi

wierzy. Ta myśl sprawia, że się zamykam. Nie potrafię się uzewnętrznić przed ludźmi, którzy nie mają we mnie wiary. Nie potrafię im zaufać. Nie po tym wszystkim, co się stało. Mam uczucie, jakby na moich piersiach leżał worek piasku. Ledwie mogę oddychać.

Millie smutno się do mnie uśmiecha i odwraca wzrok w stronę bocznej szyby.

— Trochę wiem, o czym mówisz. To nie do końca to samo, ale ja też miałam chłopaka, kiedy przyjechałam na uczelnię. Chciał za dużo i za szybko. Nie chciałam iść dalej, ale on mi nie pozwolił przerwać. — Millie się krzywi, a ja się domyślam, że przypomina sobie zajście.

— Uff, Millie. To dokładnie to samo, chyba że nie mówiłaś mu, żeby przestał.

— Mówiłam. — Millie znowu milknie.

Mam ochotę w coś wałnąć. Nie mogę uwierzyć, że to się jej przytrafiło. Cały ten czas myślałam, że jestem osamotniona. Tylko nie rozumiem, że Millie może tak flirtować i zachowywać się, jakby nic się nie stało. Ja reaguję tak, że się zamykam w sobie i odpycham ludzi. Chcę zachować od nich bezpieczny dystans. A Millie ciągle się śmieje, chichocze. Zachowuje się tak, jakby nic złego jej nigdy nie spotkało. A niech to szlag, błędnie ją odbierałam? Cisną mi się do ust słowa współczucia, ale nic nie mówię, bo sama nie lubię, kiedy ktoś mi współczuje.

— Spotykałaś się z nim potem?

— Nie. Uznał, że nie jestem warta zachodu.

— Co za duppek. Zgłosiłaś to?

Rzuca mi spojrzenie, jakbym była walnięta.

— I co miałabym powiedzieć? Że prawie się przespałam z chłopakiem, który postanowił, że mnie przeleci? Nie, nie zgłosiłam. To była moja wina. Mogłam się z nim nie umawiać. Sprowokowałam go.

— Millie, ty mówisz poważnie? To nie była twoja wina. Jakim cudem miałyby to być twoja wina?

Uśmiecha się łagodnie i zerka na mnie kątem oka.

— Naprawdę muszę ci tłumaczyć? Przecież wiesz, jak jest. Logika w takich sytuacjach niespecjalnie bierze górę. Łatwiej uznać, że samemu się popełniło błąd, niż... — Potrząsa głową i wygląda przez okno.

Przez chwilę milczę. Moja relacja z Millie uległa kompletnej przemianie. Ona rozumie mnie w sposób, w jaki nikt inny nie jest w stanie mnie zrozumieć.

— Wiem, co masz na myśli. Jeszcze trudniej jest przyznać, że ktoś człowieka tak obezwładnił. Kiedyś myślałam, że kobiety i mężczyźni są sobie równi w każdym względzie, dopóki nie stało się to, co się stało. Moja mama uwielbia Deana, więc odwróciła wzrok. Cała moja rodzina wolала udawać, że nic się nie stało. Brat uważał, że w ten sposób próbuję zwrócić na siebie uwagę. Ale

dzisiaj rano Sam chyba zaczął mieć wątpliwości, chyba dotarło do niego, że mogłam mówić prawdę.

— Co w nim wywołało te wątpliwości?

— Peter. Peter ma dar mówienia pewnych rzeczy. — Peter Ferro, nie mój cudowny Peter Granz. Peter Granz nie istnieje.

Czuję, że Millie mi się przygląda, więc zerkam na nią.

— Nieźle cię wzięło.

— Co? — Wiercę się na siedzeniu i wybucham nerwowym śmiechem. — Ja nie...

— Możesz sobie zaprzeczać, ale jesteś poważnie zadurzona w profesorku Peterze. Panu Kochasiu. Panu Seksowny Tyłeczek. — Posyła mi sprośny uśmiezek i wykonuje dłonią nieprzyzwoity gest.

— Millie! Nie wierzę, że to zrobiłaś!

Millie śmieje się histerycznie i nachyla do drzwi.

— Dziewczyno, chyba wiesz, że kończy ci się benzyna?

— Planowałam zatankować, kiedy dojedziemy do Dallas.

— No nie wiem. Ja nie będę nas pchała, jeśli staniemy. Lepiej zatrzymaj się na następnym zjeździe. Poza tym coś bym zjadła. Umieram z głodu. Nie byłam na lunchu, żeby nie pozwolić mojej szalonej współlokatorce jechać samej przez cały kraj. To taka wariatka, nawet nie masz pojęcia.

— I musisz się wysikać.

— I może jeszcze przypudrować nos. Jesteś taka prostacka, Sidney.

— Staram się.

Kręcę głową i zjeżdżam z międzystanowej. Droga między uczelnią a Dallas to płaski, martwy teren, gdzieś tylko pasą się krowy, a z szarej ziemi wyrastają drzewa jadłoszynu z ich gałęziami wyglądającymi jak uschnięte palce. Stacji jest niewiele, a ja nie mam pełnego baku, więc dochodzę do wniosku, że Millie ma rację, i zjeżdżam z szosy. Pchanie samochodu w upale to żadna przyjemność.

Zajeżdżamy pod stację benzynową, która wygląda, jakby miała ze sto lat. W dystrybutorach nie ma czytników kart, więc muszę wejść do środka.

— A miałam zapłacić przy dystrybutorze — mamrocę ze złością i podążam za Millie do wejścia.

Millie przyspiesza kroku i ustawia się w kolejce do toalety. Wnętrze stacji ma niby wyglądać na rustykalne, ale jak dla mnie jest tu po prostu brudno. Na środku stoją regały z żywnością i dystrybutor z napojami. Za kasą siedzi wiekowy sprzedawca z ogromnymi zawiniętymi wąsiskami. Mężczyzna nawet nie mrugnie okiem, więc się zastanawiam, czy przypadkiem nie śpi z otwartymi oczami.

Po podejściu do lady podnoszę wzrok i szybko się rozglądam. Widzę kobietę kupującą pieczywo, a za nią, rząd dalej, stoi jeszcze jedna osoba. Nasze spojrzenia

się spotykają, zauważamy się w tym samym momencie. Serce zaczyna mi walić, żołądek się zaciska.

W tym momencie wszystko się zmienia.

## Rozdział 4.

Zawsze gdy kładłam się spać, prześladowały mnie te zielone oczy. Czuję, że moje ciało tężeje. Zapamiętało, co Dean mi zrobił, i reaguje nawet na najdrobniejsze skojarzenie. Dean posyła mi ten uśmiech, ten wyzywający, czarujący. Obchodzi regał i podchodzi do mnie. Zastygam w miejscu. Jakbym znowu przeżywała wczorajszy wieczór. Szok, że go spotykam niespodziewanie, zupełnie mnie paraliżuje. Przecież na tej stacji nikt się nigdy nie zatrzymuje. Jest zbyt blisko miasta, ale mój brat i Dean o tym nie wiedzą.

Puls bije mi szybciej z każdym krokiem Deana. Palce mnie mrowią, mięśnie tężeją, szykują się do walki. Ale Dean nie chce kłótni, przynajmniej nie w publicznym miejscu jak to. Dokoła jest zbyt wielu ludzi. Wątpię, że Dean cokolwiek zrobi. Wydaje się, że zamienia się w potwora tylko nocą, chociaż jestem pewna, że gdyby mógł mnie dorwać samą, to z radością nawet teraz wróciłby do tego, na czym wczoraj przerwał.

Dean zatrzymuje się przede mną.

— Hej, mała. — Wygląda tak cholernie normalnie. Na jego twarzy nie ma nic, co by wskazywało, że jest inaczej. Żałuję, że tak jest. Żałuję, że wcześniej tego nie wiedziałam.

Ludzie bywają dwulicowi. Przez głowę przelatuje mi wspomnienie twarzy Petera. Pieprzę ich. Nie potrzebuję nikogo.

Zbieram się w sobie. Gniew mnie uwalnia, strach znika.

— Nie mów do mnie „mała” i jeśli zrobisz jeszcze jeden krok bliżej...

Dean uśmiecha się półgębkiem i daje krok.

— To co, Sidney? Daj spokój, Sidney. Oboje wiemy, że nic nie zrobisz. — Prawie dyszy mi w twarz. Kładzie mi rękę na biodrze i nachyla się, żeby szepnąć do ucha: — Zaczekaj tylko, jak dotrzemy do domu i będziemy sami. Nauczyłem się kilku nowych sztuczek, kiedy cię nie było. — Odsuwa się, a ja jestem sparaliżowana. Moje ciało pokrywa się warstwą lodowatego potu, a oddech rzeźmi mi w gardle. Millie mnie ratuje. Wyskakuje zza moich pleców z paczką chipsów w jednej ręce i wielkim kubkiem herbaty w drugiej.

— Przestań podrywać przystojnych facetów na stacji benzynowej. Już ci mówiłam, że tacy nie lubią jazdy w bagażniku. — Spogląda na Deana i nie odwraca wzroku, mówiąc do mnie: — Łopata będzie go waliła w głowę na każdym wyboju.

Kiwam głową, jakby mówiła z sensem. Millie łapie mnie za ramię i nadal gada, ale to spojrzenie w oczach Deana mnie przeraża. Ledwie oddycham, gdy stoimy w kolejce, żeby zapłacić za smakołyki w rękach Millie. Millie nachyla się do mnie i głośno śmieje, jakbym powiedziała jakiś żart. Jest zdenerwowana. Ma napięty głos. Chyba się domyśliła, o co chodzi, chociaż nic jej nie mówiłam.



— To on, prawda? Chłopak z wczoraj? — Przytakuję ruchem głowy i uśmiecham się do niej. Przynajmniej próbuję się uśmiechnąć. Mam wrażenie, że moją twarz pokrywa tygodniowy makijaż, który stwardniał na plastik. Millie znów się śmieje i znowu się do mnie nachyla. — Płaćmy i znikajmy stąd w cholere.

Kolejka porusza się wolno, bo nikomu się nie spieszy. Dostaję od tego szału. Po naszym wejściu na stacji zmaterializowało się mnóstwo ludzi, którzy wyprzedzili nas w kolejce do kasy. Millie nie przestaje paplać, ja rozglądam się, szukając Sama. Nigdzie go nie widać. Kątem oka szukam Deana. Czuję jego spojrzenie na karku, ale go nie widzę — musiałabym się odwrócić. Nie chcę tego robić.

W końcu nadchodzi nasza kolej. Millie kładzie zakupy na ladzie i gość z wąsikami nas kasuje. Millie płaci. Idziemy do wyjścia. Oglądam się przez ramię i widzę, że Dean nas obserwuje. Trzyma ręce w kieszeniach i stoi przed sklepem w cieniu. Macha do mnie.

— Do szybkiego zobaczenia, Sid! Już nie mogę się doczekać! — woła, kiedy wsiadam do samochodu.

Millie w końcu przestaje udawać, że nic się nie dzieje.

— Włączaj silnik i odjeżdżamy. On się na ciebie gapi.

Wpycham kluczyk do stacyjki i przekręcam. Silnik nie reaguje. Zaciskam zęby. Millie też się orientuje, co się stało.

— Zrobił coś z samochodem.

Znowu próbuję zapalić, ale silnik nie ma mocy. Mam skurczony przełyk i gęsią skórę na rękach, mimo że jest gorąco jak w piekle. Czuję się bezpieczniej wewnątrz samochodu. Nie chcę wysiadać, ale muszę zajrzeć pod maskę. Mam wrażenie, jakbym była w transie. Świat już nie wiruje. Czas się zatrzymał. Nie chcę się tak czuć i jedynym sposobem, żeby to zatrzymać, jest znalezienie się jak najdalej od Deana.

Otwieram drzwiczki i wsiadam. Millie też. Podnoszę maskę i przyglądam się akumulatorowi. Obluzowała się jedna klema. Przewód jest odłączony i leży na plastikowej obudowie akumulatora. Nagle czuję na szyi czyjś oddech. Potem słyszę głos Deana.

— Jakieś problemy z samochodem, Sid?

— Zostaw mnie w spokoju — warczę i odwracam się na pięcie. Idę do bagażnika po skrzynkę z narzędziami, żeby przykręcić klemę. Kto robi takie rzeczy?

Dean szczerzy się od ucha do ucha.

— Mogę to zrobić i postawię ślicznym paniąkom lunch, jeśli chcecie.

— Nie, nie chcemy. Odejdź. — Postanawiam go ignorować, ale Dean nie chce mnie zostawić. Ociera się o mnie, dotyka niby to przypadkowo. Idzie za mną na przód samochodu i wpycha się między mnie i Millie.

— Damy sobie radę — zapewnia Millie. — Możesz już odjeżdżać.

— Och, jak słodko. Twoja mała przyjaciółeczka myśli, że cię ochroni. A co się stało z nauczycielem?

— Odpierdol się, Dean. — Teraz już jestem wściekła. Nienawidzę go. Nienawidzę wszystkiego w nim, wszystkiego, co mi zrobił. Moje życie byłoby zupełnie inne, gdybym nie spotkała Deana. Przejechałabym go samochodem, gdyby to zmieniło przeszłość, ale nie zmieni.

Dean udaje, że jest urażony.

— Kto cię nauczył tak mówić? Takie brzydkie słowa w ustach takiej ślicznej dziewczyny. — Uśmiecha się szeroko. Millie prychnie z poirytowaniem. Dean ją ignoruje. Stoję z głową pod maską i czuję, że Dean kładzie mi ręce na plecach. Jego palce wsuwają się pod brzeg bluzki. Ich dotyk sprawia, że podskakuję.

W tej chwili już nie myślę, tylko działam impulsywnie. Podnoszę pięść i wrzeszczę:

— Zostaw mnie!

Dean się uśmiecha, zachowuje się tak, jakby to była zabawa, dopóki moja pięść nie łąduje na jego szczęce. Wtedy w jego oczach błyska gniew. Chwyta mnie za rękę. Klucz wypada mi z drugiej dłoni. Millie zaczyna krzyczeć, słychać też krzyk sprzedawcy.

Dean zaciska rękę na moim nadgarstku i zaczyna mnie ciągnąć przez plac.

— Ruszaj się, bo jeśli nie, to pożałujesz.

Próbuję oderwać jego palce, ale nie mam siły. Upadam na ziemię, niech mnie ciągnie. Dżinsy chronią mnie przed zadrapaniem. Nikt mi nie pomaga, no, nikt poza Millie, która rzuca się na Deana. Dean drze się, potem mnie puszcza. Mój nadgarstek w miejscu, gdzie mnie ścisnął, piecze jak cholera.

Podrywam się na nogi i widzę, że Dean wyrzywa coś z rąk Millie i rzuca to coś na ziemię. Millie schyla się, ale Dean tak mocno ją popycha, że ta się przewraca. I krzyczy. Starszy pan ze stacji też krzyczy. A Dean stoi przede mną i wygląda na naprawdę wkurzonego.

— Pakuj się do pieprzonej furgonetki. Już.

Ktoś krzyczy, że trzeba wezwać policję. To kobieta od chleba. Podchodzi do nas, ale jest zbyt stara i mała, żeby coś zrobić.

— Lepiej stąd odjedź, chłopcze.

Dean spluwa w jej kierunku. Kobieta się odsuwa. Dean syczy:

— Niech pani idzie do środka i się nie wtrąca. To sprawa rodzinna. — Mówi rozsądnie, ale zachowuje się jak szaleniec. Kobieta nie rusza się z miejsca.

Jestem taka spięta — mam wrażenie, że mięśnie zaraz mi popękają. To nowy poziom szaleństwa, nawet jak dla Deana.

— Sidney, przysięgam, że tego pożałujesz. Twoja matka poprosiła nas, żebyśmy cię sprowadzili, a ty się zachowujesz jak pieprzona dziwka... — Wyciąga

do mnie rękę, ale wtedy za naszymi plecami rozlega się gromki głos.

— Zostaw ją. — Wszyscy się odwracają. Spodziewam się, że ujrzę policjanta, ale to nie policjant. Gliny jeszcze nie przyjechały. To Peter, wygląda na krańcowo wkurzonego. Millie robi wielkie oczy, a jej głowa przekręca się w tył i w przód, gdy spogląda raz na Petera, raz na Deana. Częściowo odczuwam ulgę, że Peter się pojawił, ale jakaś cześć mnie nie wie, czy powinnam zaakceptować jego pomoc. Na szczęście nie muszę o tym decydować.

Dean myśli, że Peter to bojaźliwy profesorek z poprzedniego dnia. Nie zdaje sobie sprawy, że facet, który przed nim stoi, to Ferro. Gdyby wiedział, zwałby, gdzie pieprz rośnie. Bracia Ferro są gwałtowni, a Peter uczestniczył w większej liczbie bójek niż obaj jego bracia razem wzięci. Nie da się być takim bogatym i nie przyciągać uwagi mediów, gdy pięściami toruje się sobie drogę z Manhattanu na Fire Island. Wiele osób, wkurzonych lekkomyślnymi postępkami Petera, marzyło o jego upadku.

Dean staje przede mną. Jakby zagradzał dostęp do swojej własności.

— Wracaj do domu, profesorku, i zastanów się, za kogo się zabierasz, inaczej...

Peter nie zatrzymuje się. Przecina brudny parking, idzie prosto na Deana. Staje przed nim, robi zamach i wymierza cios. Uderzenie nie jest szczególnie mocne, ale Dean się go nie spodziewa. Jego głowa odskakuje w bok. Peter jakby tego nie widzi. Nie jest tą samą osobą, co poprzedniego wieczoru. Coś się zmieniło. Gdy bierze kolejny zamach, Dean zbiera się w sobie i rzuca na Petera. Uderza go barkiem w brzuch. Rozlega się głośne stęknienie, potem Peter szybko się prostuje i chwyta Deana za gardło. Przyciąga go do siebie tak, że jego usta prawie dotykają ucha Deana. Szepcząc słowa, których nie słyszę, Peter wzrok ma wbity we mnie. Oczy Deana zamieniają się w szparki. Peter nadal szepcze mu do ucha groźby... prawdopodobnie te same, od których mój brat pobladł jak ściana.

Gorący wiatr rozwiewa mi włosy. Poprawiam je, nie przestając obserwować Petera i Deana. Nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Mięśnie Petera są zbite jak postronki. Jego koszula lepi mu się do ciała, po skroniach spływają krople potu. Spojrzenie, jakie mi rzuca, mówi samo za siebie, ale ta wersja Petera mnie przeraża. Zeszłego wieczoru Peter nie chciał się bić. Muszę się dowiedzieć, dlaczego tak było. Sądziłam, że nie jest osobą, która potrafi się bić, ale teraz już tak nie myślę. Peter Ferro potrafi obronić siebie i każdego, na kim mu zależy. Nasze spojrzenia się spotykają. Patrzymy na siebie tylko chwilę, ale ja mam wrażenie, że trwa to wieczność.

I właśnie wtedy słyszę szcęk odbezpieczanej broni. Odwracam się w kierunku, skąd dochodzi odgłos. Starszy pan z wariackimi wąsami stoi przed sklepem z dubeltówką w rękach. Podnosi ją i celuje w Deana i Petera. Potem spluwa i rzeżącym głosem mówi:

— Wynoście się z tymi głupotami gdzie indziej. I to już.

Peter wygląda na wkurzonego, ale wypuszcza Deana. Obaj odstepują od siebie, ale spojrzenia, jakimi się obdzielają, mówią, że mają ochotę się pozabijać.

Dean wycofuje się z rękami w górze.

— Nie potrzebuję tego gówna. — Odchodzi przez parking i wsiada do furgonetki. Silnik startuje i Dean odjeżdża. Odprowadzam go wzrokiem, zastanawiając się, gdzie w trakcie całego zajścia był mój brat.

Peter i Millie stają po obu moich stronach. Zerkają na siebie, potem starszy pan opuszcza broń i podchodzi do nas.

— Nie chcę tu więcej żadnych kłopotów. Nie jesteście tu mile widziani. Proszę odjechać.

Millie szeroko otwiera usta.

— Ale przecież...

Peter kręci głową, dając jej znać, żeby się zamknęła. Jest uprzejmy w stosunku do staruszka z dubeltówką.

— Bardzo przepraszamy — mówi, po czym zerka na Millie i dodaje: — Zatrzymaj się na najbliższym postoju. Pojadę za wami.

Nie oponuję. Łapię Millie za ramię i popycham ją do samochodu. Starszy pan patrzy na mnie tak, jakbym to ja była winna wszystkiemu, co się tu wydarzyło. Pod gardło podchodzi mi poczucie winy, bo gdzieś w głębi czuję, że staruszek ma rację.

## Rozdział 5.

Millie gapi się na mnie i ma tak szeroko otwarte usta, że widzę jej migdałki.

— Widziałaś to? Widziałaś doktora Petera Granza... pieprzonego profesorka od angielskiego... jak prał dupsko Deanowi? — Millie zakłada skręcone pasemko włosów za ucho. Ogląda się do tyłu, żeby spojrzeć na jadący za nami czarny samochód, i macha do Petera. Peter nie odmachuje. Na jego przystojnej twarzy widnieje grymas wściekłości. — Słyszałam, że wczoraj dał sobie skopać tyłek. To prawda? No bo nie łapię, co to było, to teraz? Pojawił się jak jakiś Rambo. Myślałam, że rozerwie Deana na strzępy.

— Wczoraj Peter nie chciał się bić. On nie jest... — Stękam ze złością. Ze znaków drogowych wynika, że do najbliższego postoju mamy zaledwie kilka mil. Nie chcę się zatrzymywać. Nie chcę rozmawiać z Peterem.

— Nie jest co? Bo to było tak niesamowite, że jeszcze nie ochłonęłam. Gość cię uratował! — Millie prostuje się w fotelu i się poprawia: — Nie, czekaj! Uratował cię dwukrotnie. Sidney...

— Millie, Peter nie jest tym, na kogo wygląda...

Millie znowu odwraca głowę. Na jej twarzy maluje się podziw, jakbym mówiła o facecie, przy którym wszyscy inni wyglądają jak mały.

— Wiem...

— Nie wiesz! Do cholery, Millie, skup się. — Millie przekręca głowę i spogląda na mnie, ale tak naprawdę mierzy mnie wzrokiem od stóp do głowy. Jestem tak wściekła, że mam ochotę wyrwać kierownicę i ją połamać. — Peter jest Peterem Ferro. Wiesz, co to znaczy?

Jej oczy powoli robią się wielkie jak spodki. Ogląda się i gapi na jadącego za nami mężczyznę.

— A niech mnie...

— Widzisz to? To oczywiste, kiedy się wie... czarne włosy Ferro, silna szczeka, oszalamiające niebieskie oczy i ten temperament. Wszyscy Ferro są z niego sławni, co uwielbiają podkreślać telewizyjne talk-showy.

Millie kiwa głową.

— Wygląda tak jak na zdjęciu, które widziałam. Wszyscy je widzieli. Peter Ferro to ciacho. Dlaczego udaje nauczyciela?

— Nie wiem, co on robi. Posłuchaj, nieważne, co będzie gadał na tym postoju, nie zostawiaj mnie z nim samej. Rozumiesz? Kiwnij i powiedz „tak”.

Millie kiwa głową i krzywo się do mnie uśmiecha.

— W porządku, tylko...

— Żadnych „tylko”. Powiedz „tak”. Nie obchodzi mnie, co on powie albo co będzie chciał, żebym zrobiła. Jeśli będzie mnie odciągał, masz się nie zgodzić. Nie zostawiaj mnie. — Jestem zdesperowana. Peter proponował, że ze mną pojedzie.

Chciał, żebym wezwała policję. Chciał mieć pewność, że będę bezpieczna, i znalazł mnie w takiej sytuacji: na parking, na jakimś pustkowi, ciągniętą przez Deana po asfalcie.

— Okej, okej. Nie zostawię cię, Jezu... — Na jej twarzy pojawia się przebiegły uśmieszek. — Wiesz, co mówią o Peterze Ferro; więc jak, to prawda, co mówią?

Zjeżdżam z międzystanowej i zwalniam. Przed nami jest zatoczka ze stołami piknikowymi i małym ceglany budynkiem z toaletami.

— Czyli co?

Millie chichocze i nachyla się do mnie. Zasłania dłonią usta, jakby była skrępowana.

— Jego mały... jest taki duży, jak mówią?

— Millie! — Wjeżdżam na parking i zatrzymuję auto.

— Nie mów, że o tym nie słyszałaś. Peter Ferro, superkochanek supermodelk i ich mamusiek, i przyjaciółek, i służby, i...

— Taa, łapię. Jest męską dziwką.

— Jest cholernie przystojną męską dziwką i przeleciał wszystkie babki od wybrzeża do wybrzeża. — Millie szczyrzy zęby niczym zadurzona nastolatka. Ogląda się na Petera.

— Zamknij się — warczę i wściekłym ruchem otwieram drzwiczki.

Millie wyskakuje z samochodu za mną. Kładzie ręce na dachu.

— Oooch! Super! Bronisz jego cnoty?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale Peter mi przerywa:

— Ja nie mam cnoty. — Szyba w jego oknie jest spuszczone. Słyszał Millie, gdy wjeżdżał na parking. Teraz wyłączył silnik i wysiadł. Twarz Millie robi się lekko czerwona. — Powiedziała ci, kim jestem? — Millie kiwa głową, ale nie patrzy na Petera.

Ten obchodzi samochód i idzie prosto do mnie. Ale nagle się zatrzymuje, jakby sobie przypomniał, co się między nami wydarzyło, gdy go opuściłam.

— Nic ci się nie stało?

Kręcę głową. Serce mi wali. Straciłam całą pewność siebie, co mnie doprowadza do szału. W myślach ryczę jak lwica, ale kiedy się odzywam, brzmię jak wylękniona myszka.

— Co ty tutaj robisz? Śledziłaś mnie?

Peter zaciska usta, a potem się do mnie uśmiecha, ale tak jakby był naprawdę wściekły.

— Tak, śledziłem. Nie sądziłem, że pojedziesz beze mnie. Nie sądziłem, że wyjdiesz w trakcie kłótni.

— Kłótnia była skończona. Powiedziałaś, że jeśli wyjdę, to mam nie wracać, więc nie wróciłam.

Peter przeciągle wypuszcza powietrze. Złość mu chyba przechodzi, bo patrzy na mnie z takim żalem, że mam ochotę do niego przywrzeć i roztopić się w jego objęciach. Peter przez chwilę mi się przygląda, potem zwraca się do Millie:

— Nie możesz nie pojawić się na egzaminach końcowych. Wracaj na uczelnię, zanim ktoś cię obleje.

— Ale sytuacja była wyjątkowa i...

— To się nie liczy. Nikt nie będzie słuchał, że chciałaś pomóc koleżance. Każdy wykładowca wstawi ci dwóję za nieobecność. — Peter rzuca Millie kluczyki do jego wozu. Millie je łapie. — Jedź moim samochodem. Ja pojedę z Sidney.

— Nie, nie pojedziesz. Millie ze mną jedzie, nie ty. — Splatam ręce na piersiach. Wypowiadając ostatnie dwa słowa, kręcę głową. Może i mieszkałam kilka lat w Teksasie, ale wciąż w każdym calu jestem dziewczyną z Jersey.

Peter prychnął i znowu zwraca się do Millie:

— Rzuć mi torbę z przedniego siedzenia. — Millie wykonuje polecenie. Wytrzeszczam na nią oczy i rozkładam dłonie. To gest mówiący: „Co ty, do cholery, robisz?”. I naprawdę tak myślę.

Millie promiennie się do mnie uśmiecha.

— Myślę, że tak będzie lepiej dla ciebie. Musisz jechać, a wygląda, że macie ze sobą do pogadania. — Mam ochotę ją zabić, ale jestem tak zaszokowana jej zdradą, że zapominam języka w gębie. Stoję tam tylko z rozdziawioną buzią i się gapię.

— A ty... — mówi Millie do Petera, podchodząc do niego i wbijając mu palec w pierś — jeśli ją skrzywdzisz... jeśli choćby dotkniesz palcem... wezmę strzelbę taty i cię zabiję. To obietnica, nie groźba. — Millie jest taka mała i ładna, że wygląda to tak, jakby Peterowi groziła lalka z porcelany.

Peter wyszczerza zęby.

— Przystaję na to. Możesz mnie zastrzelić, jeśli coś jej zrobię.

— Żebyś wiedział, że się nie zawaham. — Millie znowu na mnie spogląda. Jestem na nią tak wściekła, że nie mogę mówić. Mocno zaciskam ręce na piersiach. Millie wie, jak smakuje zdrada.

— Czasami potrzebujemy przyjaciół, Sidney. Nie zrobisz wszystkiego sama. Daj sobie pomoc, okej? — Nic na to nie odpowiadam. Millie krzywo się uśmiecha i wsiada do samochodu Petera, a potem odjeżdża, zostawiając mnie samą.

Peter stoi tuż przy mnie. Chwilę milczy, zaciskając zęby, potem rzuca krótko:

— Musimy pogadać.

— Nie mamy o czym — odburkuję.

## Rozdział 6.

Siedzę na miejscu pasażera i gapię się przez okno na nocne niebo. Czuję się jak emocjonalny wrak. To dziwne, ale sądziłam, że już odżałowałam i opłakałam moją matkę. Siedzę tam, a wspomnienia, nawet te najdawniejsze, przypadkowo wypływają na powierzchnię mojego umysłu. Tylko ramię śmierci było w stanie je uwolnić z banku pamięci. Widzę siebie na huśtawce i wiem, że nie mogę mieć więcej niż trzy lata. Mama popycha huśtawkę, a ja próbuję się obejrzeć, moje włosy wplątują się w oczka łańcucha. Czuję ostre szarpnięcie na skórze głowy, jakby to się działo teraz. Pamiętam, jak się rozplakałam i jaka byłam wystraszona. Mama wyplątała włosy i mnie przytuliła. To nie jest wspomnienie, które normalnie bym sobie przypomiwała, ale teraz wypływa. Matka mnie wtedy kochała. Zastanawiam się, co powie teraz, kiedy przyjadę do domu.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz, aż się wzdrygam. Jest późno, pora kolacji dawno już minęła. Rozcieram gęsią skórę na rękach, zarazem starając się unikać wzroku Petera. Nie odezwaliśmy się do siebie od chwili odjazdu z postoju. Czuję się tak strasznie przez niego zdradzona. I mam wrażenie, jakby nic nie chroniło mojego wnętrza. Spojrzenie Petera wręcz mnie parzy. Przez nie mam ochotę się przed nim otworzyć i wszystko z siebie wylać. Chcę odzyskać mojego Petera, ale jego już nie ma. Zresztą on nigdy nie istniał.

Po minięciu kilku zjazdów z autostrady Peter w końcu skręca. Jesteśmy w małym miasteczku w Tennessee. Okolica jest górzysta, zupełnie przeciwieństwo terenów w Teksasie, gdzie wszystko było płaskie jak patelnia. Wiercę się na siedzeniu i zerkam na Petera. Ma tę samą minę, co przez cały dzień. Nie umiem stwierdzić, czy jest zły, czy poirytowany.

*Mam to gdzieś.*

*Taa... powtarzaj to sobie.*

Peter zjeżdża na ciemny parking i podjeżdża przed wejście starego hotelu. Nad drzwiami świeci jedna żółta żarówka.

— Co robisz? — Nie chcę się tu zatrzymywać. Miejsce wygląda jak z filmów Hitchcocka.

— Musimy gdzieś przenocować, a to jedyny hotel, gdzie mają jeszcze wolne pokoje. — Peter widzi wyraz mojej twarzy i dodaje: — Nie martw się. Będzie dobrze. Już tu nocowałem. — Gasi silnik i wysiada. Potem obchodzi samochód, otwiera drzwi z mojej strony i wyciąga do mnie rękę, czekając aż wysiądę.

Nie chcę wysiadać, ale robię to. Ignoruję jednak wyciągniętą dłoń. Peter lekko potrząsa głową, potem przeciągając się, odchodzi. Koszula mu się podciąga, więc widzę kawałek jego pięknego ciała i miejsce z paskudną blizną. Jej widok sprawia, że zaczynam się zastanawiać. Peter potrafi się bić, ale wczoraj się powstrzymał. Jestem ciekawa, czy wdał się w walkę tej nocy, gdy dostał nożem w



bok. Coś mi mówi, że za tą historią kryje się coś więcej, coś głębszego, o czym mi nie opowiedział.

Peter wciska ręce w kieszenie dzinsów i ogląda się na mnie. Na twarz wypływa mu wyraz zdziwienia, gdy widzi, że się na niego gapię, ale nie komentuje tego.

— Chodź. Wynajmiemy pokój i coś zjemy. Cały dzień jedziemy na głodniaka, a jeśli miałbym zjeść kolejnego batonika...

— Zjadłeś wszystkie cztery godziny temu. — To pierwsze słowa, jakie do niego kieruję, odkąd opuściliśmy parking przy drodze. Uwaga jest uszczypliwa, ale żartobliwa. Przez chwilę jej żałuję, lecz potem sobie odpuszczam. Muszę postanowić, co mam zrobić z Peterem. Spoglądam na niego spod zasłony włosów, za którą cały dzień ukrywałam twarz. Chrzanię to. Takie karanie milczeniem jest wyczerpujące. Wyciągam gumkę z kieszeni i związuję włosy w kucyk. Pewnie część włosów sterczy mi z głowy jak rogi diabła, ale olewam to.

Peter idzie przodem i otwiera drzwi. Przytrzymuje je dla mnie i wchodzę do środka. Hotel naprawdę mnie przeraża. Peter wymija mnie w drodze do recepcji i wciska dzwonek. Z zaplecza wyłania się starsza kobieta, przygarbiona wiekiem. Kobieta poprawia okulary i ciepło uśmiecha się do Petera, jakby go znała.

— Peter Ferro. Nie myślałam, że znowu cię tu zobaczę. — Jej pomarszczone usta uśmiechają się ciepło do Petera, po czym kobieta spogląda na mnie. — Ten przystojny mężczyzna już tu kiedyś wynajmował pokój. Ferro wybrał mój motel, a nie żaden inny w okolicy. — Kobieta mówiąc to, pęka z dumy.

Peter uruchamia swój urok i posyła kobiecie swój najbardziej uwodzicielski uśmiech. Bierze ją za ręce i mówi:

— To dlatego, że ten motel jest najlepszy. Nie mogłem tędy przejeżdżać i się nie zatrzymać. — Przysięgłabym, że starsza pani się zarumieniła. Peter przed wypuszczeniem jej dłoni klepie ją po nich. — Co u pani słychać?

Kobieta wstydliwie się uśmiecha i prycha.

— Nie ma pan czasu wysłuchiwać gadaniny starej baby. Założę się, że umieracie z głodu. Proszę, to bon do restauracji, żebyście dostali kolację. W cenie każdego pokoju zawarty jest gorący posiłek. A tu jest klucz. — Staruszka wolno się obraca i zdejmuje klucz z tablicy za nią. Podając go, wyjaśnia: — To jedyny pokój, jaki mi został. Przykro mi.

Nie łąpię, o co chodzi, ale Peter chyba wie, o czym mowa.

— Jest w sam raz. Bardzo dziękujemy. — Podaje kobiecie kartę kredytową.

— Doba kończy się o dziewiątej rano, a ponieważ to apartament dla nowożeńców, to w cenie jest śniadanie do łóżka. O której chcielibyście, żeby zostało podane?

Zatyka mnie.

— Co? Nie możemy nocować w pokoju dla nowożeńców. — Podbiegam do

lady, jestem gotowa przez nią przeskoczyć, żeby się przekonać, czy nie ma innych opcji. — Na pewno ma pani inny pokój.

— Przykro mi, kochanie, ale nie ma. W mieście jest zjazd i wszystkie pokoje zostały wykupione. Ale ten apartament jest bardzo ładny.

— Ale to... — *Pokój do seksu! Dla szczęśliwych par, dla małżonków. Nie dla nas!* Nie mówię tego na głos, ale słowa niczym kule bilardowe tłuką mi się po głowie, roztrzaskując inne myśli. Instykt mi podpowiada, że muszę się trzymać z daleka od Petera. Tylko że nie mogę, dlatego jest jeszcze gorzej.

Peter szczyrzy się do mnie.

— Co, Sidney? — Opiera się leniwie o ladę. W tym swoim T-shircie wygląda strasznie sexy. Nienawidzę go.

— Nic.

— Nie, przecież widzę, że miałaś coś na myśli. No dawaj, powiedz nam. — Droczy się ze mną.

Czuję gorąco na twarzy, rumieniec rozlewa mi się po policzkach. Chrzanić to. Rzucam pierwszą rzecz, jaka mi przychodzi do głowy:

— Chodzi o to, że to na pewno piękny pokój, i dlatego nie chciałabym, żebyśmy narobili w nim bałaganu jak ostatnim razem. Peter ma problem z kontrolą. Gdy uprawia seks, jest jak napalony królik, i czasami się zdarza, że meble na tym cierpią.

Przebiegły uśmiezek na ustach Petera staje się wyraźniejszy, jakby to, co mówię, było prawdą. Chciałam go zawstydzić, ale najwyraźniej mi się nie udało.

Starsza pani klepie moją rękę, zmuszając mnie, żebym oderwała wzrok od Petera.

— Wiem, kochanie — mówi i zerka na Petera, mrugając do niego. Jej figlarna mina sugeruje, że z doświadczenia wie, o czym mówię.

Dwukrotnie mrugam, jestem przekonana, że źle coś zrozumiałam. Peter wybucha śmiechem. Odbiera klucz od recepcjonistki i mówi:

— Dzięki, Betsy. Obiecuję, że niczego nie połamię, kiedy będę uprawiał dziki seks z moją przyjaciółką.

Potem Peter wyciąga mnie na zewnątrz. Noc jest parna i gorąca. Pachnie kapryfolium i jaśminem.

Mam rozdziawione usta.

— Czy ty...

Peter się nie zatrzymuje. Podchodzi do samochodu i zaczyna wyciągać nasze torby.

— Czy ja co, Colleli?

— Ty spałeś z tą kobietą?

— Spałem z wieloma kobietami. — Peter niesie torby do naszego pokoju. Przed drzwiami wyciąga z kieszeni klucz. Klucz jest duży, mosiężny, z dołączoną

na końcu plastikową zawieszka.

— Co to za odpowiedź, do cholery?

— Jedyna, jaką usłyszysz, bo wierzysz w to, co piszą w brukowcach, zamiast w to, co ci powiedziałem. — Peter wchodzi do ciemnego pokoju, odwraca się i gwałtownie zatrzymuje. Wpadam na niego, akurat w chwili gdy opuszcza torby na podłogę. Jego twarz jest tak blisko mojej, że czuję jego oddech, gdy zaczyna mówić. — Pieprzyłem się z połową Wschodniego Wybrzeża, zapomniałaś? Kobiety z tych okolic są bardzo usatysfakcjonowane. Mogę cię dodać później do tej listy, jeśli chcesz.

Narasta we mnie gniew. Nienawidzę sposobu, w jaki Peter ze mną rozmawia. Kiedy wypowiada ostatnią część zdania, wściekłość bierze nade mną górę. Moja dłoń sama się podrywa, wymierzam mu siarczysty policzek. Peter nawet nie drgnie. Chwyta mnie za rękę i przykrywa ją swoją. Nie mogę cofnąć dłoni. Ścisną ją mocno, a w jego szafirowych oczach pojawia się ten wyraz zagubienia.

Ogarnia mnie panika. Nadal czuję do niego to, co czułam wczoraj i dzień wcześniej. Nadal pragnę go dotykać, całować, smakować. Moje serce zaczyna bić szybciej, gdy Peter się do mnie nachyla, zmniejszając odległość między nami. Jego usta znajdują się tuż przy moich. Gdybym się przybliżyła tylko ociupinę, doszłoby do pocałunku. Przystaję oddychać, moje ciało tężeje. Dłoń Petera delikatnie przesuwają się po moich plecach. Sposób, w jaki na mnie patrzy, powoduje, że zaciska mi się żołądek. Nienawidzę tego, że on tak na mnie działa, i zarazem to uwielbiam. Jestem w pułapce, nie mogę się poruszyć. Ta chwila rozciąga się w nieskończoność. Myślę o tym, żeby się przysunąć, o tym, żeby przycisnąć usta do ust Petera, żeby znowu znaleźć się w jego objęciach. Wzrok mam wbity w jego wargi, ale w chwili gdy zaczynam się do niego nachylać, odsuwa się. Puszczają moją dłoń i dają krok w tył.

— Nie jestem jak mój ojciec... już nie. Pocałunek coś dla mnie znaczy i nie zamierzam się nim dzielić z kobietami takimi jak ty.

Mniej by bolało, gdyby mnie spoliczkował.

— Takimi jak ja? — Kiwa głową. — A co to, do cholery, znaczy?

Peter ponownie się zbliża i opuszcza do mnie twarz. Mówi słodkim głosem, namiętnie.

— Takimi, które są zaślepione moim nazwiskiem, które nie widzą we mnie niczego poza tym, że jestem Ferro.

Kłóczę się z nim. Walczę, bo tego potrzebuję. Mam ochotę wrzeszczeć i bić go w pierś, więc to robię. Zaciska oczy w szparki, jakby mnie nienawidził.

— Oszukałeś mnie, ty cholerna świni!

— Wciąż jestem tą samą osobą co wczoraj, tym samym facetem co tydzień temu.

— Nie, nie jesteś! Ukryłeś przede mną najważniejszą część swojej przeszłości, nie pisałeś o tym ani słowa! Jesteś kłamcą, zupełnie jak tamten! — Jak Dean. Dean też był ciepły, zachwycający, dopóki mnie nie skrzywdził. Obezwładnia mnie świadomość tego, jak bardzo zostałam przez Deana skrzywdzona, i zaczynam się dusić. Minęło tyle lat, a ja nadal reaguję tak samo. To świństwo wciąż tak samo boli. Znowu walę pięściami w pierś Petera, ale tym razem on chwyta mnie za nadgarstki i rozkłada moje ręce na boki.

Przyciska czoło do mojego i cedzi przez zęby:

— Nie mam nic wspólnego z Deanem. Jak w ogóle możesz coś takiego mówić? Po takim czasie, jaki ze sobą spędziliśmy, jak możesz...

Łzy kłują mnie w oczy, ale nie płaczę.

— Właśnie, jesteśmy ze sobą tak długo, więc jak mogłeś mi nie powiedzieć, kim naprawdę jesteś?

Peter, sfrustrowany, puszcza mnie i krzyczy:

— Bo właśnie takie gówniane rzeczy się dzieją, gdy ludzie się dowiadują, kim jestem! — Ciężko dyszy i szarpie się za włosy. Jego oczy zasnuwają się bezbrzeżnym smutkiem, gdy siada na krześle przy drzwiach i opuszcza głowę na ręce. — Niech to szlag, Sidney, nie chodziło o ciebie. Po prostu chciałem zacząć od nowa. Nie chodziło o ciebie.

Przez chwilę mu się przyglądam. Widzę, jak przeciąga ręką po ciemnych włosach, a potem po karku. Wiem, że cierpi, i jestem wściekła, że to ja spowodowałam jego ból, ale nie mogę zostawić tego tak, jak jest.

— Wyjaśnij mi, dlaczego się wczoraj nie biłeś? Dean zasługiwał na porządne lanie, ale go oszczędziłeś. Dlaczego?

Peter spogląda na mnie. Jego oczy mają barwę ciemnego błękitu, są prawie czarne. Przyszpilają mnie w miejscu, rozbierają. Czuję się bezbronna — nienawidzę tego, ale się nie ruszam. Światło z otwartych drzwi wlewa się do pokoju. Rzuca cienie na piękną twarz Petera, przez co sprawia ona wrażenie twardszej, niż jest.

— Dlaczego miałbym na to odpowiadać? Na pewno to też wykorzystasz przeciwko mnie.

Powstrzymuję chęć chwycenia się za włosy i nawrzeszczenia na niego. Biorę głęboki wdech i udaje mi się zachować spokojny ton.

— Istnieją dwie różne wersje ciebie, które do siebie nie pasują. Zastanawiam się, czy ostatnie kilka miesięcy spotykałam się z oszustem. Wiem, że potrafisz się bić. Wiem, że często wdawałeś się w bójki, ale wczoraj tego nie zrobiłeś. Jeśli miałeś jakiś powód, jeśli to było celowe, chcę wiedzieć, co tobą powodowało.

Peter wybucha śmiechem, który jest przepełniony takim smutkiem, że pęka mi serce. Patrząc mi w oczy, mówi:

— Dałem ci szansę, żebyś poznała mnie takiego, a ty to odrzuciłaś. Nie daję

ludziom kolejnych szans, Colleli. Więcej nie masz prawa pytać mnie o takie rzeczy. Bierz portfel. Idziemy na kolację, a ty płacisz za wszystko, czego nie pokryje voucher.

Czuję się tak, jakby wsadził mi rękę do środka piersi i zmiażdżył serce, ale nie pokazuję tego po sobie. Minę mam spokojną, zrelaksowaną, jakby mi nie zależało. Kiwam głową i rzucam:

— W porządku. Ty cały dzień płaciłeś za benzynę.

Rozmowa się kończy; jesteśmy całe lata świetlne od miejsca, w którym chciałam, żebyśmy się znaleźli. Bo głęboko w duchu miałam nadzieję, że się pogodzimy, że Peter mnie przekona, iż jest tą samą osobą, ale on nawet nie próbował. Zamiast tego odciął mnie od siebie. To nie ja się odsunęłam. Postanowienie, że muszę go wyrzucić ze swojego serca, nabiera mocy. Już nigdy więcej nie otworzę się przed Peterem Ferro.

## Rozdział 7.

Jemy powoli i w milczeniu. Gdy kończymy, czuję, że jestem gotowa na długi gorący prysznic. Wracamy do pokoju. Peter otwiera drzwi i po raz pierwszy włącza światło. Zatrzymuję się gwałtownie tuż po wejściu. Peter wpada na mnie, o mało mnie nie przewracając. Łapie mnie za łokieć, żeby pomóc mi zachować równowagę.

— O kurczę. — Pokój jest... Brakuje mi słów. Moje zmysły są przytłoczone bogatymi fakturami, czerwonymi aksamitami i atłasami. Podłogę pokrywa ciągnący się od ściany do ściany różowy dywan. Środek zajmuje wielkie łóżko w kształcie serca, nad nim wisi lustro w tym samym kształcie. Stoję tam i przyciskam dłonie do ust.

Peter mnie wymija.

— To miła starsza pani o interesujących gustach. — Ciężko opada na łóżko i ściąga buty. Po sekundzie rzuca mi spojrzenie. Nadal stoję w miejscu jak skamieniała. — No więc pokój wygląda jak sceneria z pornosów z lat siedemdziesiątych. I co z tego?

Robię wielkie oczy i rzucam mu wymowne spojrzenie.

— Tu jest rura do tańca. — Przechodzę wolno na środek pokoju, gdzie jest mosiężny drażek. Ostrożnie, jakbym się bała, że mnie ugryzie, wyciągam do niego rękę.

Peter uśmiecha się kpiąco.

— Straszna z ciebie cnotka.

Cofam rękę i odwracam się do niego.

— Oszalałaś? Gdybym taka była, to na widok tego pokoju dostałabym zawału! Padłabym na łóżko i oglądała się w lustrze, jak umieram. Tu jest rura! — Ostatnie słowo wykrzykuję piskliwym skrzekiem.

Peter ściąga koszulkę i kręci głową. Przyglądam się, jak to robi, i żałuję, że to widzę. Jest tak doskonale zbudowany, że trudno mi odwrócić wzrok, ale w końcu jakoś się do tego zmuszam. Mimo to mój żołądek i tak wyczynia salta.

— Więc rozwieś na nim ciuchy i przestań dramatyzować.

— Jacy ludzie korzystają z rury do tańca w noc poślubną?

Peter szeroko się uśmiecha. Podnosi się z łóżka i podchodzi do mnie. Patrzy mi z góry w twarz. Stoi zbyt blisko, ale sądząc po jego minie, jest to celowe.

— Przypuszczam, że nie byłabyś tak oburzona, gdybyś widziała pokaz tańca na rurze. Chyba wiesz, że tak naprawdę kobiety nie pieprzą się z tą rurą.

Rozdziawiam usta, potem z oburzeniem walę go w pierś.

— Tak, wiem. I domyślałam się, że ty widziałeś mnóstwo takich pokazów.

— Owszem, ale tylko w klubach ze striptizem. — Jego oczy spijają mnie. Są takie ciemne. Przez chwilę wpatrują się we mnie, potem Peter dodaje: — Co

powiesz na prywatny pokaz? — Chcę go znowu spoliczkować, ale mnie powstrzymuje, chwytając za nadgarstek. Uświadamiam sobie, że poprzednio też mógł to zrobić, ale tego nie uczynił. Patrzy mi intensywnie w oczy. — Przestań mnie policzkować, Colleli.

— To przestań mi dawać powody, Ferro.

Jego spojrzenie twardnieje. Puszczą moją rękę, jakby była porośnięta kolcami, wskazuje na łóżko i rzuca napiętym głosem:

— Siadaj. — Nie brzmi to tak, jakby dawał mi wybór. Jestem ciekawa, co on do cholery knuje. Jednak tym razem nie oponuję. Wykonuję polecenie i przysiadam na brzegu serca.

Peter podchodzi do rury i chwytą ją oburącz. Nie patrzy na mnie. Wzrok ma skierowany w dół, długie rzęsy przysłaniają oczy. Nie wiem, czego mam się spodziewać, ale Peter zaczyna się poruszać. Czuję, że na moją twarz wypływa uśmiech.

— Wiem, jak wygląda taniec na rurze, Ferro.

— Uhm — to jedyna odpowiedź. Peter obchodzi rurę, pobłyskując rzeźbą mięśni. Przewracam oczami i przybieram znudzoną minę. Peter się uśmiecha, ale nie podnosi wzroku. Moje serce zaczyna od tego walić. To ten nieśmiały uśmiech pociągał mnie w nim na samym początku. Kiedy się tak uśmiecha, czuję, że zaraz się rozplnę. Mam ochotę się roześmiać, ale po uśmiechu coś się zmienia. Sposób, w jaki Peter się porusza, jest ogromnie zmysłowy. Robi mi się gorąco, pewne części mojego ciała domagają się uwagi. Chcę odwrócić wzrok, ale nie jestem w stanie.

Gdy widzę, że Peter sięga do guzika przy rozporku dżinsów, podrywam się i zatrzymuję go. Moje dłonie lecą do jego dłoni, zanim zdążę sobie uświadomić, co robię; mało brakuje, a dotknę go w sposób, w jaki nie powinnam. Puls mi wali, dźwięki są głośniejsze — mój oddech, jego oddech.

Peter zamiera, gdy moje dłonie lądują na jego jędrnym brzuchu, tuż nad jego dłońmi. Żadne z nas się nie rusza. Przez sekundę tylko przed sobą stoimy. Zalewa mnie przemożne pragnienie, żeby objąć Petera. Chcę go poczuć na sobie, ale te drzwi już się zamknęły.

Wzdrygam się i próbuję odsunąć, ale Peter mi nie pozwala. Spoglądam na niego. Błąd. Jego oczy są wbite we mnie; nagle zaczyna mi brakować powietrza.

— Żadnego dotykania, Colleli.

— Ja nie... to znaczy, nie możesz robić dla mnie striptizu. — Zabieram ręce i daję krok w tył. Prawie nie oddycham.

Peter szczyrzy zęby.

— Wcale nie robiłem.

— To co to było w takim razie?

— Zdejmowałem spodnie. Nie chodzę do łóżka w pełnym rynsztunku. Ty

chyba też nie?

Potrząsam głową. Ta myśl mnie przeraża.

— Nie.

Peter o sekundę zbyt długo przytrzymuje mój wzrok. Wyraz jego twarzy mówi, że chciałby, żeby między nami było jak dawniej. Że zrobiłby wiele, żeby odzyskać dostęp do mojego serca. Nie rozumie, że nigdy tego dostępu nie stracił.

Wstrząsa mną dreszcz, odwracam się. Nienawidzę tego pokoju.

— Możesz się umyć pierwsza. Wanna jest za rogiem. — Pokazuje na czerwoną ścianę przede mną. Kiwam głową i sięgam po torbę.

Skręcam za róg i widzę olbrzymią szklaną wannę, ale się nie zatrzymuję. W głębi są drzwi. Zakładam, że znajdę za nimi prysznic, kiedy jednak je otwieram, przekonuję się, że w pomieszczeniu jest tylko toaleta. Odwracam się powoli do potwora zajmującego środek wnęki.

— Peter...?

— Tak?

— Mam się myć w tym czymś? W tej wannie do seksu?

— To apartament dla nowożeńców, Sidney. Pogódź się z tym wreszcie.

Wspaniale. Co za dupek. Rozglądam się, znajduję kran i puszczam wodę. Peter nie widzi mnie z miejsca, w którym siedzi. Szybko się rozbieram i wchodzę do szklanej wanny. Nie jest tak głęboka, na jaką wygląda. Serce wali mi jak młotem. Jeśli Peter zajrzy do wnęki, będzie miał niezły widok. Nic mnie nie zasłania. Myję się tak szybko, jak tylko się da, i mało się nie topię, próbując umyć włosy.

Potem wychodzę z wanny, wycieram się i wyciągam piżamę. Nie jest najpiękniejsza. Nie spodziewałam się, że będę miała towarzystwo w podróży, kazałam więc Millie spakować byle co. Spakowała podniszczoną koszulkę na ramiączkach i spodenki, które są zbyt krótkie, żebym mogła je założyć. Wprawdzie zasłaniają majtki, ale tak naprawdę niczego nie kryją. Nie chcę być pruderyjna, więc je zakładam i zabieram się do rozczesywania włosów. Stoję tam odrobinę zbyt długo i przyglądam się sobie. Cycki mam prawie na wierzchu, bardzo rzucają się w oczy. Nie mogę tak paradować przed Peterem.

— Pospiesz się, Colleti. Ja też muszę się wykapać. — Głos Petera dochodzi zza rogu. Wiem, że tam stoi. Sięgam po ręcznik i zarzucam go na ramiona. Ręcznik nie zasłania mi tyłka, ale tylko tyle mogę zrobić.

Szybko przechodzę obok Petera, ze spuszczoną głową i ze szczotką w ręce. Mokre włosy kleją mi się do twarzy. Oczy mam wbite w podłogę, ale dostrzegam gołe kostki Petera. Zerkam w górę i widzę, że jest w samych bokserkach. Tak strasznie chciałabym, żeby mnie przytulił. Żałuję, że ten dzień w ogóle się wydarzył.

— Zamierzasz się położyć w ręczniku?



— Tak, i jeśli spróbujesz go ze mnie ściągnąć, zabiję cię.

Peter wygina jedną brew.

— Ostro powiedziane.

— Nie ostro, tylko serio. Nie wiedziałam, że ktoś ze mną będzie. Spakowałam wygodną piżamę, a to oznacza, że jest stara...

— I dziurawa. Och, daj spokój, Sidney. Przecież nie będę cię oceniał po starej piżamie. — Sięga do ręcznika, ale wywijam mu się z piskiem.

— Nie dotykaj mnie! — Serce wali mi mocno. Przyciskam do siebie ręcznik, żeby nie mógł mi go zabrać. Wiem, że reaguję przesadnie, ale nie mogę nic na to poradzić. Jestem zdenerwowana i spanikowana.

Peter cofa się i podnosi rękę.

— Nie dotykam. Nie bój się, Sidney, przepraszam. Nie zamierzałem... — Jego głos jest łagodny, ciepły. Mocno zaciskam usta. Boję się, co mogłabym palnąć. Peter nie rusza się z miejsca. — Nie skrzywdzę cię, Sidney. Obiecuję ci to, bez względu na wszystko, co się będzie między nami działo.

Oglądam się na niego przez ramię i widzę, że mówi poważnie. Moje gardło jest tak zaciśnięte, że nie mogę wydobyć z siebie słowa, więc tylko kiwam głową i podchodzę do łóżka. Nie zdejmując ręcznika, wślizguję się pod kołdrę. Jest mi strasznie głupio, jestem wystraszona. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę znowu normalna, ale chciałabym, żeby tak było. Mam szczerze dosyć, że tak się czuję, mam dość swojego przewrażliwienia. Nie potrafię już odczytywać zamiarów ludzi. Nie ufam sobie i skoro nie mogę ufać sobie, to jak miałabym zaufać innym?

*Ale Peter jest z tobą w tym samym pokoju.*

*Ale on cię dotknął.*

*Ale Peter...*

Zawsze tylko „Ale Peter”.

## Rozdział 8.

Leżę w ciemności, myśli kołaczą mi się po głowie. Wracają wspomnienia, których nie chcę pamiętać. Na plan pierwszy wysuwa się twarz Deana. Jego jasne oczy błyszczą jak szafiry. Trzyma mnie za rękę i szepcze mi słodkie słówka do ucha. Uśmiecham się i przytulam do niego.

Trawa pod moimi stopami zamienia się w wykładzinę; jesteśmy w centrum handlowym. Serce zaczyna mi szybciej bić; dobrze znam to wspomnienie. Mdli mnie od niego, ale nie mogę tego przerwać. Sen biegnie dalej; Dean trzyma mnie za rękę jak tysiące razy wcześniej. Prowadzi mnie do swojej furgonetki, stojącej w głębi parkingu. Ufam mu ślepo. Siadamy z tyłu i zaczynamy się całować. Dean obsypuje pocałunkami moją szyję, schodzi z nimi niżej. Jestem oszołomiona i zrazem zdenerwowana. Nie jestem gotowa na zbliżenie, jeszcze nie teraz. Chcę, żeby zwolnił, ale Dean mnie ponagla, mówiąc, że mnie kocha.

Słyszę jego głos tak, jakby leżał tuż przy mnie.

— Kocham cię, malutka. I chcę ci to tylko udowodnić.

— Dean, zwolnij. — Wciąż się uśmiecham, ale zaczynam się denerwować. Kocham go. Chcę z nim być, ale jeszcze nie jestem gotowa. Myśl, że miałabym mu się oddać w taki sposób, trochę mnie przeraża. To by nas połączyło do końca naszych dni. Słowa dudnią mi echem w głowie, tymczasem Dean wyciska namiętnie pocałunki na mojej szyi.

— Zabawimy się w coś, dobrze? — proponuje i sięga po krawat, który leży na tyle furgonetki. Dean przygniata mnie sobą. Jestem bez bluzki, on też. Jego spojrzenie nieustannie powraca do mojego czarnego koronkowego biustonosza. — To taka zabawa w zaufanie, taka, w jaką się bawiliśmy jako dzieciaki. Ja upadam, ty mnie łapiesz.

— Albo nie.

Uśmiecha się.

— Właśnie, ale my przeniesiemy tę zabawę na wyższy poziom. Ty upadniesz pierwsza, potem to samo zrobimy ze mną.

Czuję ucisk w żołądku, z podekscytowania i ze strachu. Mimo to kiwam głową, że się zgadzam. Dean zawiązuje mi oczy i świat pogrąża się w ciemności. Potem czuję, że coś sztywnego oplata mi się na nadgarstku.

— Dean, co robisz?

— To samo, co ty zrobisz ze mną. Zaufaj mi, maleńka.

Związuje mi ręce i zapina mnie pasem. Jestem pod nim unieruchomiona. Nie widzę, co robi Dean, ale jest to przyjemne. Jego palce wędrują po mnie, delikatnie muskają brzuch, przesuwając się w górę do szyi. Tętno bije mi coraz szybciej. Podoba mi się to. Podoba mi się, co Dean ze mną robi i jak się przez to czuję. Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale zaczynają mnie boleć nadgarstki.

Dean całuje mnie po brzuchu i zaczyna rozpinać dżinsy. Sztywnieję i mówię do Deana, żeby przestał, ale on nie słucha.

— To twoja kolej na upadek, maleńka.

W tym momencie wszystko się zmienia. Dean już mnie nie słucha. Im natarczywiej proszę, żeby przestał, tym szybciej się porusza. Zdziera ze mnie spodnie, potem majtki. Zaczynam go błagać. Proszę, żeby przestał, ale on nie przestaje.

Dotyka mnie wszędzie. Powtarza, że kiedy skończy, to samo zrobię z nim. Cały czas myślę, że to się nie dzieje naprawdę, że to nie może być realne, ale czuję, że Dean wpycha we mnie palce, czuję ostry ból między nogami. Próbuję złączyć kolana, ale Dean siłą je rozpycha. Ma rozpięte spodnie, jego twardy penis wciska się we mnie.

Szukam schronienia w umyśle. To jedyna droga ucieczki. Tkwię tam z dala od tego, co się dzieje, ale to nie wystarcza. Dean coś mamrocze, ma zduszony głos, jest zagubiony w ekstazie. *To boli, boli, boli*. Łzy leją mi się po policzkach, przestaję krzyczeć. Cicho jęczę, czekając, aż to się skończy. Ale wtedy nie wiedziałam, że to się nigdy nie skończy, że mój umysł będzie odtwarzał tę scenę, ilekroć zamknę oczy. Deana przeszywa dreszcz, potem nieruchomieje. Leży na mnie, ciężko dysząc, a ja płaczę.

Sen zaczyna odpływać, zlewa się z ciemnością, lecz moje serce nadal wali tak, jakby miało wybuchnąć. Czuję na sobie czyjeś ramiona, ktoś do mnie uspokajająco szepcze. To Peter, obejmuje mnie i mówi coś, czego nie rejestruję. Nie jestem w pełni rozbudzona, ale też już nie śpię. Utknęłam gdzieś między światami. Nadal jestem owinięta ręcznikiem, ale czuję na ramieniu ciepłą skórę Petera. Tuli mnie do siebie, twarz ma zatopioną w zagłębieniu mojej szyi. Policzki mam zimne i mokre, jakbym płakała od wielu godzin. Chciałabym, żeby ten koszmar się już skończył, ale on zawsze powraca.

Ogarnia mnie senność i z powrotem wciąga w nierealny świat. Sny wirują wokół mnie, na szczęście tym razem mnie nie usidlają. Noc się kończy. Budzę się i widzę, że jestem w łóżku sama. Przeciągam się. Siadam, rozglądając się za Peterem. Leży na podłodze, u stóp łóżka z poduszką pod głową, oddycha wolno, śpi. Chwilę mu się przyglądam, zastanawiając się, czy rzeczywiście w nocy mnie przytulał, czy tylko mi się to przyśniło. Gdybym była odważniejsza, położyłabym się obok niego, ale w naszej sytuacji to już niemożliwe... to już nie dla nas.

## Rozdział 9.

Peter prowadzi, a ja, zagubiona w myślach, gapię się na jego profil. Przez jakiś czas mnie ignoruje, potem pyta:

— Mogę ci w czymś pomóc?

Mrugam gwałtownie i próbuję patrzeć w inną stronę, ale słońce wciąż wisi nisko nad horyzontem i okropnie mnie oślepia.

— Nie. Próbowałam tylko wypalić ci dziurę w twarzy moim laserowym wzrokiem, ale się nie udało.

Peter kpiąco prychnął.

— Bardzo dojrzałe.

Podnoszę dłoń na wysokość oczu, ustawiam ją tak, żeby twarz Petera znalazła się pośrodku między moim kciukiem i palcem wskazującym, i składam palce razem.

— Nie, to jest dojrzałe. Miażdżę ci głowę. No dawaj, powiedz coś jeszcze, to znowu ci ją zgmiotę. Nie boję się użyć tych maleństw. — Łączę palce jeszcze kilka razy, posyłając przy tym Peterowi groźne spojrzenie.

Peter zwalnia, potem zjeżdża na pobocze i zatrzymuje się.

— Wsiadaj.

— Co? — Oszalał, czy co? Jesteśmy na pustkowiu, na jakiejś nieznannej mi drodze, słońce dopiero wstało.

— Słyszałaś, Colleli? Wsiadaj. No już. — Peter otwiera drzwiczki od swojej strony, potem z hukiem je zatrzaskuje. Jestem ciekawa, co on do cholery wymyślił, ale nie ruszam się z miejsca.

— To mój samochód, idioto! Nie możesz mnie z niego wyrzucać. — Peter już stoi przy moich drzwiach. Tak mnie wystraszył, że serce podskoczyło mi do gardła. Szarpnięciem otwiera drzwiczki, a ja praktycznie wypadam na ziemię.

— Owszem, mogę. — Stoimy na poboczu w wysokiej trawie. Słysząc bzyczenie owadów i jakiś inny odgłos, ale nie wiem, jakie zwierzę go wydaje.

Posyłam Peterowi wściekłe spojrzenie.

— Co ty wyprawiasz? Nie możesz ot tak zatrzymać auta i wysiąść.

Patrzy na mnie, jakbym była wariatką.

— No chyba jednak mogę. Właśnie to zrobiłem... — Mija nas z hukiem ciężarówka, połykając resztę jego słów i zawiewając mi włosy na twarz. Usta Petera ciągle się poruszają i następne słowa, jakie słyszę, brzmią: „...w nocy, więc chwilę poprowadzisz”. Przepycha się obok mnie i ciężko opada na siedzenie pasażera.

Co za dupek! Warczy, żebym wsiadała. Zgrzytając zębami, obchodzę samochód i siadam za kierownicą. Okno zostawiam otwarte, pozwalając, żeby wiatr przez chwilę chłodził mi twarz. Wreszcie, gdy już nie mogę wytrzymać,

wybucham:

— Po co za mną pojechałeś?

Peter zakrywa twarz ramieniem, osunął się w dół, żeby było mu wygodniej. Zerka na mnie, uniósłszy łokieć.

— Co proszę?

— Słyszałeś. Nie udawaj, że nie. Po co za mną pojechałeś, skoro teraz siedzisz wkurzony i tak pewnie będzie do końca? — Nie odpowiada. Zamiast tego znowu zasłania twarz i zachowuje się tak, jakby zamierzał zasnąć. — Hej! — Wałę go w ramię. — Mówię do ciebie.

— A jak ci się wydaje? Poza tym przestań mnie bić, bo mogę się zapomnieć, zareaguję automatycznie i ci oddam. A teraz przestań gadać i daj mi się przespać, okej?

Puls mi przyspiesza. Może jednak to nie był sen.

— Bo co, w nocy się nie wyspałeś?

— Nie.

Po głowie krąży mi pomysł, żeby go zapytać, czy mnie przytulał, ale jestem prawie pewna, że tak było. To przeze mnie nie przespał całej nocy.

— Dziękuję — mówię, nie patrząc na niego. Pustym wzrokiem wpatruję się w drogę.

Tym razem Peter na mnie spogląda.

— Za co?

Zaciskam usta. Nie chcę tego mówić. Nie chcę mu za nic dziękować, ale powinnam. Zwłaszcza za coś takiego.

— Za noc. Wiem, że mnie obudziłeś i uspokajałeś. Potem udałeś, że to się nie zdarzyło. Trochę narozrabiałam, więc dziękuję.

Peter znowu opuszcza ramię. Przez dłuższą chwilę milczy. Na jego policzkach widać cień zarostu, włosy ma potargane. Teraz wygląda bardziej jak Peter Ferro ze zdjęć w gazetach.

— Sidney, ja... — Milknie i siada prosto. — Lepiej zmień pas.

Na środku drogi stoi stadko ptaków. Ptaszyska grzeją się w słońcu jak jakieś gwiazdy filmowe. Macham lekceważąco ręką.

— Odlecą.

Peter zaczyna mówić, nie odrywając wzroku od ptaków:

— Zachowywałem się, jakby nic się nie stało, bo nie chciałem, żebyś pomyślała, że chciałem cię wykorzystać. — Kładzie dłoń na desce rozdzielczej i niespokojnie wierci się na siedzeniu.

— Może jednak zwolnij i zjedź na bok.

— Boisz się, że wjadę w te ptaki? Nie wiesz, jak trudno przejechać ptaka? Nie wspomnę już o całym stadzie...

— Taa... cóż, założę się, że ty to potrafisz.

— Co to ma znaczyć? — Prostuję się i łypię na niego kątem oka.

— Naprawdę muszę to wyjaśniać po incydencie z wiewiórką? Serio, Sidney, zjedź na bok. Jeden z tych ptaków wygląda jak indyk. — Peter tężeje; patrzy to na mnie, to na drogę.

— Indyki nie wygrzewają się na drodze. — W chwili gdy to mówię, ptaki podrywają się do lotu, tak jak przewidywałam, oprócz jednego dużego ptaszyska, które postanawia przejść przez szosę na drugą stronę.

— Uch, Sidney...

— Dlaczego on nie odlatuje? — Ptak jest wielki jak wózek sklepowy i wygląda na niezmiernie szczęśliwego, że siedzi sobie na moim pasie. Co do diabła? Jestem już prawie przy nim, gdy do mnie dociera, że nie odleci. Gwałtownie hamuję i ostro skręcam, ale przekłete ptaszysko idzie dalej. Skrzeczy jak kot w śmietniku, gdy samochód prawie na niego wpada. Wymijam ptaszysko i zjeżdżam na pobocze. Z walącym sercem oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, co z ptakiem. Peter rzuca mi spojrzenie, które mówi: „Ostrzegałem cię”. Celuję w niego palcem i syczę:

— Ani słowa.

Peter szczyrzy zęby.

— Przecież nic nie mówię.

— Kto by się spodziewał, że na środku autostrady będzie siedział przekłety indyk?

— Ja. Nie pamiętasz, że powiedziałem: Hej, Sidney, na środku drogi stoi indyk.

Znowu zerkam w tył i przekonuję się, że ptak nadal przechadza się po szosie. Gdyby nie było tak rano, a w związku z tym pusto na drodze, zostałyby już po nim jedynie mokra plama.

— Co się dzieje z tym cholernym ptakiem?

— To pewnie ten indyk ze skłonnościami samobójczymi, o którym tyle czytałem.

Ignorując Petera, otwieram drzwi i idę do szurniętego ptaszyska, które jak gdyby nigdy nic drobi po asfalcie.

— Hej, indyk. Złaz z drogi, głupcze — wołam do ptaka jak do kota.

Podchodzi Peter.

— Co robisz?

Prostuję się. Indyk gapi się na mnie, ale nadal tkwi w tym samym miejscu.

— Cholera, to ptaszysko jest głupie. Nie mogę go tak zostawić. Znajdź coś w samochodzie, żebyśmy mogli ściągnąć go z drogi.

— Co mam znaleźć? Nie mamy nic do jedzenia, a wątpię, żeby się połasił na red bulla.

— Nie wiem, wymyśl coś.

Peter wraca do samochodu i zaczyna grzebać w bagażniku. Potem wraca z czymś w rękę. Nie widzę, co to jest, bo ściska to w dłoni. Zatrzymuje się tuż przy mnie.

— Chcesz, żebym uratował tego indyka, tak?

— Sama mogę to zrobić.

Wyciąga rękę i wychodzi na szosę. Ja obserwuję drogę, sprawdzam, czy nie nadjeżdża. Peter powoli zbliża się do ptaka i kiedy jest już o krok od niego, rzuca w niego czymś różowym. Twarz mi się wydłuża, gdy dociera do mnie, że to różowe coś to mój stanik. Ramiączko łąduje na szyi ptaka. Peter pociąga za stanik i ptak podchodzi do niego. Peter podnosi go i wpycha sobie pod ramię, potem obwiązuje ptaka stanikiem. Przede wszystkim jego dziób, żeby ptaszysko nie mogło nas podziobać.

Kiedy Peter mi go podaje, ptak wygląda jak ubrany w różowy biustonosz z wypchanymi miseczkami.

— Proszę, masz swojego pupila. I przy okazji: ładny stanik.

Marszczę czoło. Stanik lepiej wygląda na indyku. W trakcie naszej rozmowy mijają nas kilka samochodów.

— Co z tym ptakiem jest nie tak? — Przyglądam się delikwentowi, ale nie potrafię stwierdzić, czy ptak jest chory. Nie trzepie skrzydłami, gdy go dotykam, podejrzewam, że ma je połamane. — Czy indyki fruwią?

— Nie sądzę, chociaż kto wie. Nigdy nie interesowałem się żywym inwentarzem.

— Dobrze wiedzieć, że nie przeleciałeś niczego opierzonego. — Peter coś mamrocze, ale go ignoruję. — Nie wygląda jak indyk, oprócz tego indyczego czegoś tutaj. — Pokazuję na czerwony worek zwisający pod dziobem.

— Indyczego czegoś? — Gromię Petera wzrokiem i wracam do samochodu z ptakiem na rękach. — Po co go tam niesiesz?

— Zabierzemy go do weterynarza. Powinien był odlecieć.

— Sidney. — Peter łapie mnie za łokieć i odwraca do siebie. — To coś nie może z nami jechać.

— Dlaczego nie?

— To dziki ptak. Jeśli rozwiążemy go z tego stanika, wydziobie nam oczy.

— Ty nie potrafiłeś zdjąć tego stanika, więc tym bardziej ptak go nie zdejmie. Przyczepimy go pasem do siedzenia. Będzie dobrze.

Peter idzie za mną do samochodu

— Prawie zdjąłem ci stanik.

— „Prawie” się nie liczy — mówię i nachylam się, żeby usadzić ptaka na tylnym siedzeniu. Jak na dzikie zwierzę zachowuje się zaskakująco spokojnie, nie przeszkadza mu, że znalazł się w samochodzie i że jest dotykany. Może jest udomowiony. — Myślisz, że to na pewno indyk? Jest taki dziwnie ciemny. — Ptak

ma ciemnobrązowe, prawie czarne upierzenie.

Peter wzdycha.

— Uczę literatury angielskiej, Sidney. To nie jest ani kruk, ani albatros. Wszystkie inne gatunki są mi słabo znane.

Parskam śmiechem.

— Ach, no tak, sławne ptaki z literatury.

— Coś w tym stylu. — Peter zerka na ptaka. — Poważnie chcesz jechać do Jersey z ptakiem w staniku na tylnym siedzeniu?

— Tak, znam tam kogoś, kto go opatrzy za darmo.

Peter wślizguje się na swoje miejsce i szczypie się palcami w nasadę nosa.

— Super. Doskonały moment na zabawę w filantropa.

Zatraskuję jego drzwiczki i nachylam się do otwartego okna. Peter zerka na mnie.

— Kto powiedział, że już wcześniej się w niego nie zabawiałam. Z litości prawie się z tobą przespałam. To dopiero było zdrapywanie trupa z asfaltu. — Mrugam do niego i obchodzę samochód.

Wsiadam i stwierdzam, że Peter mi się przygląda.

— Bardzo to miłe.

— Staram się.

— A ja tu próbowałem być rycerski. Uratowałem dla ciebie indyka, ty szalona kobieto.

Zerkam w lusterko wsteczne. Mój indyk wygląda przez boczną szybę i ma na sobie mój najlepszy biustonosz. Zaczynam się śmiać i nie mogę przestać. Za każdym razem gdy patrzę do tyłu, obraz, jaki się przedstawia moim oczom, od nowa budzi moje zaskoczenie. Na tylnym siedzeniu mam wyginającego się w buduarowych pozach indyka.



## Rozdział 10.

Peter nie opuścił fotela. Siedzi prosto na miejscu pasażera z zamkniętymi oczami. Ale widzę, że nie śpi, bo od czasu do czasu mruga powiekami. Jest już późno, zbliża się wieczór, słońce zaczyna zachodzić. Jestem strasznie zmęczona i wiem, że Peter też jest wykończony, bo boi się zasnąć, gdy z tyłu siedzi indyk.

— On cię nie ugryzie.

Peter ma ręce ma splecione na piersi. Odpowiada, nie otwierając oczu:

— To pocieszające, ale wolę nie ryzykować.

— Zaczynam podejrzewać, że masz fobię na punkcie ptaków. — Kącik ust Petera lekko drży, jakby chciał się uśmiechnąć, ale ostatecznie się powstrzymuje. Indyk wierci się na tylnym siedzeniu. Peter otwiera oczy.

— Miałeś w dzieciństwie jakieś koszmary z udziałem Wielkiego Ptaka z Muppetów, czy co?

— Coś w tym stylu — odburkuje i gdy indyk wreszcie się uspokaja, zamyka oczy.

Co on do cholery ma na myśli? Zerkam na niego. Światelka z deski rozdzielczej oblewają miękką poświatą jego pięknie rzeźbioną twarz i ramię. Czuję w żołądku ucisk rozżalenia i nie mam pojęcia, jak się tego pozbyć. Postanawiam pociągnąć go trochę za język, chociaż wątpię, że odpowie.

— Więc co sprawiło, że zdecydowałeś się uczyć angielskiego?

Peter podnosi głowę i zerka na mnie z ukosa, jakby pytanie było strasznie głupie.

— Lubię czytać.

— O rany, cóż za cudownie przemyślana, rozbudowana odpowiedź. Dzięki, że rozjaśniłeś mi kwestię swojej motywacji. Chyba po studiach też zostanę nauczycielką, żebym mogła być taka jak ty. Zmieniłeś moje życie. — Drocę się z nim i aż do ostatniego zdania mówię żartobliwie, jednak ostatnie trzy słowa są prawdziwe. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki słowa nie wytoczyły się z moich ust i nie zawisły ciężko w powietrzu.

Peter przygląda mi się leniwie spod zasłony spuszczonej ciemnych rzęs. Potrząsa głową.

— Zabawne, Sidney, bardzo zabawne.

— Siedzimy obok siebie od dwóch dni, a ty prawie nic nie powiedziałeś.

— Ty też niewiele mówisz. Najbardziej się rozgadałaś, gdy ratowaliśmy naszego pasażera. — Pokazuje kciukiem na tylne siedzenie.

Zaczynam czuć się skrępowana. Ale mimo to coś każe mi mówić dalej.

— Bo już nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać.

Peter lekko się prostuje.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś, prawda? — Rzucam mu krótkie

spojrzenie, zastanawiając się, dokąd zmierza z tym pytaniem. — Niewiarygodne. Nie wiesz, o co chodzi, co?

— W takim razie mnie oświeć, panie profesorze. Wyjaśnij, co takiego straszego uczyniłam. — Moje dłonie mocniej zaciskają się na kierownicy. Właśnie dlatego od dwóch dni nie rozmawiamy. Bo ilekroć otwieram usta, zaczynamy się kłócić, a ja mam dosyć kłótni.

— Wypięłaś się na mnie. Gdy usłyszałaś, kim jestem, zaczęłaś się zachowywać jak inne. — Peter patrzy przed siebie i gniewnie zaciska zęby. Wiem, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale tego nie robi.

Wpatruję się w ciemną szosę, obserwuję znikające białe pasy.

— Wcale się na ciebie nie wypięłam. Tych „innych”, kimkolwiek są, nie oszukiwałam.

Peter wykrzywia się.

— Ładna gramatyka.

— Pieprz się, Ferro. Okłamałaś mnie, oszukałaś na całego. Od pierwszego dnia udawałaś, że jesteś kimś innym, i wyjawiałaś mi prawdę dopiero wtedy, gdy musiałaś.

— To nieprawda.

— Taa... jasne. Gdyby nie pojawił się mój brat z Deanem, nic byś mi nie powiedział. Pewnie dowiedziałabym się później, gdy jakiś dziennikarz by cię rozpoznał, i czułabym się jak skończona idiotka. Po tym wszystkim, co się między nami... — Zamykam się i zaciskam usta. Przestań gadać. Wiem, że zaraz powiem coś, czego nie powinnam, coś, czego będę żałowała.

Peter wzdycha i odchyła głowę na zagłówek.

— Powiedziałbym ci, Sidney. Chciałem ci powiedzieć, ale to nie jest takie łatwe. Ty powinnaś to rozumieć najlepiej.

— I rozumiem, ale rzecz w tym, że ja ci opowiedziałam, co mi się przytrafiło. Powiedziałam ci o wszystkim. Ty wyjawiałaś mi tylko połowę prawdy. Jeśli mi nie ufasz...

— Nie o to chodzi.

— W takim razie, o co? O Jezu, powiedz coś. Siedzisz tam cały dzień i się nadymasz jak jakaś rozkapryszona supermodelka. Co się z tobą dzieje, do cholery? Po prostu mów, co masz do powiedzenia i już! — Jestem na niego straszliwie wściekła. Przed nikim tak się nie otworzyłam, jak przed Peterem, a on kisi swoje sprawy w sobie. Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść tego, że on zna mnie na wylot, a ja jeszcze do niedawna nie znałam nawet jego prawdziwego nazwiska.

— Nie mogę, Sidney! Po prostu nie mogę! — Teraz już krzyczy. I wymachuje rękoma, jakby nie wiedział, co ma z nimi zrobić. — Dałem plamę, zdaję sobie z tego sprawę. Nic, co powiem, tego nie naprawi. Nic, co zrobię, nie przekona cię, jak bardzo jest mi przykro. Straciłem cię, ale siedzisz koło mnie! —

Zaciska ręce na desce rozdzielczej i odwraca do mnie twarz. — Zniszczyłaś mnie. Myślałem, że dam sobie z tym radę, myślałem, że mogę...

Peter milknie i ogląda się do tyłu. W tym samym momencie w lusterku wstecznym rozbłyskuje migoczące światło. Peter zerka na mnie i zasłaniając dłonią twarz, osuwa się w dół na fotelu.

— Cholera. Jak szybko jechałaś?

Posyłam mu wściekle spojrzenie i zjeżdżam na pobocze. Nie mam pojęcia, jak szybko jechałam. Mam ochotę krzyknąć i bić. Przewala się przeze mnie huragan sprzecznych emocji, które chcą się wydostać na wolność. Zaciskam zęby i zatrzymuję samochód na trawiastym poboczu drogi. Opuszczam szybkę i kładę ręce na kierownicy, tak żeby policjant mógł je widzieć.

Gość się nie spieszy. Jest z policji stanowej. Starszy mężczyzna, szczupły, z opaloną kwadratową twarzą. Nachyla się do okna i zagląda do środka samochodu.

— Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę... — Mężczyzna mruga, jakby coś mu wpadło w oko, a potem końcem długopisu pokazuje na tylne siedzenie. — Co państwo robią z tym ptakiem?

O mój Boże. Zapomniałam o indyku.

— Wieziemy do weterynarza. Jest ranny.

Policjant patrzy na mnie, jakbym była wariatką. Potem jego spojrzenie przesuwa się na Petera.

— Proszę pana, o co chodzi z tym ptakiem?

— O to, co koleżanka powiedziała. Ptak nie może fruwać i chodził po szosie. Koleżanka nie chciała, żeby ktoś go przejechał.

Policjant posyła mi dziwne spojrzenie. Podaję mu prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Policjant przegląda dokumenty, potem mówi:

— Mało kto chciałby ratować takiego ptaka, panno Colleli.

— Wiem. Ludzie raczej je jedzą.

Policjant krzywi się i nachyla, żeby jeszcze raz spojrzeć na naszego pasażera.

— Nikt ich nie jada. To żywe śmietniki. Często są rozjeżdżane.

— Jak to? To przecież indyk.

Mężczyzna prostuje się i wybucha gromkim śmiechem. Peter zerka na ptaka, potem na mnie. Wzrusza ramionami. Policjant, nadal rozbawiony, ponownie nachyla się do okna.

— To sęp, sępnik różowogłowy. — Mężczyzna stara się nie śmiać, ale widzę, że ma ochotę. — Może mi pani wyjaśnić, dlaczego jest owinięty biustonozem.

— Kolega boi się ptaków, a nie miałam niczego innego, czym mogłabym go przewiązać.

Oczy policjanta podjeżdżają do ronda kapelusza.

— To prawda, proszę pana? — zwraca się do Petera.

— Tak, prawda. — Peter mierzy mnie wściekłym wzrokiem. Policjant przygląda mu się przez przymrużone oczy. — Jak się nazywasz, synu?

Peter rozpiera się swobodnie w fotelu.

— Doktor Peter Granz.

Policjant nie przestaje się na niego gapić, jakby próbował umiejscowić sobie w pamięci jego twarz.

— I nie potrafił pan określić, co to za ptak, ktoś z takim wykształceniem?

— Nie jestem w stanie odwieść tej kobiety od zrobienia czegoś, kiedy już się uprze.

Policjant zerka na mnie, potem znowu na Petera.

— No cóż, wiem, o czym pan mówi. — Policjant znowu milknie, po czym wzdryga się jak ktoś zniecackany oblany wodą. Na jego twarzy wraz z uśmiechem pojawia się mina świadcząca o tym, że już wie. — Bardzo mi pan kogoś przypomina... Peter Ferro, prawda? — Peter uśmiecha się i kiwa głową. — No to dlaczego pan nie mówi? — Policjant dalej coś gędzi, a ja siedzę i słucham. Peter jest wyraźnie skrępowany sytuacją, mimo to się uśmiecha. Rozmawia z policjantem w ten sam sposób, w jaki rozmawiałby z każdą inną osobą. Ewidentnie policjant jest lekko oszołomiony, że gada z kimś sławnym.

Wreszcie na sam koniec mężczyzna tylko mnie poucza i nakazuje jechać wolniej.

— Proszę tego dopilnować, panie Ferro.

Peter uśmiecha się i macha do policjanta.

— Oczywiście.

Wrzucam bieg i wolno odjeżdżam. Peter osuwa się w fotelu, przyciskając kciuki do skroni.

Spoglądam na niego kątem oka i mówię:

— Zupełnie zapomniałam o naszym indyku.

Peter podnosi na mnie wzrok. Pod oczami ma ciemne sińce. Wygląda na wyczerpanego, załamane, zestresowanego... ale gdy na mnie patrzy, jego usta układają się do uśmiechu i już po chwili śmieje się na cały głos.

— Uratowałaś sępa.

Peter rechocze i mnie też zbiera się na śmiech. Nie potrafię go powstrzymać. Jestem zmęczona, zdenerwowana, ale to wydaje się takie zabawne.

— A ty ubrałeś go w różowy stanik. — Ledwie mogę mówić, tak się śmieję. Łzy leją mi się z oczu, boli mnie brzuch. — Boże, musiał nas wziąć za parę wariatów.

— Ciebie wziął za wariatkę, Colleli, nie mnie.

— Czy ludzie zawsze się tak przy tobie zachowują?

— Jak? Że są sztuczni? — Kiwam głową. Na widok Petera policjant zamienił się w lepszą wersję siebie. Mówił z podekscytowaniem, nad wyraz

uprzejmie. Jakby nagle między nimi wyrosła ściana i nie było możliwości, żeby zniknęła, skoro już się pojawiła. — Taa... przeważnie tak. Gdy byłem młodszy, wyglądałem bardziej luzacko. Tak mnie zapamiętała większość ludzi. Kiedy jestem porządnie ubrany, też wyglądam jak Ferro, ale zwykle nie mają wtedy odwagi tak bezpośrednio się do mnie zwracać.

Kiwam głową, rozmyślając. Potem zerkam na Petera i mówię:

— Ty też nikomu nie ufasz, co? — Peter znowu otacza się murem obronnym, przyjmuje pozę „nie zależy mi”, krzyżując ręce na piersiach. Ten gest mówi, że się zamknął w sobie i że świat ma się od niego odczepić.

— Nie bardzo.

Dobry nastrój przyska. Ulotnił się, a jego miejsce zajmuje poczucie beznadziei. Nie odrywając wzroku od drogi, zaczynam dumać na głos:

— Jesteśmy strasznie pokręcani, Peter, i to jest nie fair. Ale życie nie jest fair, prawda? Nie ma poprawek, nieważne, jak bardzo chciałoby się zacząć od początku.

Peter przygląda mi się w ciemności. Czuję jego spojrzenie na twarzy, mimo że na niego nie patrzę.

— Trzeba iść naprzód, Sidney. Oglądanie się na przeszłość tylko cię w nią wciągnie.

— No tak, ale niczego się z niej nie nauczysz, jeśli nie będziesz się oglądał.

— Nauczyłaś się już wszystkiego, czego potrzebowałaś.

Prycham.

— Nie, nie nauczyłam się. Jak możesz tak mówić? Popeliłam błąd z Deanem i to samo było z tobą. Nie potrafię wyczuwać ludzi, zupełnie nie potrafię. Totalnie źle oceniłam was obu.

Moje słowa sprawiają przykrość Peterowi. Równie dobrze mogłabym mu przyłożyć drągiem w brzuch. Nie patrzy na mnie.

— To tak o nas myślisz, że jesteśmy tacy sami?

— W obu przypadkach chodzi o oszustwo, tak czy nie? — zadaję to pytanie na serio, bo choć część mojego umysłu odpowiada „tak”, to istnieje w nim miejsce, które trochę ciszej mówi, że Peter wcale nie jest taki sam jak Dean.

— Może i tak. Kłamstwo to kłamstwo. — Peter usztywnia się i zamyka w sobie.

Żałuję, że zaczęłam ten temat.

— Może tak. Może nie. Dlaczego tak postąpiłeś?

Peter patrzy na mnie ostro. W jego spojrzeniu jest tyle rozgoryczenia, że mam ochotę odwrócić wzrok.

— Nie chciałem, żebyś wiedziała. Masz rację, okej? Obaj cię oszukaliśmy, obaj wzięliśmy coś, co do nas nie należało, i żaden z nas tego nie żałuje.

Wolno mrugam, jakby Peter nie powiedział tego, co powiedział. Nie mogę

nabrać oddechu. Jest tak, jakby swoimi słowami zadał mi cios w splot słoneczny. Tuż przed nami widać zjazd. O mało go nie przegapiam i decyduję się skrócić dopiero w ostatniej chwili. Peter nic nie mówi, kiedy gwałtownie zmieniam pas.

Podjeżdżamy pod motel; zatrzymuję się pod szyldem. Pieprzyć to. Szkoda, że nie zostawiłam Petera w Teksasie. Otwieram drzwiczki i idę do motelu, żeby wykupić dla nas pokój. Peter nie idzie za mną.

Kiedy wracam z kluczem w ręce, widzę, że rozmawia z kimś przez telefon. Potrząsając głową, przeciąga ręką po ciemnych włosach i spogląda na Pana Indyka. Wsiadam do samochodu i też spoglądam na ptaka.

— Widzę, że go rozwiązałeś. — Ptak nadal jest zawinięty stanikiem, ale dziób ma uwolniony.

— Taa... chciał pogadać.

Gapię się na niego, zastanawiając się w duchu, co takiego chodzi mu po głowie, dlaczego tu ze mną jest i czego ode mnie chce.

— Dlaczego chciałeś ze mną pojechać?

Rzuca mi takie spojrzenie, jakby miał szczerze dosyć tego pytania.

— Już ci wyjaśniłem.

— „Przecież wiesz” to żadne wyjaśnienie. Powiedz dlaczego. Po prostu to powiedz.

Potrząsa głową i się uśmiecha.

— W porządku. Chcesz wszystko robić sama, ale to nie jest zawsze możliwe. W obecności tego chłopaka, tego Deana, wyłączasz myślenie. W mgnieniu oka przenosisz się w przeszłość. Czytałem twój wiersz, widzę to na twojej twarzy i wiem, co się wydarzy, jeśli facet przydybie cię samą. — Peter wbija we mnie wzrok, jego słowa parzą intensywnością. Potrzebuję przełknąć ślinę, ale nie mogę.

— Znowu chodzi o rycerskość. — Czasami sobie z niego z tego powodu kpiłam, ale nie teraz.

— Coś w tym stylu.

Serce mam w przetyku. Zbyt długo się w siebie wpatrujemy, aż nasze spojrzenia się ze sobą zlewają. Żadne nie jest w stanie odwrócić wzroku. Jakbyśmy oboje się zagubili, jakbyśmy dryfowali bez celu, oboje poranieni tym, co nas w życiu spotkało. Kiedy puls wali mi w uszach niczym werble, zmuszam się do odwrócenia głowy. Mam wrażenie, jakby była na gumce, coś za nią pociąga, żebym znowu spojrzęła na Petera, ale nie poddaję się impulsowi.

Zjeżdżam samochodem na parking. Wsiadam z auta za Peterem i idę za nim do motelowego pokoju. Stoi w nim małe podwójne łóżko, ale nie ma kudłatego dywanu ani wymyślnej wanny. To tylko zwykły stary pokój hotelowy.

## Rozdział 11.

Odzywa się telefon Petera. Peter wychodzi z pokoju, ja biorę prysznic. Po kąpieli wychodzę z łazienki owinięta ręcznikiem, zakrywam nim dość przewiewną górę od piżamy. Włosy mam wciąż wilgotne, wyglądam jak zmokła kura. Żeby rozczesać mokre strąki, muszę poczekać, aż Peter wróci i wskoczy pod prysznic. Przy czesaniu chcę mieć swobodę ruchów, muszę zdjąć z siebie ręcznik, a nie chcę, żeby Peter oglądał mnie w tej skąpej piżamce.

Peter wraca i obrzuca mnie szybkim spojrzeniem.

— Rozwiązałem sępa i zostawiłem w trawie przy samochodzie. Jest ranny, więc nie sądzę, żeby gdzieś odszedł.

— A co, jeśli dorwie się do niego jakiś kot?

Peter unosi brew.

— Moim zdaniem to raczej kot powinien się martwić, nie ptak. Nic mu nie będzie. Jakoś dotąd dawał sobie radę i przeżył. — Peter odchrząkuje i podchodzi do łóżka. Zaczyna grzebać w swojej torbie i w końcu wyciąga spodnie od dresu, po czym ogląda się na mnie przez ramię.

— Oddzwonił mój brat. Będzie ci przeszkadzało, jeśli byśmy wpadli po drodze do Nowego Jorku? Muszę coś od niego odebrać.

— Do której części Nowego Jorku? Co masz odebrać? — Siadam w wiklinowym fotelu przy drzwiach.

— Do centrum, więc bardzo nie zboczymy, ale nasza podróż prawdopodobnie przedłuży się o dzień. — Peter ściąga koszulkę i nie przestając mówić, wrzuca ją do torby. Ponieważ milczę, spogląda na mnie. Wzrok mam wbity w mięśnie jego brzucha. Wyglądają tak, jakby robił codziennie przynajmniej tysiąc przysiadów. — Oczy mam tutaj, Sidney.

Wzdrygam się, mrugam i czerwienię w zastraszającym tempie. Kąciki ust Petera unoszą się w górę. Nienawidzę tego uśmiešku. Sprawia, że mam ochotę robić głupie rzeczy. Peter podchodzi do mnie tym charakterystycznym luzackim krokiem. Czubki jego butów stykają się prawie z moimi palcami. Peter pochyla się i przybliży twarz do mojej. Zaczynam się denerwować. Staram się siedzieć nieruchomo, jakbym się nie przejmowała tym, co Peter robi, ale nawet siebie nie jestem w stanie oszukać — ciągnie mnie do niego na poziomie cielesnym. To przyciąganie nigdy nie słabnie i jest cholernie irytujące. Ciężko przełykam ślinę, zastanawiając się, czy mnie pocałuje. Jego usta są tuż przy moich i wciąż układają się w ten seksowny uśmiešek.

— Tak? — udaje mi się wydusić. Dzięki Bogu, że zdołałam wydobyć z siebie głos. Mam wrażenie, jakbym składała się z samych dyszących odgłosów i tylko z nich.

Spojrzenie Petera opada na moje usta i pozostaje tam o wiele za długo.

Napięcie między nami sprawia, że mam ochotę zacząć chichotać albo w coś walnąć. Fala narastającej energii rozplywa się po moim ciele, żołądek zawiązuje mi się w supeł. Chcę się przysunąć i pocałować Petera. Chcę, żeby mnie objął. Chcę poczuć pod palcami zagłębienia i krzywizny na jego piersi, ale się nie ruszam. Siedzę sztywno wyprostowana i z uniesionymi brwiami czekam, aż coś zrobi albo powie.

— Hm? Och, nic. Pomyślałem tylko, że byłoby ci łatwiej nie traktować mnie jak ciacha, jeśli patrzyłabyś mi w oczy. — Posyła mi przebiegły uśmieszek.

Moje usta układają się w duże „O”, a potem w figlarny uśmieszek.

— Dupek.

Peter nie rusza się z miejsca. Nadal stoi blisko, a jego usta, gdy mówi, prawie dotykają moich.

— Podglądaczka.

— Natręt.

— Napalona flirciara.

— Palant.

— Gapiszon.

— Dupek.

Peter szczyrzy zęby.

— Niezły powrót, poza tym się powtarzasz.

— Zamknij się.

— Zmusz mnie. — Peter wygląda tak idealnie, tak niesamowicie, w sam raz do pocałowania. — No zmusz mnie, Sidney. — Jego głos zniża się do szeptu, dyszy mi nim w usta. Jego szafirowe spojrzenie przesuwa się na moje wargi, po czym powraca do moich oczu. Stoi przede mną, przyglądając mi się spod zasłony tych jego ciemnych rzęs.

Wargi mnie mrowią, pragną być całowane. Serce bije coraz szybciej. Nagle zaczyna mi brakować słów, nie pamiętam, jak się mówi. Ogarnia mnie gorąco, jakby ktoś mnie okrył kocem zdjętym z rozgrzanego pieca. Przez palce przechodzą mi dreszcze, gdy sobie wyobrażam, że wsuwam je we włosy Petera. O Boże, dlaczego on mi to robi? Czuję się jak na torturach, mając go tak blisko i nie mogąc go dotknąć.

Do tej gry potrzebne są dwie osoby. Podnoszę dłoń i kładę ją na jego policzku; Peter zamiera, a jego spojrzenie natychmiast traci ten wyraz pewności siebie. Wolno przesuвам dłoń po policzku. Oboje wstrzymujemy oddechy, gdy moje palce wędrują po zaroście na żuchwie i zsuwają się na szyję. Nachylam się, jakbym zamierzała go pocałować. Ale w ostatnim momencie odpycham go i wstaję z fotela z uśmiechem satysfakcji na twarzy.

Wydaje mi się, że to już koniec. W zawodach na kuszenie odniosłam niepodważalne zwycięstwo. Ale Peter chwytą mnie za nadgarstek i delikatnie



zatrzymuje. Odwracam się do niego i już się nie uśmiecham tak pewnie. Peter ujmuję moją twarz ręką i nachyla do mnie głowę. Przechodzą mnie dreszcze, z napięciem czekam na pocałunek. Nasze oczy spotykają się, mierzymy się wyzywającymi spojrzeniami. Peter wypuszcza urywany oddech, potem powoli nabiera powietrza w płuca. Na twarzy czuję ciepły powiew.

Gdy ostatnim razem znajdowaliśmy się w takiej sytuacji, myśl, że mogłabym się z nim przespać, przeraziła mnie, jednak teraz jestem ciekawa, czy byłabym w stanie to zrobić, czy by mi się spodobało. Całe moje ciało wibruje, ale ani ja, ani Peter nie zmieniamy pozycji. Jest tak, jakby między nami tkwiła przezroczysta ściana, której żadne z nas nie potrafi zburzyć. Usta Petera, leciutko rozchylone, znajdują się tuż przy moich. Peter przymyka powieki, całe spojrzenie skupiając na moich wargach. Czuję jakąś ciepłą ociążałość, gdy Peter mnie dotyka. Jego dłoń prześlizguje się z policzka na włosy, a potem osuwa się na ramię. Peter podnosi drugą rękę, znowu gładzi mój policzek.

Cała drzę. Nie wiem, czego chcę. Z jakiegoś powodu wciąż mu ufam... i nie ufam. Jakbym w środku miała dwie osoby. Jedna pragnie być dotykana, druga jest zbyt niezależna, żeby kogokolwiek potrzebować z jakiegokolwiek powodu. Walczy ze mną, z furią podsyła wszystkie możliwe obrazy sprowadzające na manowce wspomnienia, ale ja nie jestem w stanie wykonać żadnego ruchu. Nie chcę się odsunąć, więc zwlekam, rozkoszując się dotykiem palców Petera, ciepłem jego oddechu na mojej skórze.

Peter wolno mruga. Za każdym razem gdy przymyka powieki, myślę, że mnie pocałuje, ale on tego nie robi. Serce wali mi w piersi, ogrania mnie coraz większe szaleństwo. Peter znowu muska mój policzek, a ja mocniej zaciskam ręcznik na swoich ramionach.

Tym razem, przymknąwszy powieki, Peter nachyla się do mnie i delikatnie muska moje usta. Tężeję, ale on nie pogłębia pocałunku. Zamiast tego odsuwa się i spogląda mi w oczy. Wyraz na jego twarzy zmusza mnie do zaciśnięcia kolan razem, w ten sposób próbuję powstrzymać falę, która pulsując, rozplywa się po całym moim ciele. Peter sprawia, że pragnę rzeczy, których nigdy dotąd nie pragnęłam.

Możliwe, że wyglądam, jakbym się wstrzymywała, ale nie jestem wystraszona, nie tym razem. Robię coś szalonego i przysuwam się do Petera. Dotykam ustami jego ust i przy okazji cała drzę. Dłonie Petera znowu zsuwają się na moją szyję, palce bawią się brzegiem ręcznika. Przez chwilę Peter mi się przygląda, potem wolno się nachyla. Kiedy jego usta dotykają mojego policzka, biorę głęboki wdech i zamykam oczy.

Pocałunek jest taki lekki, taki delikatny, że wzbiera we mnie pragnienie czegoś więcej. Mrugam wolno, jakbym była senna. Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu, i już się tak nie przejmuję. Wprawdzie nadal odczuwam strach, ale nie

jest tak duszący jak zwykle. Nie myślę. Odsuwam myśli, bo nic już nie jest takie samo. Sposób, w jaki Peter mnie dotyka, zupełnie nie przypomina tego, co robił Dean... Peter nie ma nic wspólnego z Deanem, jest zupełnie inny.

Ta myśl mnie uwalnia. Wspinam się na palce i kładąc dłoń na policzku Petera, przyciskam usta do jego ust. Mój pocałunek nie jest tak delikatny, jak jego. Jest natarczywy, pożądlivy. Dłonie Petera obejmują moją twarz, gdy nasz pocałunek się pogłębia. Na jedną błogą chwilę zapominam o całym świecie. Nie dręczą mnie żadne myśli, żadne obawy. Istnieje tylko Peter i jego ciepłe, miękkie usta, które całują mnie tak perfekcyjnie, że miękną mi kolana.

W końcu Peter, ciężko dysząc, przerywa pocałunek. Z czołem przytkniętym do mojego, przygląda mi się spod spuszczonej powieki. Mój oddech też jest nierówny, ale im bardziej próbuję się uspokoić, tym jest gorzej.

Wzrok Petera osuwa się do ręcznika na moich ramionach. Patrząc mi w oczy, kładzie dłoń na mojej dłoni. Zakładam, że chce ją usunąć, więc się spinam, ale on tego nie robi. Zamiast tego ściska dłoń i mówi:

— Puść. Przytrzymam go dla ciebie.

Jego słowa uderzają mnie tak mocno, że zaczyna mi drżeć podbródek. W oczach zbierają mi się łzy, ale staram się nie płakać. Chciałam dotknąć jego policzka, wsunąć mu dłoń we włosy, ale nie mogłam tego zrobić, gdy ściszałam ręcznik.

Peter zdaje się rozumieć, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa. Nachyla się i delikatnie całuje mnie w policzek. Ten pocałunek dodaje mi odwagi. Denerwuję się, że upuści ręcznik, że pozwoli mu się osunąć, ale propozycja jest zbyt kusząca, żeby ją zignorować.

Chciałam pogłaskać go po twarzy, ale po wypuszczeniu ręcznika, który teraz trzyma Peter, moje dłonie wędrują do jego klatki piersiowej. Przesuwam palcami po kształtnych mięśniach, czuję je pod opuszkami. Przesuwam kciukiem po sutku, czując, że twardnieje. Potem opuszczam dłonie niżej, na brzuch.

Peter bierze głęboki wdech, ale nie rusza się z miejsca. I nie przestaje się wpatrywać w moje dłonie, wędrujące coraz niżej po twardych mięśniach brzucha. Docieram do spodni i wiodąc kciukami wzdłuż pasa, przesuwam ręce na plecy. Pod opuszkami czuję bliznę znaczącą bok i zastanawiam się, czy Petera, gdy dotykam tego miejsca, nachodzą wspomnienia. Ja tak mam, ale to, co się dzieje w tej chwili, tak bardzo się różni od tego, co robiłam z Deanem, że żadne wspomnienia się nie pojawiają, żadne blizny nie zostają poruszone. To, co się dzieje teraz, jest dla mnie czymś zupełnie nowym.

Peter, gdy wodzę dłońmi po jego pasie, przemyka oczy. Wiem, że mój dotyk przywołuje wspomnienia, bo nagle cały tężeje. Chcę mu przynieść ulgę; chcę, żeby znalazł ukojenie i już nie dręczył się tym, co się stało. Otwiera oczy i nasze spojrzenia się spotykają. Peter już nie próbuje ukryć smutku. W jego wzroku jest

tyle rozpaczy, że trudno mi na niego patrzeć. Przestaję mrugać i oddychać.

Bezbronność malująca się na jego twarzy dodaje mi odwagi. Podnoszę rękę i kładę ją na jego ręce, tej ściskającej rącznik. Odciągam ją. Moje serce zaczyna bić mocniej, ale nie puszczam dłoni Petera. On nie patrzy na mnie, gdy rącznik ześlizguje mi się z ramion i opada na podłogę. Nie mogę zapanować nad przechodzącymi mnie dreszczami. Czuję się, jakbym była naga, chociaż nie jestem. Peter ma na sobie mniej niż ja, mimo to czuję się obnażona. Gdyby nie zareagował, tak jak zareagował, gdy dotknęłam bliznę, nie byłabym w stanie tego zrobić.

Ale zrobiłam i teraz stoję przed nim w półprzezroczystej koszulce, z sutkami sterczącymi na baczność. Nie chcę, żeby na mnie patrzył, i zarazem chcę. Biorę głęboki oddech i mój biust ociera się o jego klatkę piersiową. Bez rącznika kontakt jest tak wyraźny, że cała się wzdrygam. Oddech utyka mi w gardle. Spoglądam na Petera i widzę, że jemu też zapało dech.

Znowu się nachyla i całuje mnie, ale tym razem mocniej. Jego dłonie błądzą po mojej twarzy, potem wsuwają się we włosy. Stamtąd osuwają się na ramiona i plecy, ślizgają po materiale koszulki, podczas gdy jego język wyczynia grzeszne rzeczy w moich ustach. Czuję ucisk w żołądku, jakbym spadała w przepaść. Nie mogę normalnie oddychać. Dyszę niczym maratończyk, chociaż nie zrobiłam ani jednego kroku.

Peter kończy pocałunek. Pomiędzy oddechami przyciska usta do moich policzków, miękko, delikatnie. Jego dłonie wciąż pozostają na koszulce. Nie podciąga jej w górę, nie próbuje się pod nią dostać. Zamiast tego przywiera do mnie i całuje do nieprzytomności.

Trzymam go mocno, wczepiona palcami w jego plecy, żeby mi nie zniknął. Peter zmusza mnie, żebym przekręciła głowę, i zaczyna całować po szyi. Odchylam głowę i zamykam oczy, wczuwając się w najmniejszy dotyk jego ust. Potem, gdy kończy mnie całować, spoglądam na niego.

Ma rozchylone usta i oddycha ciężko.

— Powinniśmy na tym skończyć.

Kiwam głową.

— Powinniśmy. — Mój umysł się zgadza, ale moje ciało nie chce tego uznać.

Peter podejmuje decyzję za nas oboje. Odsuwa się i wkłada rękę we włosy, jakby to, że musi przestać mnie dotykać, było dla niego torturą. Potem ogląda się na mnie przez ramię; wzrok ma wbity w moje piersi.

Stoję tam, prosto jak struna, i pozwalam mu patrzeć. Wiem, że widzi przez materiał koszulki zarys moich podnieconych piersi, moją bladą skórę. Nerwy skręcają mi żołądek, ale się nie poruszam. Peter nie odwraca oczu. Nadal są przyklejone do mojej klatki piersiowej.

Po jakiejś chwili udaje mi się wysapać:

— Moje oczy są tutaj, panie profesorze.

Peter powoli podnosi wzrok, napotyka moje spojrzenie i na usta wypływa mu grzeszny uśmiezek.

— Powtórz to.

Ja też się uśmiecham i leniwym ruchem pokazuję palcem na swoją twarz.

— Moje oczy są tutaj.

Peter podchodzi, jednak tym razem mnie nie dotyka. Stoi przede mną na wyciągnięcie ręki. W jego policzku pojawia się dołeczek, a mnie nachodzi szalone pragnienie, żeby go polizać. Odciągam spojrzenie od dołeczka i spoglądam Peterowi w oczy.

— Nie to. Tę drugą część. Jeszcze raz nazwij mnie profesorem. — Ma na twarzy wyraz nadziei, przypomina tego mężczyznę, którego poznałam w Teksasie. Patrzy na mnie tak, jak wtedy gdy tańczyliśmy.

Nie mogę się powstrzymać i posyłam mu zalotny dziewczęcy uśmiezek. Patrzę na niego spod rzęs i mówię szeptem:

— Zatańcz ze mną, profesorze.

Peter uśmiecha się szeroko. Wyciąga do mnie rękę, drugą obejmuje w pasie. Gdyby to był ktokolwiek inny, obawiałabym się, że nastąpi mi butami na stopy, ale Peter jest ostrożny. Wykonujemy kilka kroków, potem Peter mnie okręca. Gdy powracam w jego objęcia, mocno mnie do siebie przytula. Otaczam go rękami w pasie, dotykając przy okazji blizny. Jego oczy natychmiast wypełniają się wspomnieniami. Jego uśmiech przygasa niczym gwiazda w blasku słońca, a na koniec zupełnie znika.

Peter kilka razy mruga, jakby się budził ze snu. Wypuszcza mnie z objęć i odwraca się. Potem sięga po leżące na łóżku spodnie, przy okazji podnosząc z podłogi mój ręcznik. Podchodzi do mnie i okrywa mnie nim. Trzyma końce ręcznika przede mną, czekając, aż je złapię.

Potem ze smutnym uśmiechem mówi:

— Dziękuję.

Wolno kiwam głową, niczego nie rozumiejąc. Mam wrażenie, że zostałam odtrącona, ale gdzieś w głębi wiem, że chodzi o coś więcej. Peter jest w pułapce, jest więźniem przeszłości tak samo jak ja. A może nawet bardziej.

— Wiem, że nie ma dla nas przyszłości — mówi. — Popełniłem poważny błąd, rozumiem to, ale w tym momencie bardzo potrzebuję przyjaciela i wiem, że ty też go potrzebujesz. To... — Ostro wciąga powietrze i pokazuje na mnie i na siebie — nie może się powtórzyć. Doskonale to rozumiem, tylko że...

Przerywam mu. Podchodzę i cmokam go w policzek, po czym mówię:

— Peter, cii... Jestem twoją przyjaciółką. Co najmniej. A jeśli chodzi o inne rzeczy, to może poczekajmy, zobaczymy, jak będzie?

Patrzy na mnie, jakbym była kimś nierealnym. Jego oczy są szeroko otwarte,

wypełnione bezbronnością.

— Nie jestem tym, kim byłem kiedyś. Już nie jestem Petem Ferro. — Opuszcza wzrok na bliźnię. — Ty nie rozumiesz... ona mnie zmieniła, chociaż myślałem, że to niemożliwe. Przestałem się bić, przestałem robić te wszystkie durne rzeczy, z których byłem znany. Tylko raz człowiek dostaje od życia szansę na znalezienie tej właściwej osoby, a ja to spieprzyłem. Straciłem ją.

— Moje życie tamtej nocy zupełnie się zmieniło i jak bym się nie starał, nie mogę sprawić, żeby było jak wcześniej. Potem spotkałem ciebie i pomyślałem, że się myliłem. — Patrzy na mnie, jest kompletnie pogubiony. — Kiedy zobaczyłem Deana, coś we mnie pękło. Gdyby tamten facet na stacji nie miał dubeltówki, Sidney, nie wiem, co bym zrobił. Nie wiem, czy to uzasadnione, czy nie, ale ilekroć widzę tego drania, czuję... — Peter zaciska ręce i nie kończy.

Patrzę na niego, ponieważ nie mogę oderwać od niego oczu. Mam wrażenie, że zmierzamy do punktu, w którym wszystko może się rozpaść. Wiem, o co mu chodzi. Wiem aż nazbyt dobrze. Boję się go dotknąć, boję się do niego zbliżyć, mimo to przełamuję się. Dotykam jego ręki. Jest spięty jak struna. Wzdryga się pod moim dotykiem. Spogląda w dół na moją rękę, potem podnosi oczy na moją twarz.

— Nie jesteś już Petem Ferro. Rozumiem. Ja też nie jestem tą samą Sidney z Jersey. Nie odzyskamy tego, co nam zabrano, Peter. Straciliśmy to na zawsze. Jesteśmy jałowi jak ziemia pod spalonym lasem.

Peter kręci głową.

— Nie, ciebie to nie dotyczy. Ty jakoś zdołałaś się podźwignąć. Widzę to w twoich oczach. Kładę się do łóżka owinięta ręcznikiem.

— Peter. — Uśmiecham się smutno. — Wiem, że jestem wariatką. Pogodziłam się z tym. Ufam ci, a mimo to nie mogę zrzucić tego ręcznika. — Mocniej się nim otulam.

— Raz już zrzuciłaś.

— To co innego. — Odwracam wzrok. Emocje przewalają się przeze mnie z taką intensywnością, że mam ochotę wybiec z pokoju i dołączyć do mojego indyka w lesie. Odsuwam się, ale Peter nie pozwala mi odejść, chwyta mnie za rękę. Łączność między nami nie została przerwana. Gdy Peter mnie dotyka, mam wrażenie, że jest w stanie czytać mi w myślach, co mnie okropnie przeraża. Moją głowę zamieszkują potwory, wspomnienia, o których nie chcę pamiętać.

— Dlaczego? — Jego głos jest taki miękki, taki życzliwy. Jak kaszmir, delikatny i kuszący. Obiecuje rzeczy, o których marzyłam, ale sądziłam, że nigdy nie będą dla mnie dostępne. Bez mojej woli drży mi dolna warga. Peter to zauważył i kładzie mi palec na ustach. Jego spojrzenie wędruje od palca do moich oczu i z powrotem. — Wyjaśnij dlaczego. — Zabiera palec, a ja otwieram usta i łykam powietrze, jakbym się dusiła.

— Nie... nie mogę.

Chcę wyjaśnić, ale nie mogę. Przymykam powieki i spuszczam głowę, ale Peter nie godzi się na to. Ujmuje mój podbródek i podciąga go w górę. Nasze oczy się spotykają i w tym momencie świat się rozplywa.

Choć raz pragnę być odważna. Chcę powiedzieć prawdę i się przekonać, co z tego wyniknie. Zachowałam się źle wobec Petera, był na mnie wściekły. Strach wypycha mi słowa z powrotem w gardło, ale one powracają, zbuntowane, jakby miały własny rozum. Czuję je na języku, a potem na wargach.

— Wcześniej było inaczej... mogłam zrzucić ręcznik... bo... bo myślałam o czymś, o czym nie powinnam. — Stoję tam z otwartymi ustami, szukając odpowiednich słów. — Dałam się ponieść chwili.

Ktoś musiał wyssać całe powietrze z pokoju, bo nagle nie mogę złapać oddechu. Peter nadal podtrzymuje mój podbródek, a ja czuję się jak ryba złapana na haczyk. Boję się, że po tym, co powiedziałam, Peter mnie odtrąci, ale on tylko się do mnie nachyla i owiewając ciepłym oddechem, pyta:

— Tak? A o czym to myślałaś? Dzięki czemu poczułaś się na tyle bezpieczna, że postanowiłaś mi zaufać?

Mam tak zaciśnięte gardło, że nie mogę przełknąć śliny. Peter nadal trzyma mnie za brodę, nie mogę mu się wyrwać. Ta rozmowa mnie przeraża, chociaż zarazem jest ekscytująca. Dłoń Petera jest ciepła, jej uścisk delikatny, choć stanowczy. Peter przesuwając ją z podbródka na policzek. Rozkoszuję się tą pieczywą i zamykam oczy.

— Przez chwilę wszystko wydawało się takie, jakie powinno być, jakby nic złego mnie nigdy nie spotkało. Jakbyś odnalazł we mnie tamtą dziewczynę, jaką kiedyś byłam, i wyciągnął ją na powierzchnię. Ta dziewczyna się ciebie nie boi i wciąż tu jest, marzy o rzeczach, o których normalnie nigdy nie myślę.

— Powiedz mi, o czym marzyłaś, Sidney. — Oczy Petera wpatrują się w moje, szukają w nich czegoś, są przepełnione nadzieją.

Otwieram usta, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobywa. W myślach to brzmiało zupełnie inaczej. Wypowiedzenie tego na głos urealniło wszystko. Peter muska mnie wargami po policzku i się odsuwa. Jego spojrzenie wędruje do moich ust, jakby chciał mnie znowu pocałować. Chcę być odważna, więc zbieram się w sobie i mówię:

— Pożądałam cię.

Przez jego twarz przemyka cień uśmiechu.

— Tak pożądałaś, pożądałaś?

Czerwienię się. Czuję, jak rumieniec zalewa mi policzki, i nie mogę powstrzymać uśmiechu. Chcę odwrócić wzrok, ale Peter mi na to nie pozwala — jego palce znowu lądują pod moją brodę. Przekręca mi głowę, tak żebyśmy patrzyli sobie w oczy.

— Możliwe.

— Kiedy mówisz „możliwe”, zwykle znaczy to „tak”.  
Szczere się w uśmiechu.

— Możliwe.

## Rozdział 12.

Reszta nocy przemija powoli. Wiercę się i rzucaam na łóżku, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Fakt, że Peter leży na podłodze przed łóżkiem, doprowadza mnie do szaleństwa. Marzę, żeby mnie objął, ale boję się, że mi odbije i że go przepędzę, gdyby posunął się za daleko. Przekręcam się na plecy i zasłaniam twarz poduszką. Pod plecami mam ręcznik, jest wilgotny, poskręcany, okropnie mi niewygodnie. Duszę się pod poduszką, ale nagle czuję, że ktoś za nią ciągnie.

Peter patrzy na mnie tymi swoimi wspaniałymi oczyma.

— Niespokojna noc?

— Możliwe. — Oboje parskami śmiechem. A niech to. Nie miałam pojęcia, że w ten sposób odpowiadam. Zapisuję sobie w pamięci, że mam przestać mówić „możliwe”, gdy tak naprawdę chcę powiedzieć „tak”.

Peter wyciąga do mnie rękę. Chwytam ją, a on podnosi mnie z łóżka. Chcę złapać ręcznik, ale Peter zamyka oczy.

— Zostaw go. Nie będę patrzył. — Wyciąga do mnie rozpostarte ramiona. — Zatańczmy.

Zakładam za ucho kosmyk włosów.

— Peter, ja...

— Powiedziałaś „możliwe”. „Możliwe” znaczy „tak”. Ale musisz prowadzić, bo ja nie mogę otworzyć oczu. — Przyglądając się mu, podejmuję decyzję. Jest tylko w szarych spodniach od dresu. Ledwie go widzę w ciemności. Światło z ulicy rzuca na pokój wpływającą przez szparę w zasłonach żółtą poświatę. Poświata pada na jego atletyczne ciało i wysunięte ramiona.

Robię krok w jego stronę i biorę go za rękę. Jedną kładę sobie na biodrze, w drugą wsuwam dłoń. Nasze palce splatają się, zaczynamy się wolno kołysać. Serce mi wali, mimo że już nieraz tak tańczyliśmy. W przeszłości Peter był moim nauczycielem i moim szefem. Teraz stoi przede mną na wpółnagi z zamkniętymi oczami. Jak myśmy dotarli do tego punktu? Tamtego wieczoru w restauracji, gdy się pierwszy raz spotkaliśmy, nie pomyślałabym, że tak skończymy.

Akurat gdy już się uspokajam, coś zaczyna skrobać w drzwi. Brzmi to jak zgrzyt gwoźdźcia przeciąganego po metalu. Peter szybko otwiera oczy, ja przywieram do niego. Zapominam o ręczniku i wysłużonej piżamie. Odgłos brzmi groźnie, jak drapanie o metal ostrza noża sprężynowego — lub noża Deana. Podnoszę wzrok na Petera, on w tym samym momencie spogląda na mnie. Oboje milczymy i w tej ciszy znowu rozlega się ten sam dźwięk.

Peter wypuszcza mnie z objęć. Przyciska palec do ust i gdy kiwam głową na znak, że rozumiem, podchodzi do okna, żeby wyjrzeć na ulicę przez szparę w zasłonach. Stoi chwilę przy oknie, uważając, żeby nie dotknąć zasłon, potem wraca do mnie na paluszkach i szepcze:



— Nikogo nie widać. Może sobie poszli. — Ale w chwili gdy kończy, przeraźliwy dźwięk znowu się rozlega. Tym razem jest głośniejszy i trwa dłużej.

Mój umysł szaleje, podsyła obrazy z przeszłości. Przed oczami miga mi błysk srebra. Przyciskam się do Petera.

— Ten nóż, nóż Deana...

Peter mocno mnie przytula. Czuję, że nie chcę mnie puścić, ale odgłos ponownie się odzywa. Może intruz wyrzyna jakiś napis na drzwiach. Może skończy i odejdzie. Peter szepcze mi coś do ucha, nie odrywając jednak oczu od drzwi. Gorączkowo powtarzam w myślach „odejdz, odejdz”, jakby to faktycznie mogło coś pomóc.

Peter nadal przyciska mnie do siebie. Wpatrujemy się w drzwi, przekonani, że zaraz otworzą się z hukiem, ale w pokoju panuje głucha cisza. Ciężko przełykam ślinę i spoglądam na Petera, chcę się odezwać, lecz w tym momencie coś uderza w drzwi i równocześnie słyszę szcęknięcie klamki, jakby ktoś próbował otworzyć drzwi. Rozglądam się z przerażeniem po pokoju, szukając czegoś do obrony, ale niczego takiego nie ma. Puls tętni mi w uszach, dlatego gdy Peter mnie puszcza, wpadam w panikę.

Peter jest wściekły, zalewa go testosteron. Blizna na jego boku błyska bielą, gdy przecina płamę światła na podłodze. Łuna z ulicy przemyka po jego ciele niczym skaner czytnika kasowego w sklepie spożywczym. Chcę coś powiedzieć, ale Peter już otwiera gwałtownie drzwi. Te tak mocno walą w ścianę, że klamka wyrąbuje w niej dziurę.

Peter daje krok na zewnątrz.

— Pokaż się, sukinsynu, załatwmy to tu i teraz! — Wychodząc boso na parking, Peter zaciska dłonie w pięści. W pokoju obok zapala się światło. Widzę złotą poświatę wypływającą przez okno i padającą na asfalt parkingu.

Chcę, żeby Peter wrócił. Nie mogę go stracić. Nie mogę. Wybiegam za nim i w tej samej chwili coś wystrzeliwuje zza krzaków obok naszych drzwi. To coś wpada na mnie i przebiega mi po stopach, drapiąc pazurami.

Drę się na całe gardło i rzucam do ucieczki. Peter podbiega do mnie, żeby mnie zatrzymać. Widzę, że się śmieje, więc natychmiast przestaję się bać. Zatrzymuję się i spoglądam w dół, żeby zobaczyć, co siedzi mi na nodze. Mój indykowaty sęp patrzy na mnie jak na wariatkę, potem spokojnie schodzi z mojej nogi, podchodzi do drzwi, skrobie w nie dziobem, czemu towarzyszy obrzydliwy zgrzytliwy odgłos, a następnie wskakuje do pokoju.

Z walącym sercem oglądam się na Petera.

— O co chodzi, do cholery?

Peter ma ręce splecione na szerokiej piersi.

— Cóż, wygląda, że ten wielki padlinożerca nie chce spać na parkingu.

Gapię się na Petera, wciąż nie mogąc uwierzyć. Dlaczego?

— Dlaczego to mi przytrafiają się takie rzeczy? — Celuję palcem w stronę sąsiedniego pokoju i ludzi, którzy się nam przyglądają z otwartych drzwi. — Dlaczego to nie spotyka na przykład ich?

Peter kiwa głową do sąsiadów, machając do nich ręką i uśmiechając się przepraszająco. Ludzie znikają w pokoju.

— Cóż, należy zacząć od tego, że oni nie zabrali z autostrady rannego ptaka i nie trzymali go cały dzień we własnym biustonoszu. Gdybyś go przejechała jak każdy normalny człowiek, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. — Peter jest tak bliski wybuchnięcia śmiechem, że ledwie panuje nad wyrazem twarzy. — A przy okazji, gdy następnym razem będę cię ratował przed gigantycznym kurczakiem, nie wychodź z pokoju.

Peter otacza mnie ramieniem i wprowadza do pokoju, a następnie zamyka za nami drzwi.

— Byłeś gotowy walczyć ze wszystkim, co byś tam zastał, prawda? — Kiwa głową na potwierdzenie. — Co takiego sprawia, że mężczyzna najpierw staje się pacyfistą, ale gdy trzeba, wraca do wcześniejszych przyzwyczajzeń?

— Nóż w boku zmienia człowieka. — Peter rozgląda się dokoła, szukając indyka. Ptak stoi pod zlewem i czyści pióra. — Uff, Sidney, nie będę spał na podłodze, jeśli to coś ma łączyć po pokoju. Nie wiem, czy w ogóle mogę tu spać.

— Więc go wyrzuć.

Peter patrzy na ptaka, potem z powrotem na mnie. Śmieje się i kręci głową.

— Nie, dzięki. Zresztą znów by nam przeszkadzał.

— Pewnie jakiś kot chciał go pożreć.

Teraz już Peter śmieje się na cały głos.

— Myślę, że to on zżarł kota i jeszcze psa, który gonił za kotem. A teraz chce mu się spać. Jeśli się dobrze przyjrzyjiesz jego dziobowi — Peter coś pokazuje, więc się nachylam, żeby też to zobaczyć — zobaczysz, że sterczy z niego biały koniuszek kociego ogona.

Uderzam go w ramię i parskam śmiechem.

— Jesteś nienormalny.

— Zaprosisz mnie do łóżka?

Przybieram nieodgadnioną minę.

— Co proszę?

— Nie będę spał z sępem na podłodze. Kto wie, czy nie zaczęłyby się dobierać do moich maleństw.

Na twarz wypływa mi figlarny uśmiezek.

— Maleństw? Dziewczyny są zawiedzione, kiedy słyszą takie rzeczy.

Peter siada obok mnie.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że odpowiedzią na ten komentarz jest zaproszenie, żebyś zajrzała i sama się przekonała? Naprawdę chcesz, żebym to

powiedział?

Próbuję powstrzymać uśmiech. Staram się zachować powagę, ale kąciki ust same mi drgają.

— Możliwe.

Peter wybucha śmiechem i wyciąga do mnie ręce. Jego palce łaskoczą mnie w bok, opadam na łóżko, a Peter nachyla się nade mną.

— Mogę z tobą spać, panno Colleli?

— To dość bezceremonialne pytanie, doktorze Granz.

— Będę trzymał ręce przy sobie. Obiecuję.

— Wszystko masz trzymać przy sobie.

Patrzy na mnie, jakby nie rozumiał, więc wyjaśniam:

— Kiedy byłam mała i po raz pierwszy usłyszałam o seksie, uznałam, że to coś obrzydliwego. Nie potrafiłam pojąć, że ludzie chcą coś takiego robić. Ale dzieci są słodkie i skądś się biorą, więc pomyślałam, że pewnie dzieje się to samoistnie.

— Samoistnie? — Widać, że Peter wciąż nic nie rozumie.

— No tak. Ta rzecz... — Pokazuję palcem na jego przyrodzenie i kontynuuję: — zakrada się w środku nocy, gdy para śpi, i robi to, co ma zrobić.

Peter wybucha śmiechem i mocno mnie do siebie przytula.

— W takim razie będę ją trzymał w spodniach, Colleli.

## Rozdział 13.

Z rana Peter pakuje samochód, a ja zaglądam do rachunku. Patrząc na sumę, mrugam ze zdumieniem kilkakrotnie. W tym czasie indyk tanecznym krokiem wyłazi z szafy, opuszcza pokój i wskakuje do samochodu. Myślę sobie, że ptak się do mnie przywiązał, ale nie jestem pewna.

Składam rachunek i spoglądam na Petera.

— Tu jest naliczone za coś dwieście pięćdziesiąt dolarów. Zamówiłeś jakieś pornosy, kiedy poszłam spać?

— Nie. I za te pieniądze mógłbym wynająć panienkę. Pokaż, sprawdzę. — Peter zatrząskuje bagażnik i wyciąga rękę.

Podaję mu rachunek, mówiąc:

— Taa... panienkę i może nawet z drewnianą nogą.

Peter na mnie nie patrzy.

— To ty byś wynajęła faceta pirata, nie ja. Kręca cię przepaski na oku.

Rozdziawiam usta i patrzę na niego z niedowierzaniem.

— Jak możesz tak mówić?

— Bo to prawda. Przyznaj się, że podobałby ci się gość w pirackiej koszulce, z wielkimi bicepsami, zalatujący morzem. — Nie odpowiadam. Peter podnosi na mnie oczy i opuszcza rachunek.

— Właśnie opisałeś połowę chłopaków z Jersey. Niech cię diabli, Peter. Mam lepszy gust.

— Czyżby? — Kiwam głową. Peter zerka na samochód, potem puka palcami w rachunek. — Jesteś przekonana? Jak by nie patrzeć, przygarnęłaś sępa.

— To jest indyk. Po prostu nikt tego nie widzi.

— Ten indyk odgryzie ci w nocy połowę twarzy, a te dwieście pięćdziesiąt dolarów to za sprzątanie pokoju, bo motel nie przyjmuje zwierząt.

Wydymam usta.

— On nie jest zwykłym zwierzęciem, tylko ofiarą wypadku. Coś pokiereszowało mu skrzydła.

— Zajmę się tym, a potem jedziemy. — Peter rusza w stronę biura motelu, ale zatrzymuje się, gdy go wołam.

— Może i masz rację. Chyba faktycznie podobałby mi się gość w pirackiej koszulce.

Peter odwraca się z kpiącym uśmiechem na ustach.

— Och, świntusz tak dalej, maleńka.

— Może i będę.

Peter przyciska rękę do serca i udaje, że chwieje się na nogach.

— Tylko nie tutaj, na parkingu. Bo nie obiecuję, że zdołam nad sobą zapanować. — Mruga do mnie i resztę drogi do biura pokonuje truchtem.

Wsiadam do samochodu i spoglądam na tylne siedzenie, gdzie siedzi indyk.

— Będą z tobą same kłopoty, co? — Ptak ma łeppek wykręcony do tyłu, ukryty pod skrzydłem. Wygląda to dość dziwnie. Głowy powinny być skierowane do przodu. — Trzeba cię jakoś nazwać. Niech no się zastanowię...

Peter wraca biegiem do auta i siada za kierownicą. Naprawdę fajnie wygląda, kiedy tak zwała się na fotel i posyła mi promienny uśmiech. Ciemne włosy opadają mu na oczy, przez co ich barwa jest jeszcze bardziej intensywna. Zapominam, o czym myślałam, i daję się pochłonać chwili.

Peter szczerzy do mnie zęby.

— Podglądaczka.

Zmuszam się do uśmiechu i odwracam wzrok.

— Ale to lubisz.

— Nie mówiłem, że nie lubię. Jak dla mnie, możesz mi się przyglądać, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota.

Prycham i podciągnąwszy nogi, opieram stopy na desce rozdzielczej.

— Ho, ho, co za tekst na podryw.

— Nie potrzebuję cię podrywać, bo już cię poderwałem. Poza tym jeśli mnie pamięć nie myli, to ty pierwsza do mnie podeszłaś. — Peter wyjeżdża z parkingu, kierując się w stronę szosy międzystanowej.

— Hm, może i tak. Ale powiedz, zawsze miałeś taki zwyczaj, że zabierałeś do siebie dziewczyny, które się do ciebie przysadyły?

Przez twarz Petera przemyka wyraz zakłopotania, jednak zaraz znika.

— Możliwe.

— W gazetach piszą, że byłeś playboyem. Ci dziennikarze, oni... — Sonduję go, próbuję się czegoś dowiedzieć o jego przeszłości. Skrobiąc palcem plamkę na dżinsach, zerkam na niego kątem oka.

— Byli zbyt powściągliwi. Ja, hm... — Peter głośno wypuszcza powietrze i spogląda na mnie. — O co w zasadzie pytasz? — Wydaje się zdenerwowany, mocniej zaciska ręce na kierownicy.

— Plotka niesie, że przez jakiś czas biłeś się i sypiałeś z każdym, kto ci się nawinał pod rękę.

— Biłem się z facetami, sypiałem z kobietami. Ale chyba nie o to pytasz... Nie jestem bi i nie biję kobiet. — Zerka na mnie szybko, potem z powrotem kieruje spojrzenie na drogę.

— Dobrze wiedzieć. — Milknę, próbując ustalić, co myślę o Peterze i jak to pasuje do tego, co już wiem.

— A jak jest z tobą?

— To znaczy?

— To samo pytanie... masz skłonności biseksualne lub lubisz bić kobiety? Bo wiesz, mógłbym się pogodzić z jednym i z drugim.

Uśmiecham się lekko

— Jesteś strasznie walnięty.

— Nie odpowiedziałaś, panno Colleli.

Wzruszam ramionami.

— Do chwili gdy cię poznałam, myślałam, że jestem załamana. Nie pociągała mnie perspektywa bycia z kimś.

— A teraz?

— Teraz może i się nad tym trochę zastanawiam. — Zagryzam zęby i klnę na siebie w duchu, a moje policzki oblewają się gorącem. Pochylam się i przyciskam twarz do kolan.

— Mówiłem, że to ty mnie poderwałaś. I tak powinno zostać. — Zerkam na niego, zachwycona tym, że nie komentuje mojej czerwonej twarzy. — Nie będę cię namawiał do seksu. Decyzję co do tego pozostawię tobie. Ty będziesz prowadziła, okej? — Łapie mnie za rękę i lekko ją ściska. — Ale to nic złego, że myślisz o takich rzeczach. To znaczy, że ruszyłaś z miejsca.

Dobry nastrój uchodzi ze mnie jak powietrze z balonu. Zabieram rękę i odwracam twarz do okna.

— Nie, to nie tak. Po prostu nie chce mi się już czekać na to, aż się z tym uporam.

— Sidney, jesteś dalej niż ja. Niedługo zupełnie znikniesz mi z widoku. Myślę, że miałaś rację: tak naprawdę nigdy nie zapominałyśmy tego, co się wydarzyło, ale to akceptujemy i uczymy się z tym żyć. Ja jeszcze się nie pogodziłem z przeszłością, ale tobie się to już udało. Chciałbym... — Milknie. Spoglądam na niego i widzę, że zaciska zęby, jakby się powstrzymywał przed powiedzeniem czegoś.

— Mów — rzucam ciepło, dotykając jego dłoni. Jest rozgrzana. Splatam palce z jego palcami. Tak bardzo chciałabym móc ulżyć mu w bólu.

Uśmiecha się smutno.

— Czasami czuję się tak, jakbym stał nad przepaścią i jakby najlżejszy powiew wiatru mógł mnie w nią strącić. Wiem, że grozi mi upadek, a jednak nie potrafię się cofnąć. Tak właśnie wygląda moje życie. Podobnie jest z moim bratem, tylko że on już skoczył w tę przepaść. Ale ja nie chcę tak skończyć. Tylko że jak będę stał dalej nad przepaścią, to spadnę, a nie potrafię odejść. — Nie patrząc na mnie, Peter ciężko wzdycha.

Za szybą śmigają drzewa, indyk wierci się na tylnym siedzeniu. Wydaje kilka skrzekliwych odgłosów, po czym znowu zasypia.

— Taa... wiem, o czym mówisz. Przez kilka lat na początku czułam się, jakbym spadała. Żołądek ciągle miałam w gardle. Bałam się, co się ze mną stanie, gdy dotrę na dno.

— Uważasz, że już je osiągnęłaś? — Kiwam głową. — I co tam było?

Chwilę się zastanawiam, potem się uśmiecham.

— Ty. Tamten wieczór w restauracji, to było moje dno. Przestałam spadać i nastąpił zwrot. — Peter również kiwa głową, ale nie komentuje. — Nie dasz rady kontrolować wszystkiego; możesz mi wierzyć, bo mówię z doświadczenia. Musisz trochę odpuścić i patrzeć, jak to się skończy. Może nie będzie tak źle, jak sądzisz.

Peter ściska moją dłoń i podnosi ją do ust.

— Nie zasługuję na ciebie.

— Ja uważałam, że nie ma już dla mnie szczęścia, ale poznałam ciebie. Należy ci się wytchnienie od wszystkiego, co cię gryzie od środka. Nie myśl tyle i zobacz, gdzie cię życie zaprowadzi. Kto wie, może wylądujesz w samochodzie z szurniętą dziewczyną i sępem owiniętym w biustonosz. — Peter uśmiecha się ciepło. Przysuwam się i opieram mu głowę na ramieniu.

## Rozdział 14.

Po wjeździe do Pensylwanii Peter zatrzymuje się na stacji benzynowej. On tankuje, a ja biegnę do toalety i w drodze powrotnej wpadam na mojego brata bliźniaka — dosłownie na niego wpadam. Sam staje mi na drodze, a ja walę głową w jego szczupły tors. Podnoszę wzrok, żeby przeprosić, ale wtedy widzę, że to mój braciszek.

— A więc jednak przyjechałaś. — Sam ma na głowie bejsbolówkę. Jest ubrany w starą sportową koszulkę z liceum i w džinsy. Wygląda tak samo, jak wyglądał, gdy jeszcze mieszkałam z rodzicami. Trochę się garbi, jakby był zmęczony. Zerka w głąb sklepu, gdzie przy lodówkach, tyłem do nas, stoi Dean.

Ruszam do wyjścia. Nie chcę kolejnej sceny w sklepie na stacji.

— Jasne, że przyjechałam. — Docieram do drzwi i wychodzę na zewnątrz. Przy drzwiach jest dzwonek, którego dźwięk zmraża mi krew. Czuję na sobie spojrzenie Deana. Przesuwa się po moich plecach niczym lodowate szpony, mimo to się nie zatrzymuję. *Wsiadaj do samochodu. Wsiadaj do samochodu. Wsiadaj do samochodu.*

— Ten gość jest z tobą? — pyta Sam, przyglądając się Peterowi, który nadal tankuje benzynę.

— Oczywiście. Do zobaczenia w domu.

Sam kiwa głową, potem znowu spogląda na Petera i przymruża oczy.

— On mi się nie podoba, Sid. Jest jakiś dziwny, jakby niewiele brakowało, żeby coś w nim pękło i facetowi odbiła szajba.

— Dlatego lepiej go nie wkurzaj — mówię to, już prawie dochodząc do samochodu. Peter podnosi wzrok i w jego oczach na widok Sama pojawia się błysk wściekłości. — Wsiadaj. Znikajmy stąd. — Szybko wślizguję się na miejsce pasażera i zapinam pas. Nie muszę niczego wyjaśniać. Peter dobrze wie, o co mi chodzi, i odjeżdża, jednak wcześniej mierzy Sama i Deana groźnym spojrzeniem. Ja tymczasem zastanawiam się, czy Peter faktycznie jest nieźrównoważony, jednak szybko odsuwam od siebie tę myśl. Wszyscy do jakiegoś stopnia jesteśmy szurnięci. Poza tym dobrze, że mam przy sobie kogoś, kto w razie czego może mnie obronić.

Po wyjechaniu na główną szosę Peter pyta:

— Próbował coś ci zrobić?

— Nie, niezupełnie. Wpadłam na Sama. Dean się nie odzywał, tylko się gapił jak jakiś psychol. — Przebiega mnie lodowaty dreszcz. Rozcieram ramiona, ale nieprzyjemne mrowienie jeszcze trochę trwa. Oglądam się na indyka, zastanawiając się, czy ptak przypadkiem nie zdechł.

— Prawie się nie rusza, zauważyłeś?

Peter spogląda w lusterko wsteczne.



— Za to jest bardzo aktywny w nocy, akurat wtedy gdy mam zamiar się z tobą kochać. To tak, jakbyśmy zabrali ze sobą przyzwoitkę. — Peter sprawia wrażenie spiętego, jakby po żyłach zamiast krwi krążył mu lęk w płynnej formie. — Zjemy dzisiaj z moim bratem kolację, jeśli ci to nie przeszkadza. Muszę go poprosić o pomoc w pewnej sprawie.

Kiwam głową, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego jest taki zdenerwowany. Nie przestaję się oglądać w tył; wypatruję, czy Sam i Dean nie jadą za nami.

— Który to brat?

— Sean, najstarszy. Młodszy jest lekkoduchem, ale Sean trzyma się ziemi. Zna życie, dlatego chcę z nim pogadać. — Peter wygląda okej, lecz głos ma trochę spięty i trzyma kierownicę na dziesiątej i drugiej. Robi tak tylko wtedy, gdy jest wkurzony albo gdy się czymś martwi.

— A o czym chcesz z nim gadać?

— O mnie i o tobie. Nie chcę nikomu opowiadać, przez co przeszłaś, i może nie będę musiał, ale Sean jest trochę nieprzewidywalny. Muszę wiedzieć, czy wolno mi mu wspomnieć o tobie, o twojej rodzinie... o Deanie.

— Ufasz mu, mimo że zabił żonę?

— Tak, chociaż w zasadzie to nie wiem, co się wydarzyło tamtej nocy. Nikt nie wie. Sean nigdy o tym nie mówi, mimo to nie sędzę, żeby ją zabił. Tak się cieszył z powodu dziecka. To po prostu nie trzyma się kupy. — Milknie i pogrąża się w rozmyślaniach.

Ja też myślę. Zastanawiam się, co może popchnąć ludzi do popełnienia morderstwa. Nienawidzę Deana, ale nie chcę go zabić. Przynajmniej nie wtedy, gdy myślę racjonalnie i gdy nie śpię. Ale gdyby potrąciła go ciężarówka, nie byłabym załamana. Zastanawiam się, czy można to porównać do świadomego zabójstwa, i dochodzę do wniosku, że na jakimś poziomie tak.

Zerkam na Petera.

— Możesz mówić, co chcesz, tylko żeby potem moja historia nie krążyła po Internecie. I nie chcę słyszeć, jak mu o tym opowiadasz. Odeślij mnie wtedy do baru albo gdzie indziej. — Czuję, że wierci mnie w żołądku. Nie podoba mi się to całe spotkanie, ale jeśli Peter uważa, że potrzebuje brata, to znaczy, że powinien się z nim zobaczyć.

To, że ja odcięłam się od rodziny, w jakimś sensie mnie wyzwoliło, mimo to żałuję, że tak się stało. Nie chciałam, żeby to się tak skończyło, ale nie mam pojęcia, jak to naprawić. Peter ma szansę pogodzić się z bratem. Pragnę go w tym wspierać, mimo że na dźwięk imienia „Sean” po plecach chodzą mi zimne ciarki.

Do Nowego Jorku docieramy dość późno. Gdy już jesteśmy w hotelu, Peter dzwoni do brata. Szybko się kąpiemy i przebieramy. Akurat gdy się maluję, Peter

przechodzi za moimi plecami. Biodra ma przewiązane ręcznikiem, włosy mokre i zmierzwione. Nie widzi mnie w miejscu, w którym stoję, chyba że spojrzełby w lustro. Od łazienki w głąb pokoju rozciąga się ścianka, dająca iluzoryczne wrażenie intymności. Zamieram, zastanawiając się, czy Peter widział mnie, gdy się przebierałam. Nie pamiętam, gdzie wtedy stał, ale to chyba nie było to miejsce, w którym stoję teraz.

Słyszę szelest i się oglądam akurat w chwili, gdy Peter opuszcza ręcznik. Jest odwrócony do mnie tyłem i kompletnie nagi. Kredka do kresek drży mi w palcach, gdy gapię się na Petera jak sroka w gnat. Jest perfekcyjnie zbudowany, jeśli nie weźmie się pod uwagę szpecącej blizny na boku. Jest cienka i biała, oplata się na biodrze. Plecy Petera składają się z samych mięśni, ale to już wiedziałam.

To, na co się tak gapię... od czego nie mogę oderwać oczu... to ten perfekcyjny tyłek. Peter jest pięknie umięśniony — wszędzie — i jego zaplecze nie stanowi wyjątku. Gapię się na niego z rozdziawionymi ustami, myśląc o tym, jak by to było tulić się do tego nagiego ciała i wbijać paznokcie w ten doskonały tyłeczek. W mojej głowie nie ma ani jednej racjonalnej myśli. Po prostu patrzę i wyobrażam sobie, że leżę na Peterze, zastanawiam się, jakie by to było uczucie. A potem, gdy Peter schyla się po bokserki, jestem bliska omdlenia. Wstrzymując oddech, lekko się przesuwam, żeby mieć lepszy widok. I właśnie wtedy wbijam sobie w oko kredkę do kresek.

Peter odwraca się, żeby sprawdzić, co się stało. Myśli, że go nie widzę. Zaciskam oko i klnę pod nosem. Potem otwieram oczy i w lustrze widzę piękne szafirowe spojrzenie Petera. Na jego twarz wypływa przebiegły uśmiezek.

— Podglądałaś mnie, Colleli?

— Nie, tylko przypomniał mi się ten pirat, o którym mówiłaś wczoraj, i... —  
Co ja do diabła wygaduję?

— I ukłułaś się kredką w oko? — Peter zbliża się. Jestem tak zdenerwowana, że nie mogę ustać w miejscu. Serce mi wali, cała drżę. Rzucam kredkę na stolik i zaczynam szybko mrugać, starając się nie patrzeć na Petera. Dotąd nigdy mnie nie ciągnęło do podglądania nagich mężczyzn. Nie widziałam w tym nic interesującego. W końcu te owłosione partie nie są szczególnie pociągające, ale... och mój Boże... w przypadku Petera wygląda to zupełnie... Myśli tłuką mi się po głowie, każda podąża w innym kierunku. Mam ochotę przeciągnąć dłońią po płaskim brzuchu Petera, mrowią mnie wargi, kiedy pomyślę, że mogłabym go pocałować w tym miejscu poniżej pasa, a mój język... O Jezu, zupełnie oszalałam. Nachodzą mnie totalnie mi obce pomysły, a lista rzeczy, których nigdy bym nie zrobiła, kurczy się w zastraszającym tempie.

Zanim jestem w stanie to zarejestrować, Peter już stoi za mną. Przybliża się i zerkając ponad moim ramieniem, przygląda się naszemu odbiciu w lustrze. Pod jednym okiem mam czarną kreskę, bo po wbiciu kredki jeszcze się nią pomazałam.

Wyglądam idiotycznie, ale mam to gdzieś. Bliskość nagiego Petera wywołuje napięcie w każdej cząsteczce mojego ciała.

— Podglądałaś mnie, Colleli.

— Bo jest co, Granz — mówię to pewnym siebie głosem, jakbym stale widywała nagich mężczyzn. Potem pokazuję na swoje czerwone oko i dodaję: — Mam nadzieję, że masz jakąś opaskę dla piratów. Dam sobie rękę odciąć, że... — Z mojego gardła wydobywa się mimowolne stęknienie w reakcji na to, że Peter kładzie mi ręce na biodrach. Jestem tak spięta, tak podniecona, że nie mogę myśleć. Przyglądamy się sobie w lustrze.

Oczy Petera są straszliwie ciemne. Jego głos, gdy się odzywa, brzmi zaskakująco nisko.

— Odwróć się, Sidney.

Kręcę głową, chociaż chcę się odwrócić, chcę na niego patrzeć. Ale ze mnie oszustka. Chcę o wiele więcej. Czuję, jak pożądanie rozplywa mi się po żyłach. Nie chcę tylko patrzeć; chcę dotykać, chcę robić rzeczy, które wcześniej uważałam za niedozwolone. Seks oralny już nie brzmi jak coś bardzo złego. Dotąd takie rzeczy mnie nie interesowały, a myśl, że mogłabym siedzieć facetowi na twarzy albo klęczeć przed nim i ssać... Nawet nie potrafię dokończyć tej myśli. Ale usta wciąż mnie mrowią i lekko drżą, a Peter, który to widzi, uśmiecha się jeszcze bardziej zmysłowo.

Potem wolno się do mnie nachyla i muskając mnie lekko wargami po karku, przesuwa dłonie na moje ramiona. Robi to delikatnie, ale stanowczo. Moja głowa opada na bok, zamykam oczy. Peter odsuwa się, ale nie zdejmuje rąk z moich ramion. Zerkam w lustro, widzę w nim jednak tylko tors Petera.

— Lepiej się ubierzmy i chodźmy na dół. — Próbuję przytaknąć ruchem głowy, ale ta nie chce się poruszyć. Mój Boże, Peter zupełnie mnie rozbroił. Gdybym musiała, nie byłabym teraz w stanie wydusić z siebie nawet jednego sensownego zdania.

Mimo to próbuję, choć język mam jak kołek.

— Jeszcze pomyślą, że się na nich wypięliśmy.

Peter lekko się uśmiecha.

— Jak na kogoś, kto się nigdy nie kochał, używasz sporo dwuznaczności. — Mruga do mnie, cmoka w policzek i odchodzi w głąb pokoju. Na karku czuję mrowienie, które po plecach rozlewa się w dół. Skupiona na tym ciepłym tętnieniu, dopiero po chwili zdaję sobie sprawę z tego, co Peter powiedział. Wzruszam ramionami i rzucam:

— Poczekaj, aż się ze sobą prześpimy, dopiero usłyszysz dwuznaczności.

— Czy to obietnica?

Tym razem nie ma żadnego „możliwe”. Spoglądam na odbicie Petera w lustrze i kiwam głową.

— A i owszem.

## Rozdział 15.

Gdy wychodzimy z windy, Peter bierze mnie za rękę. Ze zdenerwowania mam skurczony żołądek. Hotel jest o wiele bardziej elegancki niż wszystkie, w których do tej pory się zatrzymywałam. Onieśmiela, mam wrażenie, że moja czarna sukienka wygląda tu zbyt skromnie. Peter ma na sobie garnitur, który ze sobą przywiózł. Jedyne powód, dla którego czarna sukienka znalazła się w mojej walizce, to przypuszczenie, że będę jej potrzebowała na pogrzeb matki. Dobrze, że ją mam, bo inaczej nie wpuściliby nas do tej restauracji. Nie spakowałam żadnych sukienek koktajlowych. Brat Petera wybrał ten hotel, bo się w nim zatrzymał.

Peter wyjaśnia:

— Sean przyjechał do miasta w interesach, ale został dłużej niż zwykle. Nienawidzi Nowego Jorku. Zjawia się tu tylko raz w roku i wyjeżdża najszybciej, jak może. — Peter zerka na zegarek. Zaczynam podejrzewać, że umyślnie zwleka z pójściem na spotkanie, co mi jak najbardziej pasuje.

Szpanerska restauracja znajduje się na wprost windy. Czuję się niepewnie i zwalniam. Peter zatrzymuje się, żeby na mnie spojrzeć. Nie chcę stwierdzać oczywistości, ale ktoś musi to powiedzieć.

— Nie stać nas na to, Peter. Już sam pokój w tym hotelu słono kosztuje. Skąd weźmiemy kasę na zapłacenie za kolację?

— Jestem Ferro, Sidney. Moja rodzina ma głębokie kieszenie.

— Ale przecież zerwałeś z rodziną... nie masz już dostępu do pieniędzy. Majątek należy do twojego młodszego brata.

Peter klepie mnie po rękę.

— Mam tyle, że na jakiś czas mi starczy, więc o nic się nie martw.

— A więc mówisz, że masz jakiś fundusz powierniczy, o którym nic nie wiem? — rzucam żartobliwie. Peter kiwa głową, jakby to była nic nieznacząca sprawa. — Jesteś bogaty, mimo że nie dziedzicysz spadku?

— Zależało mi, żeby mnie nie kojarzono z rodziną, dlatego starałem się sam stanąć na nogach.

— A ja ci w tym przeszkodziłam. — Spuszczam wzrok, dusząc się poczuciem winy. Zrujnowałam Peterowi życie.

Peter podnosi mój podbródek i zagląda mi w oczy.

— Jesteś dokładnie tym, czego szukałem. Nie chodziło mi o separację, nawet nie o zerwanie kontaktów z rodziną — szukałem ciebie. Potrzebowałem cię. Żeby ci pokazać, jak wiele dla mnie znaczysz, chętnie w każdej chwili zrezygnuję z funduszu. — Po tych słowach Peter zerka na hostessę uśmiechającą się do nas z drugiej strony korytarza, a potem ogląda się na windę. — Chodźmy stąd. Nie potrzebuję Seana. Zapomnijmy o całej sprawie. — Zaczyna odchodzić.

Nie potrafię pojąć, co się dzieje w jego głowie, ale wiem, że wcześniej wiele

razy próbował doprowadzić do spotkania z bratem. Gdyby teraz odszedł, postąpiłby głupio. Nawet nie wiem, co chce osiągnąć przez to spotkanie. Wątpię, żeby przebiegło w cieplej atmosferze. Nie ruszam się z miejsca. Peter zatrzymuje się i ogląda na mnie.

— Nie zależy ci na pieniądzach, co?

— Pieniądze to rzecz nabyta. Są inne rzeczy, o wiele cenniejsze. I tych będę strzegł za cenę życia.

Sposób, w jaki na mnie patrzy, mówi wszystko. Chodzi mu o mnie — to mnie chce strzec i chronić. Spotkanie z bratem ma coś wspólnego ze mną, z ochroną mnie, przynajmniej tak to wygląda.

— Sidney, mam wystarczająco wiele pieniędzy, żebyśmy dali sobie radę sami. Chodźmy stąd.

Kręcę głową i oglądam się na hostessę.

— Nie, tobie zależy na tym spotkaniu. Już raz namieszałam ci w życiu i nie chcę, żeby to się powtórzyło.

Peter uśmiecha się do mnie.

— Nie zdajesz sobie sprawy ze swojej wartości, nie rozumiesz, jaka jesteś doskonała. Uratowałaś mnie, Sidney. Nigdy nie spłacę tego długu. Nie zniszczyłaś mi życia. Pomogłaś załamanemu facetowi je odbudować. Nikt inny nie byłby w stanie tego uczynić. To była twoja zasługa, od samego początku, od chwili gdy weszłaś do tamtej małej restauracji w Teksasie. Nie masz pojęcia, jaki byłem szczęśliwy, że się do mnie przysiadłaś. Jesteś niesamowita, Sidney.

Kiepsko przyjmuję komplementy, a ten był najdłuższy i najwspanialszy, jaki w życiu słyszałam. Chcę odwrócić wzrok, ale Peter nachyla się do mnie i całuje w usta. Dzięki temu łatwiej mi zaakceptować jego słowa. Do tej pory uważałam, że jestem tylko biorcą, że nie mam nic, co mogłabym podarować Peterowi, ale może się myliłam. Postanawiam, że zastanowię się nad tym później.

— Kocham cię.

Peter cmoka mnie w czoło i mówi:

— Ja też cię kocham. Gotowa? — Kiwam głową i ruszamy w stronę restauracji na spotkanie z najbardziej szalonym z braci — z Sea-nem Ferro.

## Rozdział 16.

Peter, mijając hostessę, informuje ją, że jesteśmy z kimś umówieni w restauracji. Hostessa proponuje, że nas pokieruje, ale Peter nie czekając na nią, rusza przed siebie. Dokąd idzie, przekonuję się dopiero, gdy oszałamiającą salę, zwalnia przy jednym ze stolików. Siedzi przy nim mężczyzna odwrócony do nas plecami. Nie widzę jego twarzy i jestem zdenerwowana. Zakładam, że Peter też jest przejęty, ale jego postawa mówi co innego.

Naprzeciwko Seana siedzi jakaś kobieta. Ją widzę doskonale. Nachyla się nad stolikiem, ciemne włosy opadają jej na ramiona. Mówi coś do Seana, podnosi wzrok i na widok zbliżającego się Petera milknie. Peter pierwszy zatrzymuje się przy stoliku, ja stoję za nim.

Lekko ściska moją dłoń, potem ją puszcza. Czekam krok za nim, aż się przywita z bratem. Zastanawiam się, jacy byli jako dzieci, czy przypuszczali, jak tragicznie ułożą się ich losy. Ale dzieci raczej nie zakładają, że coś takiego może je spotkać. Przyszłość zawsze jawi im się w jasnych barwach; dopiero gdy dorastamy, zdajemy sobie sprawę, że żyliśmy w iluzji.

Sean przedstawia Petera swojej znajomej.

— Peter Ferro.

Peter go poprawia.

— W zasadzie to zrezygnowałem z drugiej części. Teraz nazywam się Peter Granz.

Sean ma niższy głos niż Peter. W głosie tym pobrzmiewa znużenie.

— Przyjąłeś jej nazwisko?

Peter kiwa głową.

— Po tym wszystkim, co się wydarzyło, uznałem, że tak należy. — Peter zmienił nazwisko na nazwisko narzeczonej po jej śmierci. To takie tragiczne i zarazem tak piękne, że muszę ze sobą walczyć, żeby głośno nie westchnąć. Jestem ciekawa, jaki to ma wpływ na Petera. Fakt, że codziennie słyszy nazwisko narzeczonej, musi mu przypominać o życiu, które kiedyś prowadził.

Bracia wymieniają kilka następnych zdań, po czym Peter ogląda się na mnie i przyciąga mnie do siebie. Stałam za nim i czekałam niczym podpierający ściany niechciany Kopciuszek. Ale towarzyszka Seana cały czas mi się przygląda, chociaż się do mnie nie odzywa. Jest uprzejma i pyta, czy bracia są bliźniakami. Prezentuje się jak modelka. Ma świetną fryzurę, bez jednego sterczącego kosmyka, a jej makijaż wygląda, jakby wyszedł spod ręki samego Leonarda da Vinci.

— Przedstawiam wam Sidney Colleli.

Sean wstaje i odwraca się, żeby mi się przyjrzeć. W tym momencie wyraźnie dostrzegam to jakże uderzające podobieństwo między braćmi Ferro. Wyglądają jak kopie siebie, chociaż spojrzenie Seana jest twardsze. Kiwa mi głową na

przywitanie.

— Dobry wieczór, panno Colleli.

— Proszę mi mówić po imieniu.

— Wspaniale, Sidney. — Peter wysuwa krzesło stojące obok Seana, co widząc, czuję, że moje serce wykonuje salto. Nawet jeśli Peter nie uważa, że jego brat jest szaleńcem, to ja nie jestem o tym przekonana. Nie czuję się pewnie w jego towarzystwie. Opuszczam się na krzesło i Sean robi to samo. Peter siada naprzeciwko mnie. Posyła mi uśmiech, który mówi: nie bój się, wszystko jest okej.

Sean spogląda na mnie i rzuca:

— Poznaj Avery Stanz. Avery to moja... — Jestem zaskoczona, że się zawahał. Zerkam na kobietę i widzę, że kąciki jej ust lekko się unoszą.

— Twoja...? — rzuca i trzepocząc rękami, nachyla się do Seana. Sean przymruża oczy. Nie umiem stwierdzić, czy tylko się ze sobą droczą, czy są na tym dziwnym etapie, gdy żadna strona nie chce być tą pierwszą, która nazwie rzeczy po imieniu — że są parą.

Sean nadal wpatruje się w Avery, ale milczy. Poruszam się niespokojnie na krześle i spoglądam na Petera. Odpowiada mi spojrzeniem, które mówi, że on też nie rozumie, co się dzieje.

Avery prychnie i sama się przedstawia.

— Mam na imię Avery i jestem jego ulubioną dziewczynką na telefon. — Mruga do Seana, ja natomiast z miejsca się rumienię. Przez chwilę myślę, że dziewczyna żartuje, ale wyraz twarzy Seana temu przeczy.

Odchyła się na oparcie i potrząsa głową. Uśmiecha się, jednak trudno określić, czy wolałby swoją towarzyszkę udusić, czy przytulić.

— Mówię zbyt wolno i nie zdążyłem wyjaśnić, ale teraz już oboje wiecie, jak popieprzone stało się moje życie i dlaczego wciąż gniję w Nowym Jorku. — Spojrzenie Seana w trakcie przemowy powraca do Avery. Jest tak intensywne, że muszę odwrócić wzrok.

Peter przygląda się Seanowi, ale nic nie mówi. To jego milczenie doprowadza mnie do szaleństwa, więc rzucam impulsywnie:

— Mówisz serio? Śpisz z facetami za pieniądze?

Różowiutki usteczka Avery z tajemniczego zmysłowego uśmiešku układają się do pełnego i szerokiego. Avery parska śmiechem i patrzy na mnie, jakby dopiero teraz mnie zauważyła.

— Ach, no proszę bardzo. Sidney to dziewczyna w moim stylu...

— Nie gustuję w dziewczynach — skrzeczę, co budzi jeszcze większe rozbawienie Avery. Zasłania usta chusteczką, żeby zagłuszyć śmiech, bo jest nieco zbyt głośny jak na tak eleganckie miejsce. Ludzie oglądają się na nas. Jestem przekonana, że moja twarz stoi w płomieniach, bo to niemożliwe, żeby sam rumieniec tak piekł i to tak długo.



— O mój Boże, i jeszcze się czerwieni! — Avery opuszcza serwetkę i szczyrzy do mnie zęby.

Sean zabawia się w tłumacza:

— Avery, jak na kogoś o jej profesji, rumieni się nienormalnie często i ma zwyczaj mówić bez zastanowienia wszystko, co jej ślina na język przyniesie. Sądząc po jej minie, uważa cię za swoją dawno utraconą siostrę. — Słyszę jakiś hałas pod stołem i widzę, że Sean się krzywi. Najwyraźniej Avery kopnęła go w kostkę.

— Zamknij się, bo ją wystraszysz! — woła z udawanym oburzeniem.

Nachylam się do przodu i podnoszę rękę jak w szkole.

— Moglibyście przestać mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było?

Peter, błyskając ku mnie błękitnym spojrzeniem, próbuje powstrzymać śmiech; zasłania usta ręką, żeby nie było widać, że się szczyrzy.

— O mój Boże, uwielbiam ją. — Avery podnosi się, strzepuje dół sukienki, po czym podchodzi do mnie. — Wy tu sobie gadajcie o swoich nudnych męskich sprawach, a my pójdziemy do baru, żeby się lepiej poznać. — Avery kładzie mi rękę na barku, ale widząc, że nie ruszam się z miejsca, chwytą mnie pod ramię i ciągnie za sobą.

— Ojej, mówiłam, że nie interesują mnie dziewczyny.

— Taa... słyszałam, słoneczko. — Wciąż się ze mnie śmieje. — Chodźmy. Zostawmy chłopaków samych, żeby mogli spokojnie porozmawiać.

Teraz to już naprawdę czuję się jak idiotka. Avery nie puszcza mojego ramienia, kiedy przechodzimy przez salę do baru. Jakiś starszy mężczyzna kiwa do niej głową, a ja zastanawiam się w duchu, czy się znają. Kilku facetów ogląda się za nami. Moja sukienka jest o wiele skromniejsza od sukienki Avery, więc zakładam, że oglądają się za nią. Oddałabym życie za jej ciało. Same krzywizny, wszystkie we właściwych miejscach.

Nachyla się do mnie i szepcze:

— Takie przejście daje ludziom do myślenia. Te spojrzenia, jakie otrzymujemy, są przeznaczone dla nas obu. I zobaczysz, co będzie, gdy usiądziemy. Nie minie pięć minut, a jakiś przystojniaczek zapyta cię o numer telefonu. — Mruga do mnie akurat w chwili, gdy docieramy do baru.

Jestem totalnie skrępowana, ale próbuję się rozluźnić. Dziewczyna obok mnie to człowiek jak wszyscy, ma tylko dziwną pracę. Poza tym wydaje się naprawdę miła. Gdyby tego nie powiedziała, nigdy bym się nie domyśliła, że jest prostytutką. Zaciskam usta. Nie mam pojęcia, o czym powinnyśmy rozmawiać. Avery wybiera temat za mnie.

— Więc jedziecie aż z Teksasu, tak? — Podchodzi barman i Avery zamawia dwie setki.

Kiwając głową, mówię:

— Tak, ale ja nie piję wódki.

Avery parska śmiechem.

— Ja też nie. Strasznie się po niej krzywię. Zaraz sama zobaczysz.

Nie umiem rozszyfrować tej kobiety. Nie wiem, czy się ze mnie nabija, czy naprawdę jest taka. Barman stawia przed nami dwa małe kieliszki. Avery sięga po jeden z nich. Gdy ja sięgam po drugi, Avery stuka w niego swoim kieliszkiem i woła:

— *Mazel tov*. Za popieprzonych braci Ferro. — I wlewa w siebie wódkę, zanim zdążę coś powiedzieć, po czym rzeczywiście robi najśmieszniejszą minę, jaką w życiu widziałam. Najwyraźniej nie kłamała, twierdząc, że nie pije mocnych alkoholi.

Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem. Avery ma otwarte usta i ziewa jak pies. Też podnoszę kieliszek, lecz w tym momencie obok mnie siada jakiś mężczyzna.

— Hej, piękna, mogę ci postawić drinka? — Odwracam się do gościa. O cholera, ale ciacho. Facet wygląda jak model, ma niesamowite oczy i jest opalony.

Skonsternowana nie odpowiadam, tylko szybko mrugam. Facet spogląda na Avery.

— Przepraszam, jesteście razem?

Avery posyła facetowi wymowne spojrzenie, otacza mnie ramieniem i mówi:

— Tak, dzisiaj to ja stawiam jej drinki. Spadaj.

Facio uśmiecha się do nas z wyraźną aprobatą przemieszaną z pożądlivością.

— A jak tak, to wybaczcie. Życzę miłego wieczoru. — Ześlizguje się ze stołka i jak niepyszny oddala od baru.

Rzucam Avery zdumione spojrzenie.

— Dlaczego tak powiedziałaś?

— Bo myślisz, że jesteś nieśmiała i niepociągająca, ale tak wcale nie jest. No ale teraz już wiesz. Budzisz zainteresowanie, nawet w tej sukieneczynie. — Avery stuka w bar i kiwa do barmana. Barman przynosi następną setkę, Avery jednak nie wypija jej od razu.

— To nie jest żadna sukieneczyna! Poza tym wydawało mi się, że dobrze w niej wyglądam. — Spoglądam na siebie. Naprawdę jest aż tak źle?

— Wyglądasz w niej jak nauczycielka. To klasyczna długa sukienusia mówiąca „tylko na mnie nie patrzcie”. Po łacinie to się nazywa *facet* *odstraszajus*. — Łapie brzeg mojej sukienki i zaczyna nim powiewać. — Co to jest? Habit zakonnicy. W Teksasie nie pokazuje się kolan, a może to nielegalne?

Zerkam na sukienkę Avery. Nie jest opięta, za to o wiele krótsza od mojej. Widzę przez nią krągłe biodra Avery i wszyscy inni też je widzą. Avery zauważa, że się jej przyglądam, i prycha.

— Nie kręć mnie babki, jeśli nadal się tym stresujesz. W gruncie rzeczy dawno już tego nie robiłam, a Sean Ferro był moim pierwszym klientem.

— Nie wierzę, naprawdę? — Rozmawiając, bębnię palcami w brzeg kieliszka.

Avery kiwa głową.

— Jak upolowałaś drugiego brata? — Ogląda się. Z miejsca, w którym siedzimy, widzimy ich obu. Są pogrążeni w rozmowie i wyglądają jak lustrzane odbicia. To lekkie szaleństwo, że są tak bardzo do siebie podobni.

Prycham, bo poderwanie Petera było zupełnie nie w moim stylu.

— Podeszłam do niego na parkingu i zaproponowałam, że się z nim prześpię. To było raczej impulsywne. Chciałam spróbować czegoś nowego. — Nie mogę patrzeć Avery w oczy.

— Wygląda na to, że ci się udało.

— Szczerze mówiąc, pierwszej nocy mnie przegonił. — Chrzanić to, zamierzam wypić wódkę. Unoszę kieliszek i wlewam alkohol do ust, ale ponieważ niedostatecznie szybko go przełykam, zaczyna mnie parzyć w przełyk.

Avery wybucha śmiechem.

— Ja cię kręcę, jesteś bardziej szurnięta ode mnie. Musisz szybko połknąć, inaczej wypalisz sobie dziurę w gardle! — mówi zbyt głośno. Ludzie odwracają się, żeby na nas popatrzeć.

Czuję na twarzy ich spojrzenia i wpadam w panikę. Nie mogę przełknąć alkoholu. Porcja była zbyt duża; pieką mnie oczy, krew tętni w głowie. Piszczę i wachluję twarz, jakby to mogło pomóc. Avery krzyczy, żebym przełknęła, ale ja nie jestem w stanie tego zrobić. Mam zbyt dużo cieczy w ustach i jestem przekonana, że koniec mojego języka stoi w płomieniach.

Gorączkowo się rozglądam, szukając czegoś, do czego mogłabym wypluć alkohol, ale niczego takiego nie znajduję. Naprawdę zachowuję się z wielką klasą. Trochę dalej przy barze siedzi dwóch chłopaków. Przed tym najbliższym Avery stoi wysoka szklanka. Avery chwyta ją, wylewa zawartość do zlewu na końcu baru i z hukiem stawia szklankę przede mną. Natychmiast wypluwam do niej to, co mam w ustach, a Avery zanoszą się histerycznym śmiechem.

— O mój Boże, jesteś dokładnie taka sama jak ja!

Raczej się z nią nie zgadzam, ale nie mogę jej tego powiedzieć, bo nie mogę mówić. Wachluję otwarte usta, a ludzie dokoła gapią się na mnie z pobłażliwością w oczach. Avery nachyla się do mnie i śmiejąc się, mówi, żebym nie pocierała języka, bo będzie jeszcze gorzej. Mam załzawione oczy, łzy ciekną mi po policzkach. Barman posyła Avery poirytowane spojrzenie i stawia przede mną szklankę z wodą. Avery sięga do torebki i wyciąga spory napiwek dla barmana. Ten od razu jej wszystko wybacza i nawet się do niej uśmiecha.

— Już bardzo dawno nie widziałam czegoś tak śmiesznego — mówi Avery i

wiesza mi się na ramieniu. Szczupłymi palcami zaczyna mi wycierać łzy z twarzy, starając się nie rozmazać makijażu. — No i już. Piękna jak na początku.

— Ależ to było ohydne. Ale i tak mi głupio, że wyplułam. — Zaczynam chichotać i nie mogę się uspokoić. Avery rechocze wraz ze mną. Czuję się przy niej, jakbym ją znała od zawsze. Jest to bardzo dziwne i bardzo zapada mi w pamięć. Zwykle nie najlepiej dogaduję się z ludźmi. Klepię Avery po ramieniu i dusząc się śmiechem, mówię jej prosto w twarz:

— To świństwo, że mnie na to naciągnęłaś. Pieprzę cię.

Avery parska jeszcze głośniejszym śmiechem i szybko przykrywa usta ręką. Obie zanosimy się chichotem, słysząc nas w całym barze. Ja prawie się duszę i jestem pewna, że za chwilę zlecę ze stołka. Jakiś facio próbuje nas poderwać, ale nie mamy czasu nawet na niego spojrzeć, bo tak się śmiejemy. Chwilę później czuję na ramieniu dotyk dłoni. Natychmiast poważnieję i szybko się odwracam, gotowa zadać cios. Nawet już zacisnęłam dłoń, ale wtedy Avery delikatnie mnie szturcha.

Za mną nie stoi nikt obcy. To Sean. Jego bardzo błękitne oczy patrzą poważnie na mnie i na Avery.

— Szanowne panie, kolacja czeka — rzuca i wygina brew, jakby był zdegustowany. Podaje mi ramię, ale ja go nie przyjmuję. Nadal mam na barku gęsią skórę po jego dotyku.

Avery staje przede mną i odpycha rękę Seana.

— Zaraz przyjdziemy. Daj nam sekundkę. — Sean wygląda na poirytowanego, ale odchodzi. Plecy ma proste jak struna. Porusza się inaczej niż Peter, lecz krok ma tak samo pewny. Avery wyrywa mnie z rozmyślań. — Wszystko w porządku?

— Tak, jasne. — Ale to nie jest prawda. Jestem zbyt nerwowa jak na normalną osobę i Avery to zauważa.

Posyła mi wymowne spojrzenie.

— Jeśli potrzebujesz z kimś pogadać, to wiedz, że mam za sobą sporo trudnych doświadczeń. Znam się na życiu, mimo że przeważnie sprawiam wrażenie słodkiej idiotki.

Jestem jej wdzięczna za propozycję, uśmiecham się. Z jej spojrzenia wyczytuję, że na jakimś poziomie domyśla się, co mnie spotkało.

Kiwam głową i zakładam włosy za ucho, żeby uciec przed jej wzrokiem.

— W sumie to nawet miałabym do ciebie kilka pytań. — Wyjaśniam, co mnie trapi, a Avery bez cienia oceny udziela mi rad.

## Rozdział 17.

Peter mówił, że byłaś jego studentką. — Sean śle mi ostre spojrzenie, mówiące, że jestem pozbawiona moralności.

— Taa... Peter był też moim szefem. — Dziobię jedzenie widelcem.

Peter złożył zamówienie za mnie, gdy ja i Avery byłyśmy w barze. Jedzenie jest smaczne, ale mam wrażenie, że jestem oceniana, i bardzo mi się to nie podoba. Zwłaszcza że ocenia mnie Sean, który mnie wkurza. Zadziera nosa, a ja nie znoszę, gdy ludzie myślą, że są lepsi od innych. Może nie powinnam tego mówić, jednak mówię. Odkładałam widelec i spoglądałam na Seana.

— Słuchaj, jeśli chcesz pierwszy rzucić kamieniem, to chyba nie powinieneś korzystać z usług swojej przyjaciółki.

— O kurczę. — Avery uśmiecha się i spuszcza oczy na sałatkę.

Sean świdruje mnie wzrokiem; wytrzymuję jego spojrzenie. Jest kopią Petera, tylko ma ostrzejsze rysy.

— Myślisz, że cię krytykuję?

— Tak, tak myślę.

— Nie robiłem tego — oznajmia, wciąż niegrzecznie się na mnie gapiąc.

— To po co poruszasz ten temat?

Peter nas obserwuje, ale się nie wtrąca. Zamiast tego odchyła się na oparcie, składa dłonie w wieżyczkę i pukając lekko palcami, patrzy na brata.

— Bo myślałem, że jest interesujący. — Sean przenosi spojrzenie na brata. — Zawsze się tak stawia?

— Tylko jak się ją wkurzy. — Peter uśmiecha się do mnie i wraca do jedzenia. W jego oczach pobłyskuje rozbawienie.

— Pytanie było niegrzeczne — mówię, wciąż wściekła na Seana. Choć może powinnam odpuścić.

Sean prostuje się w krześle.

— No to okej, żeby było sprawiedliwie, ty też możesz mi zadać równie grubiańskie pytanie.

— Grubiańskie?

— To znaczy nieuprzejme.

— Wiem, co to znaczy. Ale dobrze, o coś cię zapytam. Powiedz, dlaczego wynajmujesz Avery. Dlaczego się z nią zwyczajnie nie umówisz jak normalny człowiek?

Sean odpowiada totalnie wyniośle:

— Bo nie jestem normalnym człowiekiem.

Krzywie się, żeby pokazać, co myślę o jego odpowiedzi.

Avery nachyla się, opiera łokieć na stole i wbija wzrok w Seana.

— Przecież sam zaproponowałeś, żeby zapytała. Możesz odpowiedzieć, co

chcesz. — Są najdziwniejszą parą, jaką kiedykolwiek widziałam. Avery jest taka promienna, jasna; Sean taki mroczny. Zastanawiam się, co tak naprawdę może ich łączyć. Bo musi być coś, co ich łączy, muszą mieć coś wspólnego.

Sean rozpiera się w krześle i mierzy mnie wzrokiem.

— Nie lubię cię.

— Mało mnie to obchodzi. — *O rany, to dopiero gadka bez ogródek. Kto, do diabła, mówi takie rzeczy?* Peter zaczyna się denerwować, ale ja lekko potrząsam głową. Nie potrzebuję, żeby mnie ratował, nie przed tym faciem.

Sean wydaje niski pomruk niezadowolenia.

— Prosiłem ją, żeby została moją kochanką.

— Jakie to schlebiające. — Zerkam na Avery i widzę, że moje przeczucia są słuszne. — To wcale jej nie schlebia.

— Co, nieprawda? — Sean zdaje się mówić szczerze, ale to niemożliwe, żeby tak było.

Znów zerkam na Avery.

— On tak na poważnie?

Avery kiwa głową.

— Jak najbardziej. — Głos jej trochę drży, jakby bolało ją, że Sean nie chciał czegoś więcej. Zauważam to i zastanawiam się, czy Sean o tym wie. Nie wygląda, jakby wiedział, z drugiej strony wydaje się, że jakby umyślnie zachowywał się jak palant.

— Cóż, życzę ci powodzenia, Sean. — Nie mam takiego zamiaru, ale krzywię się, kiedy spoglądam na Petera.

Sean nie zamierza tego przemilczeć.

— Twoim zdaniem to niewłaściwe? Serio, po tym jak pieprzyłaś się ze swoim profesorem i szefem, naprawdę uważasz, że masz prawo mnie oceniać?

— Sean — ostrzega Avery i zerka na Petera.

— Wystarczy tego — rzuca groźnie Peter. To ucisza Seana, ale ja spojrzeniem wypalam mu dziury w czole. Spogląda na mnie.

— Myślisz, że lecę na jego kasę, co? Uważasz, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra, że jestem jakimś białym śmieciem, łowczynią fortun. Mylę się? — Gdy mówię, szczeka coraz bardziej mi się zaciska. Domyślam się po jego minie, co chce powiedzieć, więc zanim zdąży się odezwać, wcinam mu się w słowo: — Nie potrzebuję jego cholernych pieniędzy. Dam sobie radę sama. Zawsze sobie dawałam i dalej będę. Ale ty umrzesz nieszczęśliwy i samotny. Już po pięciu sekundach od poznania ciebie wiedziałam, że Avery zasługuje na o wiele więcej, więcej niż ty kiedykolwiek będziesz mógł jej dać. Uganiasz się za mrzonkami. Obudź się. — Ostatnie dwa słowa wywarkuję, a moje dłonie walą w blat. Cała zastawa się trzęsie.

Zerkam na Petera.

— Wybacz, Peter. Nie jestem pewna, dlaczego tu w ogóle przyszliśmy.

Peter wolno wypuszcza powietrze i spogląda na Seana. W jego spojrzeniu kryje się ostrzeżenie. Z początku myślę, że mówi Seanowi, żeby dał sobie spokój, ale to nie jest to.

Sean wywraca oczami, jakby od takiej dawki dramatyzmu dostał zgagi. Stuka trzonkiem noża w stół, potem podnosi nóż i pokazuje nim na brata.

— Bo Peter chce, żebym z wami pojechał.

## Rozdział 18.

— Peter chce co? — Przysięgam na Boga, że w nocy, gdy spałam, sęp musiał mi wyżreć mózg, bo nie ma takiej cholernej możliwości, żeby Sean właśnie powiedział to, co powiedział. Peter nie mówił mi, czego chce od Seana, dlaczego go potrzebuje, ale mnie się to nie podoba. Głównie dlatego, że Sean mnie nienawidzi i to bez żadnego konkretnego powodu. Już i tak trudno mi będzie znieść to, co będę musiała znieść. Nie chcę tam Seana, który też będzie mnie tam miażdżył.

Peter nachyla się i bierze mnie za rękę.

— Tylko na dzień, góra dwa. Nawet nie będziesz musiała z nim rozmawiać. — Sean się nie rusza, ale sposób, w jaki na nas patrzy, mówi wszystko. Uważa, że jestem problemem dla jego małego braciszka. Jego spojrzenie powraca do talerza. Zaczyna rozcinać stek i otwiera usta. Peter gwałtownie się do niego odwraca i zanim Sean zdąży coś powiedzieć, warczy: — Zamknij się i jedz.

Avery dziobie swoje jedzenie i wolno je przeżuwa. Sądząc po jej minie, ona też nie знаła planów braci.

— Jak długo cię nie będzie? — Pytanie jest przeładowane emocjami. Avery nie chodzi o rozłąkę, chociaż o to też. Pyta o coś więcej. Ciekawa jestem, czy Sean to zauważa.

Jego głos łagodnieje, nie patrzy jednak na Avery.

— Tylko kilka dni.

Avery kiwa głową.

— A co z dzisiaj? I z jutrem?

— Decyzja należy do ciebie — odpowiada Sean takim tonem, jakby mu nie zależało.

Avery delikatnie odkłada widelec, potem kładzie na stole swoją serwetkę. Wstaje i uśmiecha się do Petera i do mnie.

— Miło było was poznać. — Odwraca się do Seana i posyła mu spojrzenie, które każdego innego mężczyznę by wykastrowało. Jej głos jest zimny i całkowicie obojętny. — Rób, jak chcesz.

Avery odchodzi, ale ja nie wiem, dlaczego to robi. Mam wrażenie, że ona i Sean przeprowadzili intymną rozmowę, mimo że odbyła się na naszych oczach. Sean powiedział coś nie tak. Nie biegnie za Avery, a ona nie zwalnia ani się nie ogląda. Wie, że Sean za nią nie pójdzie.

Przy stole zapada niezręczna cisza. Peter opiera się na jednym ramieniu i patrzy na brata z uśmiechem na twarzy. Sean podnosi mroczne spojrzenie i dostrzega rozbawienie Petera.

— No co? — warczy.

— Lubisz ją, bardzo.



— To nie twoje zmartwienie. — Sean upija ze szklaneczki łyk tego obrzydliwego bursztynowego płynu.

— Jasne, że nie. Jedynie zauważam oczywistość. — Spojrzenie Petera podąża za Avery. — To interesujące, tylko tyle. Ta kobieta wyraźnie sprowadziła cię na kolana, ty jednak jesteś zbyt dumny, żeby za nią pobiec. Szkoda, że to towar używany, co? — Zanim zdążę zrugać Petera za to, że mówi takie rzeczy, Sean gwałtownie się podrywa i chwyta brata za gardło. Peter odrywa jego ręce i wybucha: — Jesteś pierdolnięty, wiesz?!

Wszyscy się na nas patrzą. Sean siada z powrotem, a Peter dalej się uśmiecha, jakby to wszystko było ogromnie zabawne. Kopię go pod stołem, chcąc, żeby przestał. Od Seana bije szaleństwem na tysiąc kilometrów; nie chcę, żeby nas zamordował na parkingu.

Peter kręci głową i strzepuje włosy z oczu.

— A więc ty wiesz?

Sean zaciska szczękę, potem bierze łyk ze szklaneczki.

— Oczywiście, że wiem.

— Wie co? — wtrącam się, patrząc od jednego do drugiego.

Sean nie odpowiada, więc Peter tłumaczy z rozbawieniem:

— On ją kocha.

— To dlaczego pozwoliłeś jej wyjść? — Sean gromi mnie nienawistnym spojrzeniem. Nie podoba mu się to, co powiedziałam, ja jednak nie mam pojęcia, która część mojego zdania budzi jego sprzeciw. Pieprzyć to. Avery była miła, a temu facetowi wyraźnie należy się kopniak w tyłek. — Potrzebujesz jakiegoś podręcznika czy co? Avery wiedziała, że za nią nie pójdziesz, kiedy odeszła. Chciała, żebyś powiedział, że jej pragniesz. Chciała jechać z tobą. Po cholere tu siedzisz, jeśli ją kochasz? Jak bardzo jesteś pokręcony? — Zupełnie go nie rozumiem. Ta lodowata pewność siebie wymalowana na jego twarzy jest wkurzająca, zwłaszcza jeśli naprawdę kocha Avery. Sean pilnuje się i ukrywa wszelkie emocje, które mogłyby pojawić się na jego twarzy.

Peter zupełnie nie jest taki jak Sean. Mogą wyglądać tak samo, ale nie są tacy sami. W Peterze wciąż jest jakaś lekkość. Żartuje, uśmiecha się, droczy. Z Seana całe światło już dawno uszło. Jest jak huragan czekający, aż kogoś zabije.

— Dlaczego miałbym za nią pójść? — pyta bezdusznie. Sposób, w jaki siedzi, to, że nawet na mnie nie patrzy, mówi, że mało go obchodzi, co myślę, chociaż z drugiej strony ludzie tacy jak Sean nie marnują słów.

— Co, mam ci dawać lekcje? Jeśli ją kochasz, nie możesz pozwolić jej myśleć, że ci nie zależy. I dlaczego, do diabła, dzielisz się nią z innymi facetami? Czy kobietami albo kozłami? Lub z czym tam jeszcze ona sypia? Dlaczego jej jeszcze nie uratowałeś? Na co ty czekasz, na zaproszenie?

Spojrzenie Petera przeskakuje między mną i bratem. Kiedy Sean na niego

spogląda, Peter uśmiecha się uprzejmie, jakbym właśnie nie zjechała jego brata jak jakiegoś skończonego gówniarza. Sean pyta Petera:

— A ty uważasz, że...?

— Ja uważam, że wielki Sean Ferro upadł na samo dno. Będziesz fiutem, jeśli pozwolisz jej odejść. Ona cię z jakiegoś powodu toleruje, a ty pozwalasz jej wyjść. — Peter sięga do koszyka z pieczywem po bułeczkę, odrywa kawałek i wkłada do ust. — A przypomnę ci, że nikt cię nie toleruje, chyba że jest z rodziny albo mu za to płacisz.

— Jej też płacę — rzuca krótko Sean.

— To coś więcej, ślepcze. Otwórz wreszcie oczy. — Jak to możliwe, że tego nie widzi?

Sean przekręca się na krześle i patrzy na mnie.

— Chcesz, żeby Avery z nami pojechała?

Wzruszam ramionami i patrzę na Petera.

— Ja cię nie zapraszałam. I, och, zaklepuję siedzenie obok kierowcy. Nie mam zamiaru siedzieć z indykiem.

Sean wybałusza na mnie oczy. Czuję na policzku jego palące spojrzenie.

— Co proszę? — Nie wyjaśniam, chociaż mi przykro ze względu na indyka.

Sean przenosi wzrok na brata. Peter, który bawi się setnie, szczyrzy się szeroko, oczy mu błyszczą.

— Och, ona mówi serio. Przygarnęła sępa, którego zdaje się nazwała indykiem. Ale to chyba nie najlepsze imię, Sidney. I ja też zaklepuję miejsce z przodu. Ten łajdak, jeśli się przy nim zaśnie, może człowiekowi wydłubać oczy.

## Rozdział 19.

Jesteśmy z Peterem w windzie. Seana zostawiliśmy przy stoliku samego. Ten człowiek mnie niepokoi i zastanawiam się, czy na dnie przepaści to samo czeka Petera. Kiedy pierwszy raz opowiadał mi o Seanie, mówił, że jego brat jest popieprzony. Mocniej ściskam go za rękę i nachylam się do niego.

— Byłeś taki jak on?

— Co, taki jak Sean? — Kiwam głową. Żołądek mam związany w supeł. Trochę się boję tego, co odpowie. Wsiadamy z windy na naszym piętrze i idziemy korytarzem. Peter kręci głową. — Nie, przynajmniej nie sądzę. Sean nie jest z tych, co mają serce na dłoni.

— To niedopowiedzenie. Kurczę, a ja myślałam, że to ty jesteś szurnięty. — Uświadamiam sobie, co powiedziałam, kiedy już to powiedziałam, i uśmiecham się głupio, bo nie mogę zebrać słów i wepchnąć z powrotem do ust.

Nie dotarliśmy jeszcze do pokoju, ale Peter się zatrzymuje. Chwyta mnie w pasie, potem obejmuje moją twarz dłońmi i opiera mnie o ścianę. Spoglądam w dół na swoją sukienkę, zastanawiając się, czy naprawdę mam na sobie coś dla starszych pań. Cygańskie rozkloszowane spódnice są dla babć ze spuchniętymi kostkami. Nie pamiętam, dlaczego kupiłam tę sukienkę.

Twarc Petera rozjaśnia uśmieszek. Zakłada mi kosmyk włosów za ucho i mówi:

— Myślałaś, że jestem szurnięty? Ja? Chyba zdajesz sobie sprawę, że ty też jesteś w tym związku, prawda?

— Taa... ale ty i ja jesteśmy szurnięci normalnie, a Sean to megaświr. — Zerkam na Petera. — I trochę mnie przeraża. Dlaczego chcesz go z nami zabrać?

— Bo jest trochę przerażający i potrzebuję jego pomocy. Dean nie będzie już więcej z tobą zadzierał. Nikt nie będzie. — Peter całuje mnie w czoło i bierze za rękę. Do pokoju idziemy w milczeniu. Nie wiem, co zamierza w sprawie Deana. Z Deanem nic się nie da zrobić.

— Peter, co ty planujesz? — Nie podoba mi się ton jego głosu, ale zarazem jestem nim zachwycona. Jestem wściekła, że Dean zrobił to, co zrobił, i nie poniósł za to żadnej kary. Nastawił moją cholerną rodzinę przeciwko mnie. Przez niego straciłam wszystko.

Kiedy Peter nie odpowiada, łapię go za rękę i odwracam do siebie. Te błyszczące szafirowe oczy patrzą na mnie.

— Zamierzasz go skrzywdzić?

— Zamierzam dopilnować, żeby już nigdy nie skrzywdził ciebie. Niczym się nie przejmuj, Sidney. Jedź do domu, porozmawiaj z matką, zorientuj się, czy możesz pogodzić się z rodziną. Po to tu przyjechaliśmy. Seanem i Deanem daj zająć się mnie.

— A co z Samem?

— No, co z Samem?

— Mówisz tak, jakbyś z nim też chciał coś zrobić. — Patrzą mu intensywnie w oczy, szukając w nich prawdy. — Nie rób mu krzywdy.

— Sam powinien był cię chronić.

— Sam jest dupkiem, wiem, ale...

Peter cmoka mnie w czubek głowy.

— Uspokój się. Nie zrobię mu nic złego, jeżeli i on cię nie skrzywdzi. Ale jeśli znowu będzie tylko stał i patrzył, jak Dean cię leje, wtedy będzie miał problem.

— Sama tam nie było.

— W takim razie nie ma się o co martwić.

Wolno kiwam głową. Posiadanie kogoś, kto się o mnie troszczy, to coś nowego. Nie wiem, co mam zrobić z uczuciami, jakie mnie ogarniają. Część mnie mówi, że powinnam móc sama o siebie zadbać, ale inna część wie, że potrzebuję pomocy. Zamieniam się w tę zalęknioną dziewczynę, którą byłam, gdy Dean mnie skrzywdził. Ona się pojawia, nieważne jak daleko udaje mi się dotrzeć. Czasami mam wrażenie, że zwariuję, że noszę w sobie więcej smutku i bólu, niż jestem w stanie znieść. Mam nadzieję, że nigdy nic nie popchnie mnie aż tak daleko. Tak jak Seana. Bo to oczywiste, że koleje losu doprowadziły go do załamania. Myśl, że mogłabym żyć ze zwichrowanym umysłem, którego nie da się naprawić, przeraża mnie. Nie chcę takiego życia.

Peter otwiera drzwi i wchodzimy do pokoju. Jest mały, ale elegancki. Łóżko wygląda, jakby było z puszystej białej owcy. *Chrzanię was, małe owieczki!* Nie mogę się doczekać, kiedy wskoczę na to łóżko, w jego pierzastą rozkosz. Zagłówek jest wyłożony puszystymi białymi poduchami. Wyglądają tak miękko i idealnie.

Peter ściąga marynarkę i podchodzi do łóżka, żeby na nim usiąść. Znam już schemat jego działania. Rozbierze się i weźmie prysznic. Motyle tłuką mi się w brzuchu jak wir wodny. Kładę rękę na ramieniu Petera i zatrzymuję go.

— Zaczekaj chwilę. — Spogląda na mnie.

— O co chodzi?

— Ja... — *Jestem do niczego. Jestem szurnięta. Kocham cię. Powiedz: „kocham cię”* — Jestem w tym do niczego. — O mój Boże, mój umysł mnie nie słucha. Spuszczam oczy i kiedy znowu je podnoszę, Peter ma na twarzy wyraz zdziwienia, bez wątpienia wywołany moją nagłą niepewnością.

— Podobało mi się, jak się nie dawałaś Seanowi. — Kiwam głową. Nie chcę mówić o Seanie. Chcę mówić o Peterze. Chcę zrobić coś z Peterem, zanim stracę odwagę, ale nie wiem, od czego mam zacząć. A on to chyba wyczuwa. Uśmiecha się ciepło. Podciąga mi podbródek w górę, żebym spojrzała mu w oczy. — O czym tak rozmyślasz w tej swojej ślicznej główce?

— Chcę czegoś z tobą spróbować, ale nie wiem, jak daleko mogę się posunąć. — Czuję się dziwnie, mówiąc to. W mojej głowie toczy się walka, z każdym dniem coraz gwałtowniejsza. Im dłużej jestem z Peterem, tym bardziej chcę z nim być, ale to nie jest aż takie proste. Obawiam się, że się w sobie zatrzasnę, jeśli spróbuję czegoś więcej. Kiedy pierwszy raz próbowałam przespać się z Peterem, posunęłam się najdalej w swoim życiu. I nawet wtedy przeczuwałam, że mi kolosalnie odbije. Bycie dotykana w ten sposób jest jak dotykanie jego blizny. Nie ma sposobu, żeby zapomnieć, co mi się przytrafiło. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia uda mi się przez to przejść, że nie będzie to już więcej kierowało moim życiem. Chcę tego z Peterem, ale nie wiem, co to zrobi ze mną. Sama ta myśl wystarczy, żebym zaczęła tchórzyć, ale już wypowiedziałam te słowa na głos. Kończę więc, pytając: — Zgadzasz się na coś takiego?

— Nie musisz mnie o to nigdy więcej pytać, rozumiesz? Spróbujemy i zatrzymamy się, kiedy zechcesz, i w takim miejscu, w jakim zechcesz. Nie będę na ciebie naciskał, tak więc to ty musisz przejąć inicjatywę. — Posyła mi ten chłopięcy uśmiech, który tak uwielbiam.

Odwracam wzrok. Przejął inicjatywę? Nie mogę tego zrobić.

— Ale ja nie wiem jak.

Peter sięga do mnie, potem podnosi moje dłonie do ust i całuje koniuszki palców.

— W takim razie powiedz, czego pragniesz, a ja sprawię, że to się stanie.

Moje serce trzepocze się od jego pocałunków, od jego słów. Może mogę to zrobić. Powtarzam to, o czym wspominała Avery w barze, rzeczy, które mogłabym zrobić, a które nie są seksem — rzeczy, które spowodują, że będę się czuła wystarczająco bezpiecznie, żeby być z Peterem, gdybym chciała kontynuować.

Jego spojrzenie ciemnieje, kiedy wymieniam je jedną po drugiej.

— Mogę to zrobić. W zasadzie brzmi to idealnie.

— To nie będzie tylko droczenie się z tobą do tego stopnia, że w końcu wynajmiesz sobie dziwkę?

Śmieje się.

— Nie, nic mnie nie zmusi, żebym cię zostawił. I obcowanie z tobą w ten sposób... to brzmi doskonale. Nie wiem, czy zauważyłaś, czy nie, ale jestem trochę nieśmiały. Kompletnie spietrałem tego pierwszego wieczoru przy kawie i nie potrafiłem tego ukryć. To się nie zmieniło. Te emocje... ciągle mam uczucie, jakbym dopuszczał się zdrady, jakbym oszukiwał, chociaż wiem, że tak nie jest. Wolę wolniejsze tempo, to dla mnie lepsze wyjście, serio.

Wierzę mu. Każde słowo, które wypowiada, przyciąga mnie bliżej i bliżej. Peter nachyla się i lekko muska ustami moje.

— Zaczekaj, nie ruszaj się stąd. Zaraz wracam. — Kiwam głową. Serce mi wali, jestem rozgorączkowana, jakbym szykowała się do biegu. Potrzęsam rękami i

nogami, ale to nie pomaga, więc robię to trochę mocniej. Kopię nogą za siebie i potrząsam. Energia nerwowości uchodzi z niej, robię to zatem z drugą nogą. Odwracam się, żebym nie uderzyła w kredens lub w lustro, i wyrzucam przed siebie również ręce. Staram się zrobić to szybko, ale najwyraźniej jestem zbyt wolna.

Peter mnie widzi.

— Odprawiasz jakieś czary? — Opiera się o framugę drzwi łazienki, ręce ma splecione na piersiach. Wygląda, jakby stał tam przez cały czas. Jak to jest, że ja nigdy nie przyłapuję go na robieniu czegoś kretyńskiego?

Czując się głupio, odpowiadam:

— Możliwe.

Uśmiecha się i przechodzi przez pokój. W łazience leci woda. Peter gasi lampy, tak że pokój oświetla jedynie biała smuga dochodząca z łazienki. Potem podchodzi do mnie powoli, w obrysie światła, i zatrzymuje się, gdy stykamy się palcami stóp. Obejmuje mi twarz dłońmi i przyciąga do pocałunku. Pocałunek narasta, staje się głębszy i namiętniejszy. Kiedy wreszcie się odsuwa, oboje jesteśmy zdyszani. Peter patrzy w dół na moją czarną sukienkę, potem jego oczy podrywają się do moich. Sięga po moje ręce i kładzie je sobie na piersi, palce prowadzi do guzików.

Przeszywa mnie dreszcz podniecenia. Próbuję się nie uśmiechać, ale nie mogę się powstrzymać i kąciki moich ust podnoszą się w górę. Najpierw ściągam krawat, potem zabieram się do guzików. Przeciskam je przez maleńkie dziurki jeden za drugim i rozchylam przód koszuli. Na drodze stoi mi biały podkoszulek. Zerkam w dół, na spodnie, na pasek, i ciężko przełykam ślinę. Sięgam do paska, pociągamy za niego i rozpinam. Nie myślę o przerażeniu szalejącym w moich żyłach ani o tym, jak skręca mi ono żołądek w obwarzanek. Widziałam już Petera nago. To żadna nowość, ale ostatnim razem rozbierał się sam. Rzeczy wyglądają inaczej, gdy to ja zdzieram z niego ubranie. Przełykając podekscytowanie, rozpinam mu spodnie. Zdejmuję z niego koszulę i rzuca na podłogę. Następnie przesuwam dłońmi po jego skórze i przez głowę ściągam podkoszulek.

Peter ciężko dyszy, przygląda mi się. Moje dłonie wędrują po jego piersi, testują twarde mięśnie. Nachylam się wolno, starając się nie myśleć, co teraz ani jak daleko się posunę, i przyciskam usta do tych mięśni. Avery powiedziała mi, żebym nie zastanawiała się nad kolejnymi krokami, bo to mnie tylko wystraszy. Miała rację w tej kwestii. Momenty pewności trwają, gdy robię to, na co mam ochotę. Peter wciąga ostro powietrze i wsuwa mi palce we włosy, a ja przeciągam dłońmi po jego pofalowanym brzuchu. Odsuwam się potem, ale nie mam odwagi spojrzeć na niego, chociaż czuję na sobie jego wzrok.

Jego unosząca się i opadająca klatka piersiowa hipnotyzuje. Wzrok wbijam w jeden punkt, biorę przeciągły oddech. Głowę mam wypełnioną zapachem Petera.

Ten zapach jest coraz bardziej znajomy. Kojarzy mi się z uśmiechami, z potem, z tańcem. Kładę dłonie płasko tuż nad jego sercem i przybliżam się. Nic mnie nie rozprasza. Nie ma żadnych podstępnych myśli czających się w tyle umysłu. Czuję się bezpieczna. Wiem, że Peter mnie nie skrzywdzi. Wiem, że mogę to zakończyć w jednej chwili i Peter nadal będzie mnie kochał.

Przez jego ciało przebiega dreszcz, ale to nie jest tylko pożądanie. To coś więcej. Część Petera się wstrzymuje, bo on też się boi, tyle że z innych powodów. Jestem załamana, gdy słyszę ból w jego głosie, kiedy mówi o Ginie. Ten ból przemienił go z lekkomyślnego chłopaka w nieskazitelną wersję mężczyzny stojącego przede mną. Czasami życie tak robi, zmienia człowieka. Zastanawiam się, jakie zmiany ja w nim wywołuję, i mam nadzieję, że dobre.

Pierś Petera pod moimi dłońmi jest ciepła. Jego oczy utkwione są w mojej twarzy — czuję ich spojrzenie, którym mnie pieści — ale jeszcze nie podniosłam wzroku. Kiedy to wreszcie robię, kompletnie mnie zatyka. Spojrzenie Petera jest intensywne, ciemne, ze śladami smutku. Gdy ostatnim razem robiliśmy coś podobnego, do niczego to nie doprowadziło. Spałam obok Petera, po prostu zasnęliśmy. A wcześniej on mnie odepchnął. Ale teraz... nie sądzę, żeby to zrobił. Wydaje mi się, że chce czegoś więcej.

Przypominam sobie, że muszę oddychać, więc biorę drżący oddech, kosmyk włosów zakładam za ucho.

— Czy jest tak, jak powinno?

Głos Petera jest głęboki, przepełniony emocjami.

— To zależy. Jak się czujesz?

— Jestem zdenerwowana, podniecona, szczęśliwa...

Uśmiecha się i kiwa głową.

— Kiedy się znajdzie właściwą osobę, to taa... tak właśnie się czujesz. — Bierze głęboki wdech, próbując się uspokoić, zanim ujmie moją dłoń i położy sobie na sercu. Te bije szybko i mocno. — Czujesz to? Jeszcze nawet nic nie zrobiliśmy, a ja tak na ciebie reaguję.

Przez chwilę na niego patrzę, zastanawiając się, czy wszystko z nim w porządku. Na jego ustach błąka się leniwy uśmiech, ciemne włosy opadają mu na oczy. Podnoszę rękę, dotykam jedwabiste pasma i odsuwam je. Dwa jeziora czystego lazuru badają moją twarz, uczą się krzywizn policzków, czytają kształt warg. Peter prostuje się i wzdycha nerwowo, przeciąga ręką po włosach.

Reaguję bez zastanowienia. Wiem, że jest emocjonalnie pokiereszowany. Tego się nie da zmienić, ale wydaje się, że oboje tego potrzebujemy. Jeśli uda nam się przejść tę część, dobrze nam to zrobi. Biorę Petera za rękę i pociągam do łazienki, gdzie woda wciąż leci. Niedługo zacznę wylewać się z wanny. Moje dłonie odnajdują jego pas. Nachylam się i przesuwam ręce na plecy, kciuki wtykam za brzeg spodni. Zsuwam je w dół i odkładam, potem to samo robię ze

skarpetkami: ściągam każdą i odkładam. Peter ma na sobie niebieskie bokserki, są tego samego koloru, co jego oczy. Widząc to, uśmiecham się. Ciekawa jestem, czy założył je specjalnie.

Kiedy kończę, Peter stoi przede mną prawie zupełnie nagi, a ja nadal jestem ubrana. Peter zgodził się, że zrobimy to w ten sposób — oboje myśleliśmy, że będzie lepiej, jeśli to ja będę miała kontrolę. Sięgam do tyłu i między palcami czuję uszko od suwaka sukienki. Zamek rozsuwam wolno i pozwalam, by sukienka odchyliła się na dekolcie. Oczy Petera obserwują, jak materiał zsuwa się, ujawniając czarny biustonosz pod spodem. Strząsam sukienkę z bioder i pozwalam, żeby opadła na podłogę. Pochylam się i ściągam pończochy. Wątpię, żeby to było szczególnie zmysłowe, ale kiedy się prostuję, mina Petera mówi, że to było bardziej niż seksy. Spija całą moją postać pożądliwie wzrokiem, ale nie podchodzi i nie dotyka mnie, jeszcze nie teraz.

Stoję krok od niego, kiedy spoglądam w dół na swój stanik. Zapięcie jest z przodu. Serce wali mi tak, jakby miało eksplodować, ale rozpinam stanik i upuszczam na podłogę. Peter bierze drżący wdech i mruga — raz, za to gwałtownie — jakby śnił. Ja oczy mam wlepione w jego bokserki i jego oczywiste podniecenie. Przełykam ciężko i daję do niego krok. Moje brodawki ocierają się o jego pierś, a on ostro zasysa powietrze. Jest jak tamtego wieczoru w restauracji, tylko jeszcze bardziej podniecająco, o Boże, jak podniecająco.

Trzymam się Petera kurczowo, potem się odsuwam i spuszczam wzrok na jego bokserki. Osuwam się na kolana i klęcząc przed nim, wsuwam palce za gumkę. ściągam bokserki i sapię — nie mogę się powstrzymać. Jest idealny i tuż przede mną. Moje usta chcą go tam pocałować, ale nie robię tego. Chcę działać powoli. Nie chcę, żeby któreś z nas się wystraszyło.

Wstaję, odsuwam się i zaczepiam kciuki o gumkę własnych majtek. Przeciągam je przez biodra. Potem odkopuję je stopą, rzucając na stos pozostałych ubrań. Zanim zdążę pomyśleć o tym, że jestem naga, i zanim zdążę spanikować, biorę dłoń Petera i prowadzę go do łazienki. Wanna jest pełna, piana wylewa się na podłogę. W powietrzu unosi się delikatna woń wanilii i lawendy.

Wanna wygląda jak mały basen, taka jest duża. Możemy się w niej oboje położyć. Stoi w rogu łazienki, która też jest ogromna. Peter wchodzi do wanny pierwszy i te części, które wywołują moją nerwowość, znikają pod powierzchnią wody. Wchodzę do wody za nim.

Avery mówiła, że to będzie łatwiejsze niż wskoczenie od razu do łóżka i da nam szansę na odłożenie współzycia, jeśli będziemy musieli z tym poczekać. Rada była dobra. Moje zdenerwowanie znika, gdy tylko ciepła woda połyka moje grzeszne części. Kiedy patrzę na Petera, widzę tylko nagie ramiona i łobuzerski uśmiezek. Mam ochotę pocałować te usta.

Na początku tylko siedzę obok niego, ale to wygląda, jakbyśmy czekali na



autobus, więc pytam:

— Obejmiesz mnie?

— Oczywiście. — Otwiera ramiona, a ja układam mu się plecami na piersi. Peter oplata mnie rękoma w pasie, tuż pod biustem. Jest mi przyjemnie. Przechylam głowę i opieram ją na jego barku. — Podoba mi się tak.

— Cieszę się. Mi też.

— Nie posuwamy się zbyt szybko?

Peter kręci głową.

— Nie, jest idealnie.

Siedzimy tak przez jakąś chwilę, a potem rzeczy zmieniają się same. Siedzenie nieruchomo już nie napełnia nas spokojem. Chęć odwrócenia się i popatrzenia na Petera rozpala mnie od środka i nie chce przestać. Podaję mu mydło, myśląc, że to będzie dobra odskocznia, ale gdy dłonie Petera przesuwają się po mojej szyi, ramionach i w dół po plecach, zaczynam chcieć więcej. Ten niewinny pomysł rozpala mnie tak, że woda zaraz zamieni się we wrzątek, a sądząc po tym, co czuję na plecach, Peter też się nakręcił. Zabieram mu mydło i odkładam, po czym się do niego odwracam.

— Mogę? — Tak naprawdę nie wiem, o co proszę, ale Peter kiwa głową. Kładę mu ręce na barkach i przysuwam się. Puls wali mi mocniej i mocniej, kiedy rozsuwam nogi i czuję przepływającą pod sobą wodę. Opuszam się wolno na jego podolek, uważając, żeby jego twardość znajdowała się pode mną. Jeśli Peter poruszy biodrami, będziemy robili o wiele więcej, niż tylko się przytulali.

Otaczam go ramionami i przyciskam się do niego nagim ciałem. Zamykam oczy i tak zamieram, wsłuchując się w bicie jego serca. Przechodzą mnie dreszcze, które rozpalają we mnie najdziwniejsze partie. Pragnienie, żeby otrzeć się o Petera, totalnie mnie spala. Próbuje je zdusić, ale ono nie chce ucichnąć. Podnoszę głowę i przyciskam usta do podstawy jego szyi. Składam tam jeden delikatny pocałunek, potem następny. Dłonie Petera pozostają na moich plecach. Nie zsuwają się zbyt nisko ani nie wędrują do miejsc, do których nie powinny. Czuję, jak jego uścisk się wzmacnia, gdy obsypuję go pocałunkami. Popychana instynktem i kołaczącymi mi się po głowie pomysłami liżę go po szyi.

Piękne wargi Petera są rozchylone, jakby chciał coś powiedzieć. Nachyla się do mnie i przywiera ustami do moich. Moje piersi ocierają się o jego pierś, kiedy próbuję się do niego przysunąć jeszcze bardziej. Pożądanie kursuje mi w żyłach tak agresywnie, że nie mogę tego dłużej ignorować. Pocałunki stają się coraz gorętsze, a ja walczę z uczuciami, ale one pochłaniają mnie całą. Sapię i odrobinę unoszę się z wody.

Mój głos jest szeptem.

— Mogę? — Palce mam zaplątane w ciemnych włosach Petera. Mokre i skręcone kleją mu się do szyi.

Peter patrzy mi w oczy. Ciężko przelyka ślinę, ale nie mówi „tak”. Jego dłonie nadal spoczywają na mojej nagiej skórze, ściskają mnie. W jego spojrzeniu czai się wyraz nieobecności, jakby był gdzie indziej, ale wiem, że nie jest. Waham się. Nie chcę na niego naciskać, jeśli nie jest gotowy. Nie potrafię sobie wyobrazić, co dzieje się w jego głowie w tej chwili.

— Nie przejmuj się. Jest okej. Możemy poczekać.

Peter uśmiecha się do mnie. To najcieplejszy, najbardziej oszałamiający uśmiech, jaki kiedykolwiek u niego widziałam. Jego dłonie odnajdują moją talię.

— Kochaj się ze mną, Sidney. Jestem twój. Zawsze będę.

Nacisk na moją talię wzmacnia się. Nachylam się do niego, ślizgam po jego piersi, nasze wargi się spotykają. Czuję Petera pod sobą, kiedy opuszczam się na to idealne miejsce. Peter zamyka oczy i z jękiem wypowiada moje imię. Jego dłonie naciskają na moje biodra, porusza nimi, a to czyni ten ruch boskim.

Teraz już nie wiem, co robię. Nie mam żadnego planu ani zamiaru tego przerywać. Będę robiła to, co będzie mi pasowało, wszystko, co sprawi, że Peter będzie jęczał i zamykał oczy. Wyraz malujący się na jego twarzy jest niesamowity — to błogość, pożądanie i miłość zlane w jedno. Znowu się z niego podnoszę, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Za każdym narasta we mnie cudowne gorąco. Rytm naszych ciał, kołyszących się razem, staje się szybszy, bardziej miarowy. Oboje wspinamy się wyżej i wyżej, zagubieni w rozkoszy. Akurat kiedy zaczynam się rozpadać, Peter też osiąga spełnienie i nieruchomieje. Opuszczam się na jego pierś i kurczowo do niej przywieram.

Po kilku chwilach rzeczy zaczynają do mnie docierać. Kochałam się z Peterem. Uprawiałam seks i nie spanikowałam. Na moje usta wypływa ciepły uśmiech, mocniej przytulam Petera.

## Rozdział 20.

Następnego dnia rano mam na twarzy wielgachny uśmiech, którego nie potrafię ukryć. Kiedy się przekręcam i zerkam na Petera, widzę, że już nie śpi i że jego mina to lustrzane odbicie mojej.

— Jak się czujesz? — Jego głowa wciąż leży na poduszce, jest zaplątany w pościel.

— Naprawdę dobrze. — Mam na sobie piżamę, bo jestem szurnięta i nie potrafię spać nago. Zwalczam impuls, który każe mi podciągnąć kołdrę pod brodę. Część mojego umysłu piszczy jak dwunastoletnia dziewczynka. *Leżę w łóżku z gorącym facetem!* Próbuję przestać się uśmiechać, ale nie mogę, więc podciągam kołdrę, żeby zakryć tę swoją kretyńską radość.

Peter wyciąga rękę i mnie zatrzymuje.

— Nie rób tego. Chcę zobaczyć uśmiech usatysfakcjonowania na tych ustach. — Chwilę się na mnie gapi, potem odsuwa mi włosy z twarzy. — Boże, ale ty jesteś śliczna.

Przez to uśmiecham się jeszcze szerzej i czerwienie się, bo wracają wspomnienia z zeszłej nocy. Peterowi się to podoba. Trzyma mnie w objęciach, szepcząc słodkie słówka do ucha, do momentu aż rozlega się pukanie do drzwi. Zerkam na Petera, zastanawiając się, kto może dobijać się do nas tak wcześnie. Ledwie zaczęło świtać.

Peter wstaje, zakłada bokserki i człapie przez pokój do drzwi. Zagląda w wizjerek i wzdycha.

— To Sean. — Zarzucam kołdrę na głowę, żeby się ukryć. Nienawidzę Seana. Nie, nienawidzę Deana; Seana nie cierpię. Tak myślę. Może muszę zrobić jakąś listę albo coś.

Peter śmieje się z tego, że się schowałam pod kołdrą, i otwiera drzwi. Słyszę głosy.

— Dzień dobry, Pete. Nastąpiła zmiana w naszych dzisiejszych planach. Musimy najpierw wpaść do mamy. Jonathan coś nawywijał i matka się wściekła. Wiedziałem, że nie powinienem był zostawać w tym mieście. I choć bardzo chciałbym się zabrać z tobą i Sidney, wezmę swój wózek. Zobaczymy się na miejscu na lunchu. Nie zaczynajcie beze mnie. — Słysząc jakiś hałas, jakby Sean klepnął Petera w ramię w męskim uścisku.

Peter odpowiada:

— Boisz się ptaka?

— A gdzie ta bestia?

— W klatce na dole. Musiałem zapłacić podwójną stawkę, żeby go tam umieścili — wyjaśnia Peter.

Następuje przerwa, potem Sean dodaje:

— I wykorzystałeś do tego swoje stare nazwisko?

— Możliwe. — Uśmiecham się na to. Peter odpowiada dokładnie tak, jak ja bym to zrobiła.

— Mogłeś zadzwonić, wiesz — mówi Sean. — Przez to, że tak zniknąłeś, matka zrobiła się jeszcze bardziej neurotyczna niż zwykle. Kazała mi cię wyśledzić. A ja zawsze cię znajdę, Peter. I znalazłem. Dałem ci spokój, bo uznałem, że robisz, co musisz, żeby uporać się ze swoim życiem, ale muszę cię o to zapytać — jak ważna jest dla ciebie ta dziewczyna? Warta jest takiego ryzyka?

Głos Petera jest surowy.

— Już wczoraj odpowiedziałem na te pytania. Albo mi pomożesz, albo nie, ale przestań wreszcie kwestionować moje motywacje. Wiesz już, jakie są moje intencje, i przy tym pozostajemy. — Głos Petera obniża się do syczącego szeptu. Mówi tonem ostrym, bardziej niż poirytowanym. Nie wiem, o czym rozmawiali wczoraj, ale to boleśnie oczywiste, że Sean za mną nie przepada.

— W porządku. Tylko że to dziwny moment. To wszystko. Udało ci się w końcu stanąć na nogach i przelatujesz pierwszą dupę, która do ciebie zamrugła... — Słysząc głośny łoskot, coś uderza w otwarte drzwi.

Odrzucam kołdrę i siadam, żeby zobaczyć, co się stało. Peter przyszpilił Seana do ściany i obaj wyglądają, jakby mieli się pozabijać. Peter sykiem syczy groźby, a ja jak strzała przebiegam pokój. Sean coś odpowiada, jest równie wkurzony. Cała ta sytuacja jest zupełnie dla mnie niezrozumiała.

Ciągnę Petera za rękę, wykrzykując jego imię więcej razy, niż da się policzyć.

— Puść go, Peter. Przestań.

Peter odsuwa się i kilka razy zaciska i prostuje palce dłoni. Zaczyna krążyć po pokoju, ani na chwilę nie odrywając oczu od Seana. Sean ma na twarzy wyniosły uśmiešek.

— Nie myślisz rozsądnie, Pete.

Jestem wściekła. Sean nie może tu przychodzić i robić takich zadym. Peter jakoś się trzyma, ale dogadywanie Seana wkurza go jak cholera. Podchodzę do Seana.

— Jeśli tak jest, to tylko przez ciebie, ty bezduszny łajdaku. Peter przeszedł wystarczająco wiele. Pomóż mu albo go zostaw w spokoju. Przestań go denerwować bez żadnego pieprzonego powodu! — Nie krzyczę. Głos wychodzący z moich ust jest niski, taki, jakim mówiła moja matka do mnie i do Sama, gdy zrobiliśmy coś okropnego.

Sean mierzy mnie wzrokiem; zauważa starą piżamę, moje rozczochrane włosy, zerka na rozkopane łóżko.

— Tam jest ten powód, panienko. — Przewraca oczami, jakby zapomniał, jak mam na imię, i jakby nie miało to znaczenia. — Widzisz, niektórzy ludzie są

toksyczni, zatruwają innych. Nie dam ci tego zrobić jemu. Pete wystarczająco wiele przeżył, więcej niż możesz...

Coś w mojej głowie pęka. Jestem na pograniczu zrobienia tego i to robię. Wbijam obie dłonie w pierś Seana i zanim zdąży dokończyć zdanie, wrzeszczę mu prosto w twarz:

— Myślisz, że ja nie przeżyłam?! Myślisz, że to jakaś pieprzona zabawa? No więc: nie, to nie zabawa! I taa... wiem, co to są ludzie toksyczni, bo właśnie z takim kimś rozmawiam! — Znowu go popycham, ale ten drań nie rusza się z miejsca. — Nie znoszę cię.

— Z wzajemnością.

— Ale dlaczego? To znaczy, ja mam dość powodów, żeby cię nienawidzić, ale ty...? Co ty możesz do mnie mieć?

— Chcesz więcej, niż Peter może dać. Sprowadziłaś go tu, żeby mnie poprosił o...

— Sean, zamknij się! — wrzeszczy Peter, żebym nie mogła usłyszeć jego brata. — Zamknij się! Ona nie prosiła, żebym tu przyjechała. Nie wiedziała nawet, kim jestem, do cholery, aż do dnia wyjazdu. Nie chce być z Ferro. Mam szczęście, że mnie nie zostawiła, kiedy się dowiedziała, więc skończ z tym gównem!

W tym momencie otwierają się drzwi windy i szybkim krokiem idzie ku nam ochroniarz. Spojrzenie Seana szybko przesuwa się na mnie.

— Nie wiedziałaś, kim jest?

Piorunuję go wzrokiem i krzyżuję ręce na piersiach.

— Pierdol się.

Prycha.

— Wszystko w swoim czasie, kochanie.

— Daję słowo, Sean... — rzuca groźnie Peter, ale strażnik jest już przy nas.

— Jakież problemy? — Mężczyzna jest starszy i wygląda na bardzo poirytowanego. — Bo mogę wam kilka zapewnić, jeśli żadnych nie macie, panowie. Rozumiecie, co mam na myśli? — Peter i Sean tylko tam stoją. Strażnik patrzy na mnie. — Wszystko w porządku, panienko?

— Nie, ten dupek się nam naprzykrza. — Pokazuję na Seana. Jego oczy robią się szerokie, a potem się zwężają, jakby mnie nienawidził. Leję na to. — Może go pan stąd usunąć?

Strażnik zwraca się do Seana:

— Chodźmy. — I próbuje go odciągnąć.

Sean łypie na niego, ale na jego ustach błąka się lekki uśmieszek, jakby mnie szanował z jakiegoś pokręconego powodu.

— Skrzywdzisz go, a skręcę ci pieprzony kark.

— Panie Ferro, proszę nie grozić gościom... — mówi strażnik, pociągając Seana do drzwi.

Nad ramieniem strażnika krzyczę do pleców Seana:

— No dawaj, spróbuj! — Sean zostaje wyprowadzony na korytarz, a ja się gotuję. Ręce mam zaciśnięte w pięści, zgrzytam zębami. Zatrząskuję drzwi i odwracam się. Peter jest za mną, opiera się o ścianę, ręce ma splecione na piersi. Przygląda mi się uważnie.

— Próbujesz mnie chronić przed Seanem? — Phy, miałabym go chronić przed jego własną popieprzoną rodziną? Peter posyła mi spojrzenie, które mówi, że tak właśnie myśli.

— Chcesz usłyszeć prawdę? — pytam, a on kiwa głową. — Nie wiem, co robię, do diabła. On mnie tak strasznie wkurza i zupełnie nie słucha, co do niego mówię. Zachowuje się, jakby myślał, że jest ode mnie lepszy, bo jest cholernym Ferro.

Peter uśmiecha się krzywo i odpycha od ściany.

— On myśli, że jest lepszy od wszystkich, bo jest Seanem. Nikt inny w mojej rodzinie taki nie jest, tylko on.

— Nikt poza nim nie martwiłby się, że poluję na twoje pieniądze?

Kręci głową.

— Nie, łowczynie posagów uganiają się teraz za Jonathanem. Sean i ja jesteśmy drudzy w kolejce. Cóż, przynajmniej ja jestem. Sean zbił własny majątek, robiąc Bóg wie co. Jest sprytny, bezwzględny i ambitny, więc oczywiście zdobył fortunę. Ja jestem środkowym bratem — gościem ze złamanym sercem i splukanym.

— Splukanym? Myślałam, że masz fundusz?

— Mam. To tylko bogaci mówią: *Peter Ferro jest kretynem, oddał wielomilionowe imperium*. Mój fundusz powierniczy to pestka w porównaniu z majątkami tych bogaczy, ale mnie i tobie wystarczy. Wprawdzie nie kupię ci wielkiej posiadłości...

— Nie chcę żadnej posiadłości. Chcę tylko być szczęśliwa, Peter. — Moja głowa zaczyna znowu pracować i przypomina mi się coś, co powiedział Sean. — Dlaczego Sean myśli, że czegoś od niego chciałam?

— Sean zawsze myśli, że wszyscy czegoś chcą. Ciesz się po prostu, że z nami nie jedzie. Chodź. Zabierajmy się stąd. Przyniosę ci śniadanie i możemy pojechać do mojej matki, zobaczymy, co zmalował Jon. To niedaleko stąd. Na kolację będziemy u twoich rodziców. — Przerywa i potrząsa głową. — A może powinniśmy olać Seana i pojechać tam od razu.

Peter tak bardzo stara się o mnie dbać i ja go za to uwielbiam. Z jakiegoś powodu ta cała sprawa z Seanem wygląda jak walka o wszystko. Peter chce, żeby brat mu pomógł, kiedy pojedę do siebie do domu, a ja chcę, żeby Dean trzymał się z daleka ode mnie. Musi być jakiś powód, dla którego Sean chce zahaczyć o dom matki, ale nie mam pojęcia, o co chodzi. Tak czy owak, Peter potrzebuje Seana.

— Nie, w porządku. Zresztą i tak musielibyśmy zatrzymać się gdzieś na lunch. Jeśli chcesz zobaczyć się z Jonem, to możemy jechać do twoich rodziców. Poza tym szczerze mówiąc, niespecjalnie mi się spieszy do domu i do tego, co mnie tam czeka. Kilka dodatkowych godzin może mi pomóc poradzić sobie lepiej z tym, co tam zastanę.

Peter przyciska swoje czoło do mojego.

— Pomogę ci we wszystkim, co cię czeka.

## Rozdział 21.

Posiadłość jest wspaniała z jej zadbanymi ciągnącymi się w każdą stronę trawnikami. Pośrodku stoi stara kamienna rezydencja, długa prawie jak blok mieszkalny w mieście. Dom otaczają drzewa; aby dotrzeć na front, musimy pokonać długi wijący się podjazd. Przypuszczam, że jest tak po to, żeby domu nie było widać z drogi. Gdyby Peter nie powiedział mi, gdzie mam skręcić, na pewno bym go przegapiła. Znam tę część Long Island, nie miałam jednak pojęcia, że są tu takie rezydencje. Sądziłam, że w większości tutejsze domy są nowoczesne i stoją na południowym brzegu. Najwyraźniej jednak istnieją bogaci, którzy wolą drugą stronę wyspy, z jej skałkami i wzgórzami. Indyk zauważa, że się zatrzymaliśmy i wykręca szyję, żeby wyjrzeć przez okno.

— Co z nim zrobimy? — Gasząc silnik, pokazuję kciukiem na sępa na tylnym siedzeniu.

Peter jest chyba zdenerwowany, ale szybko ukrywa niepokój i obchodzi auto, żeby otworzyć moje drzwi. Stoimy na kolistym podejździe przed wielkimi drewnianymi drzwiami, które na szczycie są uformowane w łuk. Ten dom to po prostu zamek.

Okej, przyznam się: nie miałam pojęcia, że tak wyglądało życie Petera. Wydaje się normalny, ale ludzie, którzy tu mieszkają, nie mogą być przeciętni. Wszystko w zewnętrznym wyglądzie tego domu jest olbrzymie, wyniosłe. Zaczynam myśleć o jego mieszkańcach jak o członkach rodziny królewskiej, a nie jak o zręcznych biznesmenach.

Zerkam na Petera. Nie mam pojęcia, w jaki sposób jego rodzina dorobiła się pieniędzy i na czym. Niektórzy rodzą się w rodzinach, które są bogate od pokoleń. To musi być przypadek Petera, bo nie przypominam sobie, żebym słyszała o czymś konkretnym. Jest potomkiem starej fortuny i przyjechał ze mną w moim małym dziadowskim aucie, z dzikim ptakiem na tylnym siedzeniu.

Ze zdenerwowania krew krąży po moim ciele tak szybko, że ledwie jestem w stanie ustać spokojnie. To efekt chihuahua. Te nadpobudliwe małe psiny zawsze się trzęsą. Peter podaje mi rękę i wyciąga mnie z samochodu. Zostawia drzwi otwarte, tak że indyk wyskakuje na zewnątrz i odchodzi.

Peter patrzy za nim z uśmiechem.

— Dobrej zabawy — rzuca. Znikąd pojawia się jakiś człowiek i wsiada do mojego samochodu. Peter zostawił kluczyki w stacyjce.

— Hej! Co pan... — krzyczę zbyt piskliwie i zbyt spanikowanym tonem. Facet zamyka drzwi z trzaskiem i zaczyna odjeżdżać. Próbuję oderwać się od Petera, ale on mnie zatrzymuje.

— Sidney, on tu pracuje. Odprowadzi twój samochód do garażu. Nie jesteś w podejrzanym dzielnicy. Uspokój się. — Peter ma ten zarozumiały uśmiezek,



jakby się domyślał, że chciałam biec za swoim autem. Kiwam głową i pocieram ramiona.

— Sorry. Nie wiedziałam. Nie znam się. Co twoja matka powie o tobie i o mnie? Czy my w ogóle powinniśmy tu być?

Peter nachyla się i cmoka mnie w czubek nosa.

— Pomyśli, że jesteś wspaniała, bo taka jesteś. Bardziej mnie martwi, co ty pomyślisz o nich. — Zanim ma okazję wyjaśnić, jakiś mężczyzna krzyczy do niego:

— Peter! To ty? A niech mnie! — Mężczyzna zmierza ku nam przez trawnik. W pewnym momencie przechodzi w trucht, potem w sprint. Kiedy jest blisko, przyglądam się mu. Ciemne włosy, jasne błękitne oczy i ta sama budowa co u Petera i Seana. W przeciwieństwie do Seana i Petera jednak ten mężczyzna jest cały w uśmiechach — na pełną moc, niczego nie wstrzymuje. I wygląda tak, jakby z łatwością mógł przebiec całą plażę i się nie spocić. Jest doskonale umięśniony i bieg zupełnie nie sprawia mu problemu. Oczekuję, że się zatrzyma, gdy będzie krok przed nami, ale tego nie robi. Wpada na Petera i łapie go w niedźwiedzi uścisk. Towarzyszy temu mnóstwo męskiego poklepywania po plecach i powódź pytań.

— Gdzie się podziewałeś? Dobrze się czujesz? Co tu robisz? — Facet odsuwa się i obejmuje wzrokiem całą postać Petera. Na jego twarzy wymalowana jest radość, nie może przestać promiennie się szczerzyć. Peter ma ten półuśmiech, który przywołuje, gdy jest podekscytowany i zdenerwowany. — Cholera, dobrze cię znowu widzieć!

— Ciebie też, Jonathanie. Wyrosłeś. To znaczy, spójrz no tylko na siebie.

Jonathan uśmiecha się, pokazując dołeczek, który jest dokładnie taki jak dołeczek Petera. Jego jedwabiste kasztanowe włosy są trochę dłuższe od włosów Petera i trochę się kręczą na końcach, przez co jego fryzura ma ten seksowny zmierzwiony wygląd, za który supermodele daliby się pokroić. Ale najbardziej szokujące w nim nie są zabójcze włosy, piękne rysy ani promienne błękitne spojrzenie — to ten uśmiech. Jest niemal kpiący i sprawia, że mam ochotę z nim porozmawiać, żeby się dowiedzieć, co sprowadziło ten seksowny uśmieszek na jego przystojną twarz.

Po jakiejś chwili Jonathan spogląda na mnie. Strzepuje włosy z oczu i przygląda mi się tak naprawdę po raz pierwszy. Przerzuca spojrzenie między Peterem i mną, szybko dodając dwa do dwóch.

— Gdzie się podziały moje maniery? Jonathan Ferro. Jestem młodszym bratem tego facia. — Wyciąga rękę, robię więc to samo, spodziewając się mocnego uścisku, ale Jonathan ujmuje moją dłoń, schyla się w jej kierunku, a następnie składa na niej pocałunek. Wciągam ostro powietrze i sztywnieję.

Kiedy tam stoję, myśląc, że bogaci ludzie są dziwni, Peter wybucha

śmiechem i odpędza brata.

— Przestań, Jon! Bo ją wystraszysz.

Jon uśmiecha się do mnie, spoglądając spod ciemnych rzęs, i lekko się czerwieni.

— Tylko się zgrywam. No to, Pete, mów, kim jest ta piękna kobieta. — Krzyżuje ramiona na piersi i wtyka dłonie pod pachy. Patrzą od jednego do drugiego. Są tak bardzo podobni, ale oczy mają inne. Wprawdzie są tego samego koloru, Jona jednak nie posiadają tego wyrazu udręki, jaki widać w oczach Petera i Seana.

Peter przeciąga mnie przed siebie i otacza ramionami, dając w ten sposób bardzo jasno do zrozumienia, że nie jesteśmy znajomymi, jesteśmy kimś więcej niż tylko znajomymi.

— To Sidney Colleli. Jedziemy do jej rodziny w Jersey.

Jon mruga i uśmiech znika z jego twarzy.

— Pobieracie się czy coś w tym stylu? Bo mama nie da wam błogosławieństwa po...

Peter przerywa młodszemu bratu.

— Nie, nie zaręczyliśmy się ani nic takiego. — W jego głosie pobrzmiwa raczej żal niż przerażenie, co dobrze wróży. Zarobił u mnie kilka punktów za to, że nie ześwirował ze strachu. — Tak naprawdę to matka Sidney jest umierająca. I mamy się tu spotkać na lunchu z Seanem.

— Och, tak mi przykro, Sidney. To smutne. — Jonathan bierze długi wolny wdech i patrzy na Petera. — Chcesz z powrotem swój tytuł?

Peter parska śmiechem, jakby to była najśmieszniejsza rzecz, jaką usłyszał w życiu.

— Tam do diabła, ależ skąd. Zatrzymaj go sobie.

— A mama wie, że miałeś przyjechać?

Peter kręci głową.

— Nie, nie byłem pewien, czy chcę tu wpaść, więc nikogo nie uprzedzałem.

Jon posyła bratu zachwycony uśmiech.

— Cóż, nie mogłeś wybrać lepszego dnia na lunch. Tata ma tu swoje trofeum numer czterdzieści siedem i jeśli Sean też się zjawi... oj będzie iskrzyło, brachu. Super! Chodźmy.

Zerkam na Petera, zastanawiając się, co Jon miał na myśli, ale Jon już odbiegł.

— On zawsze tak się spieszy?

Peter kiwa głową.

— Raczej tak. To był mój młodszy brat, idiota — tak go nazywa ojciec.

— Miło. — W gruncie rzeczy to wcale nie jest nic miłego być tak nazywanym przez własnego ojca.

— Taa... Jon w zasadzie sam sobie zarobił na reputację — ach... jak by tu to powiedzieć — popędliwca. Jeśli widzi coś, co chciałby mieć, bierze to sobie. Nie zastanawia się, przynajmniej my nic o tym nie wiemy. Nadal jest jak dziecko, żyje szybko i ostro. Chce mieć każdą piękną kobietę, jaka stanie mu na drodze. Jeśliby mnie tu nie było, uderzyłby do ciebie, zasypując oszałamiającymi komplementami. Jest w tym dobry i z tego powodu stale pakuje się w kłopoty. Miałem nadzieję, że się trochę uspokoi po moim wyjeździe i będzie bardziej odpowiedzialny, ale najwyraźniej tak się nie stało. Sean chce mu złoić tyłek, żeby wrócił mu rozum. Jon musiał tym razem zrobić coś bardziej wariackiego niż zwykle.

Nadal jestem oszołomiona faktem, że bracia Ferro są tak szokująco do siebie podobni. Jakby cała trójka wyszła spod jednej sztancy.

— Ile on ma lat? Wyglądacie wszyscy jak trojaczki. To trochę przerażające.

Peter posyła mi speszony uśmiech.

— Taa, często to słyszymy. Sean jest trochę starszy, o jakiś rok, a Jon coś pięć lat młodszy. Kiedy wyjeżdżałem, szedł do college'u, czyli na jesieni zaczął pierwszy rok studiów, pod warunkiem że chodził na zajęcia.

Prycham i zerkam na Petera. Zbliżyliśmy się właśnie do masywnych frontowych drzwi. Peter przeplata swoje palce z moimi. Ja ciągle gadam, chociaż jestem zdenerwowana, aż mi się żołądek kurczy.

— Założę się, że ty nigdy nie wagarowałaś, co?

— Ja jestem tym grzecznym dzieckiem w rodzinie. Sean to czarna owca — albo złożył w ofierze czarną owcę czy raczej kozę, kiedy zaprzedał duszę diabłu — a Jon to Jon. I to mniej więcej tyle.

— Ty jesteś tym porządnym i nudnym bratem? Mój Boże, kto by pomyślał.

Peter śmieje się i ściska mocno moją dłoń.

— Tylko w porównaniu z młodszym bratem, maleńka. W porównaniu z Seanem jestem normalny i cywilizowany. W porównaniu z Jonem — odpowiedzialny i zrównoważony. W porównaniu z tobą... cóż, z tobą niczego nie da się porównać, powiedzmy więc tylko, że mam szczęście, i skończmy na tym. — Nachyla się i cmoka mnie w policzek.

## Rozdział 22.

Siedzę przy długim stole nakrytym jasnym obrusem. Na środku stoi olbrzymi bukiet z kwiatami w każdym wyobraźlnym odcieniu różu. Kompozycja jest umieszczona w wysokim kryształowym wazonie, żeby kwiaty nie zasłaniały nam widoku. Jaskrawe róże tworzą centrum, po bokach zwisają małe kryształki — a może to diamenty. Sztuńce są jasnozłote. Trącam nóż, jestem ciekawa, czy jest bardzo ciężki.

Peter siedzi naprzeciwko mnie, z boku znów mam swoją ulubioną osobę — Seana Ferro. Sean podnosi serwetkę i mówi cicho, tak żeby nikt nie mógł go usłyszeć oprócz mnie:

— Sprawdzasz, czy zmieści ci się do torebki?

— Goń się.

— Jeśli zginie choć jedna sztuka, każę służbie przeszukać cię przy wyjściu.

Co za palant. Zachowuje się, jakby umyślnie chciał rozpocząć kłótnię. Rzucam komentarz, który powinien go uciszyć:

— Widzę, że pokpiłeś sprawę z Avery. Dobra robota, Ferro. — Nie mówię do niego po imieniu. To by było zbyt intymne, jakbym go lubiła czy coś w tym stylu.

Uśmiecham się do Petera, który gromi wzrokiem Seana. Sean ma bardzo uprzejmą minę, ale wszyscy wiedzą, że to tylko maska.

Jego głos jest pozbawiony emocji.

— Musiała zostać, bo pracuje.

Mrugam, zaszokowana. Praca oznacza klientów, a to oznacza, że Avery jest w tej chwili z innym facetem. Avery nie chciała nikogo innego; chciała Seana. Nie powinnam tego mówić, ale nie mogę się powstrzymać.

— Co zrobiłeś? — Prawie nie znam Avery, ale bardzo mi jej żal. Sean nie zadaje sobie trudu i nie odpowiada, czego zresztą się spodziewałam. — Avery zasługuje na coś lepszego.

— Zgadzam się. — Jego krótka odpowiedź zamyka mi usta; nie potrafię wymyślić ciętej riposty. Przez resztę posiłku Sean nie patrzy już na mnie. Ten człowiek to po części enigma, a po części psychol.

Ferro mają tradycję, która wymaga, aby wszystkie dzieci usiadły do stołu pierwsze, jeszcze przed rodzicami. Peter wyjaśnił mi, że to miało wzmacniać rodzinne więzy czy coś takiego. Jestem zaskoczona, że Sean jest z nami. Zachowuje się jak skończony drań, dlatego nie wyobrażałam sobie, że mógłby się ugiąć i spełnić czyjeś oczekiwania. Jonathan siedzi podparty łokciami o stół i wygląda na totalnie znudzonego. Może ten dzieciak jest jak nerwowy collie i woli biegać, niż siedzieć. Jestem ciekawa, jaka jest jego historia, co takiego zrobił, czym wkurzył całą rodzinę. On sam wygląda na zupełnie spokojnego, mimo że jego

matka ma go ponoć w każdej chwili rozjechać. Z drugiej strony ta jakaś melancholia, to emocjonalne oderwanie, zdaje się być cechą charakterystyczną braci Ferro. Wszyscy trzej wydają się ją do jakiegoś stopnia posiadać, nawet Peter. Jeśli chodzi o Jona i Seana, na tym podobieństwo między nimi się kończy — no może oprócz stempla rozgoryczenia odcisniętego na ich czołach. Ciekawa jestem, czy Sean został tak samo gorąco przywitany jak Peter. Jeśli tak, nie widzę tego.

Kilka chwil po tym jak usiedliśmy, do pokoju wchodzi patriarcha. Pan Ferro, zdecydowanie już nie najmłodszy, ma siwe włosy i szeroki uśmiech na twarzy. Nie da się powiedzieć, że jest szczupły, ale otyły też nie. Żeby było ciekawiej, na jego ramieniu wspiera się kobieta w wieku zbliżonym do mojego. Ma na sobie obcisłą srebrną sukienkę, wyciętą szaleńczo nisko, odsłaniającą ogromnie obfity dekolt. Uśmiecha się do chłopców i kiwa końcami palców do wszystkich poza mną.

Jonathan odmachuje jej w ten sam sposób i puszcza oczko, ale pozostali dwaj bracia ignorują kobietę, jakby już za tydzień miało jej tu nie być. Widzę, że na widok wchodzącego ojca Jon się prostuje. Najpierw myślę, że to z szacunku, ale gdy widzę, jak oczy Jona rozbłyskują, gdy skierowuje je na kochankę ojca, zaczynam się zastanawiać, czy najmłodszy Ferro jest aż tak szalony, że chciałby podkraść ojcu dziewczynę. O rany, a ja myślałam, że to moja rodzina jest pokręcona. Gdzie jest pani Ferro i dlaczego godzi się na ten szajs? Mam ochotę o to zapytać, nie robię tego jednak. Zamiast tego siedzę nieruchomo z uprzejmym uśmiechem przyklejonym do twarzy i zastanawiam się, dlaczego Peter tu wrócił.

Kiedy pan Ferro siada i dostrzega Seana, jest zaskoczony, ale gdy jego spojrzenie pada na Petera, jego mina wyraża oszołomienie. Szok szybko przechodzi w ogromny uśmiech. Pan Ferro wstaje, zostawia Cycatą Barbie i okrąża stół. Peter też się podnosi i pan Ferro bierze syna w niedźwiedzi uścisk, zupełnie jak Jon wcześniej.

— Pete! Jak dobrze cię widzieć!

Ojciec zalewa Petera pytaniami, tak jak Jon. Peter tak naprawdę nie odpowiada na żadne. Zamiast tego tylko się uśmiecha i kiwa głową. Kiedy pan Ferro zerka na mnie, Peter uznaje, że to dobry moment na przedstawienie nas sobie.

— Tato, to Sidney Colleli. — Peter pokazuje na mnie dłonią. Sean zupełnie nas ignoruje, nie przestaje stukać w ekran telefonu. Wyciągnął go, gdy tylko usiadł. Szybko zerkam na Jona i otrzymuję zalotne skinienie głowy, dopełnione czarującym uśmiechem.

Pan Ferro ma minę mówiącą, że jest pod wrażeniem.

— A więc to ty jesteś tą kobietą, która sprowadziła mojego syna z powrotem do świata żywych? — mówi to tak, jakbym dokonała jakiegoś cudu, jakby Peter był już martwy. Wszyscy na mnie patrzą, łącznie z Seanem.

Czy Peter rzeczywiście był aż w takim dołku? Nie wyglądało na to, kiedy go

poznałam. Wiedziałam, że cierpi, ale zaszokowanie wszystkich obecnych tym, że Peter zjawił się w domu i jest szczęśliwy, mi nie umyka.

— Peter to dobry człowiek.

Sean odpowiada ze znużeniem, jakby to, co powiedziałam, wpędzało go w śpiączkę:

— To oczywiste. Jest Ferro.

— A ty! — Pan Ferro rzuca Seanowi surowe spojrzenie. — Nie byłeś na urodzinach matki i wszystkich innych ważnych uroczystościach pomiędzy.

— Bardzo mi przykro — odpowiada Sean apatycznym tonem. — Ale pracowałem. — Sean jest w czarnym swetrze, który wygląda na jedwabny, i czarnych dżinsach. Włosy ma lekko zwichrzone. To duży kontrast z tym, jak wyglądał wczoraj.

Jego ojciec jest wyraźnie nim poirytowany. Zamierza coś powiedzieć, ale ktoś mu przerywa.

— No, no. Wrócili obaj moi wyrodni synowie. — Pojawia się starsza kobieta o złotych włosach. Są krótkie i modnie ułożone. Z powodu zimnych oczu przybyła wygląda na osobę bezduszną. W jej twarzy brakuje blasku. Może zaadoptowała Johna, bo on nadal posyła uśmieški do kochanki ojca, jakby planował uderzyć do niej po lunchu.

Pani Ferro podchodzi wolno do Petera, mierząc go wzrokiem. W żółto-niebieskiej garsonce prezentuje się królewsko, ogromnie wytwornie.

Głos pana Ferro brzmi uprzejmie, ale jest w nim napięcie, jakby stały za nim dekady niewypowiedzianych słów i obaw.

— Constance.

Pani Ferro kiwa głową, to jednak jest wszystko. Mija Petera, więcej na niego nie patrząc, i siada u szczytu stołu. Pan Ferro siedzi między swoją żoną i cukierkową kochanką. Wszyscy po kolei zachowują się tak, jakby to było zupełnie normalne. Moja matka zadźgałaby mojego ojca widelcem do sałatek, gdyby ją zdradzał, a co dopiero ostentacyjnie obnosił się z kochanką i przyprawdzał na lunch do nas do domu. Co do diabła? Zerkam na Seana, ale nawet on tego nie komentuje. O mój Boże, jeśli to jest normalne, nic dziwnego, że są tacy pokręceni. Napięcie jest tak gęste, że się nim duszę.

Pani Ferro rozkłada serwetkę na kolanach, a potem podnosi wzrok na mnie.

— Kim jesteś?

Spoglądam na Petera. Jego matka jest przerażającą kobietą. Jej pytanie brzmi bardziej jak zaproszenie do wyjścia.

— Dziewczyną Petera. — Mogę tak powiedzieć, no nie? Brzmi głupio, ale to chyba prawda.

Peter mnie przedstawia i potem jest zadziwiająco milczący. Jego matka patrzy na mnie z góry poprzez stół.

— Czyli zjawiał się pewnie, żeby o coś mnie prosić.

Zerkam na Petera, potem na Seana. Jon się uśmiecha, jakby wszystko było niesamowicie ekscytujące. Potrzęsam głową i poprawiam ją.

— Nie, tak nie jest. Wpadliśmy tylko przy okazji. Jadę odwiedzić swoją matkę.

— Och, a więc odwiedzasz matki innych, tylko nie swoją? — Słowa pani Ferro są ostre jak brzytwa. Peter nie patrzy na nią. Boże, nic dziwnego, że obaj, on i Sean, uciekali, byle szybciej i byle dalej. Ta kobieta jest okropna. To emocjonalna czarna dziura, wysysająca z ludzi życie. Zerkam na pana Ferro, zastanawiając się, czy to dlatego prowadzi się z tą gorącą laską.

Nie mogę tego zostawić. Wiem, że powinnam — matka Petera ma prawo być zła, że syn uciekł z domu — ale to nie tak.

— Moja matka umiera, pani Ferro. Peter nie chciał, żebym jechała do domu sama.

Pani Ferro wstaje. Bez słowa wyjaśnienia odchodzi od stołu, nie oglądając się. Peter mówi mi, że zaraz wróci, i idzie za matką.

Sean się uśmiecha.

— Brawo. Wkurzyłaś ją w mniej niż pięć minut. Nawet przeze mnie nie wyszła nigdy z pokoju tak szybko. I pomyśleć, że zmarnowałam tyle czasu, wymyślając kaśliwe uwagi na temat numeru czterdzieści siedem, kiedy najwyraźniej potrzebowaliśmy tu ciebie.

— Ona mówiła tak, jakbyśmy jechali na wesołą przejażdżkę do Atlantic City. A chodzi o coś innego. — Gardło mam ściśnięte. Nie będę się przed nim tłumaczyła. — Przepraszam. — Podnoszę się i odchodzę od stołu. Wychodzę na korytarz i idę przed siebie, sama nie wiedząc dokąd.

Słyszę kroki za sobą. Pojawia się Jonathan, jest trochę zdyszany, jakby mnie gonił.

— Uratowałaś mi tyłek. Czekala, żeby mnie przeżuć, odkąd wróciłem. Hej, wszystko w porządku?

Kiwam głową, chociaż nic nie jest w porządku. Wieczorem będę w domu i będę się kłóciła z własną matką.

— Tak.

— Chodź. Peter jest tam. — Jon domyśla się, że pewnie lunch wydał mi się naprawdę pokręcony, bo jego ojciec przyprowadził swoją kochankę, więc wyjaśnia: — Robi tak, żeby wkurzyć mamę, ale ta kobieta nigdy na to nie reaguje. Jest tak, jakby była martwa w środku. Ojciec z drugiej strony potrzebuje się zabawić. Nie tłumaczę go. To znaczy, jeśli facet się żeni, to musi sobie z tym radzić. Dlatego właśnie nigdy się do niczego takiego nie zobowiązę. — Wzdryga się, jakby małżeństwo było gorsze od śmierci. — Najbardziej interesująco robi się w okolicach świąt. Staram się wtedy omijać to miejsce, ale pewnie już słyszałaś, bo

moje czyny mnie wyprzedzają: jestem tym lekkomyślnym synem. — Spogląda na mnie i się uśmiecha. — Ale tak naprawdę wcale nie jestem lekkomyślny, tylko nikt z nich nie potrafi tego zauważyć, bo wszyscy są martwi w środku. Wiem, że poznałaś Seana — to idealny przykład. Facet jest jak wampir, wysysa dusze od Kalifornii po Nowy Jork. — Szczerzy się i ostatnie słowa nuci.

— Myślałam, że wampiry wysysają krew.

— Bez różnicy. Jest bezduszny i zimny, poza tym ta piosenka kojarzy mi się z tą serią powieści o wampirzycy hippisce, no wiesz „Jane the Hippie Vampire”, a to zabawne zestawienie. — Jon próbuje mnie rozweselić, ale mój żołądek jest już poskręcany w węzły.

Posyłam mu nerwowy uśmiech.

— Czyli twoi rodzice... oni nie są rozwiedzeni?

— Rozwiedzeni, nie. Mama nie chciała. Po prostu toleruje wszystkie wybryki ojca i nic nie mówi. Ojciec na rozwodzie by stracił, ma więcej pieniędzy, gdy jest z matką. Jeśli tylko kochance to nie przeszkadza, jest dość spokojnie. Po wyprowadzce Seana i Pete'a nie ma tu za wiele do roboty.

— Przestań zdradzać sekrety rodziny obcym, Jon. — Ku nam szybkim krokiem zbliża się Sean.

— Sean, przestań być dupkiem. Widziałeś, jak Pete na nią patrzy...

— Widziałem. Idź dokończyć lunch. — Sean wpatruje się w brata, aż ten w końcu odwraca się, potrząsając głową.

Patrzę za Jonem, jak odchodzi korytarzem. Chodzi tak bardzo podobnie do Petera, ale zarazem inaczej. Sean woła za nim:

— Przy okazji, słyszałem, co nawywijałeś. Porozmawiam z tobą o tym później.

Jon odwraca się z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Nie ma o czym, braciszku. Sprawa jest zamknięta. — Jon się śmieje i odchodzi, zanim Sean zdąży cokolwiek odpowiedzieć.

Jego stalowe spojrzenie przenosi się na mnie.

— Mam już to, czego potrzebuje Peter. Nie ma sensu dłużej zwlekać. Zbierajmy się.

Zastanawiam się, czego potrzebowali, ale nie pytam. Kiwam tylko głową i idę z Seanem na front domu. Kiedy wychodzimy na zewnątrz, indyk czeka na nas u podnóża schodów. Mój samochód został przyprawiony i stoi na środku podjazdu.

— Czy ty mnie wyrzucasz?

Sean parska krótkim śmiechem.

— Nie, tylko ułatwiam ci wyjście. A to różnica.

— Nie, żadna, a ty jesteś dupkiem.

— Kwestia perspektywy. Ruszaj się. Peter i ja niedługo za tobą pojedziemy.



Chce, żebym wyjechała bez Petera? Sean otwiera drzwi od strony kierowcy. Indyk wskazuje na tylne siedzenie i sadowi się na nim w swojej zwykłej pozie.

— Taa, nigdzie bez niego nie jadę.

Sean wygląda na wzburzonego.

— Może mógłbym ci to wyperswadować.

— A co to znaczy, do diabła?

— To, że mógłbym ci dać cokolwiek mogłabyś chcieć, żebyś tylko odjechała od razu i nigdy nie wracała. Wymień swoją cenę. — Głos Seana brzmi całkowicie obojętnie. Sięga do tylnej kieszeni i wyciąga książeczkę czekową. Ja nic nie mówię. Sean pisze coś i wrywa czek, po czym mi go podaje.

Rozkładam czek i na widok sumy mrugam dwukrotnie. A niech mnie wszyscy święci, to kupa kasy. Za ten czek mogłabym kupić wyspę i mnóstwo innych rzeczy. Wszystko, co muszę zrobić, to wsiąść do samochodu i odjechać. Tego chce Sean. Biorę czek i uśmiecham się. Wślizguję się na przednie siedzenie i jestem pewna, że kiedy zapalam silnik, Sean myśli, że zamierzam odjechać.

— Grzeczna dziewczynka — rzuca, jakby był ze mnie zadowolony. Boże, jest takim aroganckim palantem. Daje krok do samochodu, żeby zamknąć drzwi, ale moja noga wciąż jest na zewnątrz. Zapalniczka wreszcie wyskakuje. Biorę ją i wysiadam.

— Oto, co myślę o twojej propozycji. — Przykładam zapalniczkę do rogu czeku. Miałam nadzieję, że się zajmie ogniem i spłonie, ale to cholerstwo ledwie się tli. Przyciskam zapalniczkę do papieru raz za razem, ale on nie staje w płomieniach. Tylko żarzy się na bokach.

— Urzekające. Nie krępuj się, udekoruj drugą stronę, żeby pasowało. Bank nie będzie miał nic przeciwko.

Cholerny czek nie chce się zapalić. Prycham ze zniecierpliwieniem i rzucam zapalniczkę na ziemię. Drąc czek na milion części, syczę okropne rzeczy do Seana, potem kawałki papieru rzucam mu w twarz.

— Nie jestem twoją własnością. Mogę robić, co chcę, a ja chcę Petera, więc pogódź się z tym.

Sean strzepuje skrawki papieru ze swetra, ale nie reaguje.

— Już przelałem pieniądze na twoje konto. Czek był tylko na pokaz. Wsiadaj do samochodu i odjedź.

Gapię się na niego, zaszokowana. Nie może tego robić! Czy może?

— Co z tobą jest? Nie chcesz, żeby Peter był szczęśliwy?

— Owszem, chcę, i to bardzo. Z tego, co mi mówił, masz własne problemy, i nie chcę, żebyś go w nie wciągała. Najlepsze, co możesz zrobić dla mojego brata, to wsiąść do samochodu i odjechać bez oglądania się. Nieważne, jak brzmi jego nazwisko, Pete zawsze będzie Ferro. Zawsze będzie miał więcej cholernych problemów, niż może znieść, niepotrzebne mu nowe. Mówię ci rzeczy, które już

wiesz. Jeśli nie przemawiają do ciebie pieniądze, to może przemówi to, żebyś nie myślała jedynie o sobie. Co jest najlepsze dla Petera? — pyta, jednak nie daje mi czasu na odpowiedź i kontynuuje: — Ciąganie go za sobą to dla niego regres. On nie powinien tu być. To miejsce jest toksyczne; nasza cała pieprzona rodzina jest toksyczna. Peter to wie, ale wrócił dla ciebie — zrobiłby wszystko dla ciebie, a ty przyprowadziłaś go do piekła.

Sean mówi ostro i z większą pasją, niż mogłabym się u niego spodziewać. Nie mam cienia wątpliwości, że chce chronić brata, że lepiej od kogokolwiek innego wie, jakie demony czają się w tym domu, w tym miejscu.

Chcę odpowiedzieć, że nie wiedziałam, że postępuję egoistycznie. Sama przed sobą muszę jednak przyznać, że tak właśnie jest. Wślizguję się do samochodu i pozwalam Seanowi zamknąć drzwi. Szyba jest spuszczone. Sean nachyla się, mówiąc:

— Postępujesz właściwie.

Nie mogę na niego patrzeć. Chwytam mocno kierownicę i syczę:

— Wycofaj pieniądze z mojego konta. Jeśli zostawisz choćby grosik, wrócę i wepchnę ci go w tyłek.

Usta Seana drżą, jakby chciał się uśmiechnąć.

— Bardzo dobrze. Zanim dotrzesz do domu, kasa zniknie.

Zniknie. To słowo dudni mi w uszach. Peter też zniknie. Sean bez wątpienia powie mu coś takiego, przez co nie będzie chciał mnie szukać. Ruszam wolno, z sercem w gardle. Nie miałam pojęcia, przez co przechodził Peter, i sprowadzenie go tutaj było najgorszą rzeczą, jaką mogłam zrobić.

## Rozdział 23.

Pod dom swojego dzieciństwa podjeżdżam po zmroku. Wygląda tak, jak go zapamiętałam — szeroki gęsty trawnik i ogród pełen kwiatów. Myślałam, że pewnego dnia też będę miała taki dom. Teraz nie wiem, co będę miała.

Mój telefon milczy od czasu wyjazdu z posiadłości Ferro. Sądziłam, że Peter do mnie zadzwoni. Myślałam, że za mną pojedzie. Nie mogę znieść myśli, że już nigdy go nie zobaczę. Zastanawiam się, co takiego powiedział mu Sean, i nie mogę się powstrzymać od rozmyślania o tym, gdzie Peter teraz jest i co robi.

Wyłączam silnik i otwieram drzwi. Razem z indykiem idę chodnikiem do domu. Dzwonię. Nie mieszkam tu już. To nie jest mój dom i ci ludzie są mi obcy. Otwiera ojciec, ubrany w zwykły wieczorny strój — dżinsy i stary T-shirt. W jednej ręce trzyma paczkę chipsów. Tak naprawdę to nie patrzy w górę, dopóki się nie odezwę.

— Hej, tato.

Teraz mnie poznał, podnosi wzrok. Wpatruje się we mnie, jakbym była duchem.

— Sidney. — Nie mówi nic więcej. Widzę, że w jego głowie toczy się walka. Cieszy się, że jestem, ale czuje się zdradzony moim odejściem. Ogarnia mnie skrępowanie. Wiem, że słusznie zrobiłam, odchodząc, ale mimo wszystko... jest mi przykro, że sprawiłam im ból.

— Sam powiedział mi, że mama jest chora. — Ojciec kiwa głową i otwiera drzwi szerzej, żeby mnie wpuścić.

— Taa... jest. Sytuacja wygląda nieciekawie. Pytała o ciebie.

Kiwam głową i wchodzę do środka. Dom jest wypełniony ludźmi: rodziną, sąsiadami i znajomymi z przeszłości. Większość łąpie na mnie wrogo. Nie wiedzą, co się stało, wiedzą tylko, że uciekłam i zламаłam rodzicom serce. Nie starają się ukryć swojej niechęci, gdy ojciec wprowadza mnie do pokoju.

— Moje maleństwo wróciło do domu! Znowu jesteśmy razem. — Szczypie mnie w policzek, tak mocno, że to boli. Uśmiecham się do niego i staram się nie odsunąć. Jego nastrój zmienia się, jakby postanowił sobie odpuścić. Uśmiecha się radośnie i oprowadza mnie po pokoju, popisując się mną jak niegdyś. Ludziom, którzy mnie znają, mówi, że jestem jego córką, że ta mała dziewczynka wróciła do domu. Jest taki podekscytowany, że mnie widzi. Nie pyta, gdzie byłam ani dlaczego się nie odzywałam.

Łzy szczypią mnie w oczy, ale zduszam je mruganiem. To że odeszłam w sposób, w jaki odeszłam, bardzo ojca zraniło. Widzę to na jego twarzy i słyszę w jego głosie. Tata mówi tak, jakby był ze mnie dumny, co mnie totalnie dobija. Odeszłam, bo miałam powód. Odeszłam, bo nikt mi nie uwierzył. Odeszłam, bo oni lubili Deana bardziej niż mnie.

Tata oprowadza mnie po pokoju, śmiejąc się głośno, cały promienieje. Jestem uprzejma i uśmiecham się, choć widzę, że nikt mnie tu nie chce. I to wtedy dostrzegam Sama opartego o poręcz schodów prowadzących na piętro do sypialni. Ręce ma splecione na piersi. Zerka za mnie, szukając Petera, ale Peter zniknął.

Sam podchodzi do mnie.

— Mówiłem wam, że ją znajdę i sprowadzę. Dobrze cię widzieć, siostra. — Nachyla się i krótko mnie ściska. Wszyscy myślą, że jest wspaniała, że sprowadził wyrodną siostrę do domu. Jeśli zaczną wiwatować, nie zniosę tego.

Oglądam się na ojca.

— Co jest z mamą? Mogę do niej pójść?

Tata bierze mnie za rękę i zaciąga do kuchni. Tutaj jest mniej osób. Ciotka coś gotuje. Na stole leży mnóstwo naczyń zakrytych folią aluminiową. Kolekcja mamy „Pocałuj kucharza” nadal tu jest. Gdzie się obejrzę, widzę następną plaketkę lub lalkę, lub fartuszek z napisem POCAŁUJ KUCHARZA.

Tata przechodzi na drugą stronę jadalni i odsuwa dla mnie krzesło.

— Jadłaś? Beth, przygotuj jej coś.

Macham do ciotki Beth i mówię, że nic nie chcę, ale oboje mnie ignorują. Chwilę później ciotka stawia przede mną pełny talerz.

— Jedz. Jesteś za chuda. — Patrzy na mnie z dezaprobatą i wraca do kuchenki.

— Tato, co jest mamie?

— Ma raka, maleńka. Zaskoczył nas. Była zdrowa, a potem nagle już nie. Przez jakiś czas brała chemię, ale rak był zbyt zaawansowany. I tak żyje dłużej, niż jej dawano — mówi to wszystko ze stoickim spokojem, jakby robił to już milion razy wcześniej.

— Dlaczego nie jest w szpitalu?

— Znasz swoją matkę. Chciała być w domu. Mamy tu wszystko, czego potrzebuje. Jedyne, czego nam brakowało, to ty. Będzie szczęśliwa, kiedy cię zobaczy.

Kiwam wolno głową, próbując sobie to wszystko przyswoić. Co prawda Sam powiedział, że mama umiera, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak źle. Czuję mdłości. Zrywam się z krzesła i biegnę do łazienki, gdzie próbuję wymiotować, aż czoło pokrywa mi się potem. Wszystko uderza we mnie bezlitosnymi falami. Żal tak głęboki, że aż trudno go ogarnąć, stracony czas, nienawiść i fakt, że nie wybaczyłam matce. Gdzieś w tyle głowy miałam zawsze, że będzie jeszcze czas na wyprostowanie sytuacji. Nie byłam świadoma tej myśli, ale ona tam była.

A teraz, teraz nie ma już czasu. Straciłam szansę i nigdy jej nie odzyskam.

## Rozdział 24.

Jestem otępiała w środku i na zewnątrz, gapię się tępo w nicość. Minęło kilka godzin od mojego przyjazdu do domu i mam dość. Emocje mnie przytłoczyły i wypaliły. Jediną dobrą rzeczą, jaka się wydarzyła, jest to, że Dean się nie pokazał.

Sam znajduje mnie siedzącą samotnie na podwórku.

— Hej, Sid.

Upijam łyk wody sodowej. Nadal czuję mdłości. Jest późno. Większość ludzi w moim domu już wyszła. Będą wracali codziennie, aż mama umrze, będą przynosili jedzenie i dotrzymywali ojcu towarzystwa.

— Chciałem powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, co zaszło w Teksasie. Powinienem był wiedzieć, że wrócisz. Martwiłem się o ojca — o to, co się z nim stanie, gdybyś nie przyjechała się pożegnać. Ostatnio ciągle się uśmiecha, jakby tracił rozum. Mama codziennie coraz bardziej się ześlizguje. Coraz rzadziej się budzi i już prawie w ogóle nie mówi. Jediną rzeczą, jaką chciał jej podarować, zanim umrze, jesteś ty. Tak czy inaczej, przepraszam — kończy. — Kiepsko mi to wszystko wyszło i nie powinienem był zabierać ze sobą Deana.

Mój brat rzadko przeprasza. Mam zmęczone oczy, kiedy więc na niego zerkam, boli mnie głowa.

— A gdzie on w ogóle jest? — Nie widziałam go w środku i myśl, że w każdej chwili mogę na niego wpaść strasznie mnie denerwuje.

Sam patrzy na mnie, jakbym mówiła jak potłuczona.

— Gdzie jest kto? Dean? — Kiwam głową. — Już do nas nie przychodzi. W zasadzie gdy wyjechałaś, mama powiedziała mu, że zakopie go w ogrodzie i patelnię, którą go zabije, wykorzysta na nagrobek. Było naprawdę ostro.

Gapię się na niego zaszokowana. Przez cały ten czas myślałam, że Dean jest w moim domu, z moją rodziną. Odeszłam, bo sądziłam, że uwierzyli jemu, a nie mnie. Sam nie zdaje sobie sprawy z wagi swoich słów. Może jest moim bliźniakiem, ale nie ma między nami łączności. Empatia nie cechuje niektórych bliźniaczych związków.

Sam patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— No co?

— Wiesz dlaczego?

Wzrusza ramionami.

— Nie mam pojęcia. Wściekła się, kiedy wyjechałaś. Może zwyczajnie wyładowała się na Deanie. Nie wiem.

— Ale ty się z nim nadal kumplujesz?

— Taa... Dean nic nie zrobił. To dobry chłopak, Sid.

Nie chcę z nim o tym rozmawiać, więc nie odpowiadam. Znowu zaczynam

patrzeć tępo przed siebie i robię to do momentu, aż Sam wstaje i odchodzi. Dean jest jego najlepszym przyjacielem i zawsze był. Z tego powodu zastanawiam się, czy Samowi w ogóle na mnie zależy. Czasami myślę, że tak, ale kiedy mówi takie rzeczy... już sama nie wiem.

Mój ojciec wychodzi przed dom i mnie woła. To ożywia wspomnienia o tym, jak bawiliśmy się po zmroku na podwórku. Jak ojciec stawał w drzwiach i nas przywoływał. W ciepłe wieczory, jak ten, mama robiła krówki, więc to, że musieliśmy wracać, nie było aż takie złe. Zawsze miałam straszną słabość do słodczy.

— Idę — mówię i wstaję z ogrodowej huśtawki. Wyszłam na dwór, żeby pomyśleć, zastanowić się, czy miałam rację, czy się myliłam, i czekałam, aż mama się obudzi. Powiedzieli mi, że dzieje się tak, gdy lekarstwo, które bierze, przestaje działać. Jest tyle rzeczy, które mam jej do powiedzenia, ale jeszcze na nic się nie zdecydowałam.

— Obudziła się i prosi, żebyś przyszła. — Tata uśmiecha się do mnie smutno. — Powiedziałem jej, że tu jesteś, a ona się uśmiechnęła. Nie robiła tego od wieków. Idź na górę.

Przed odejściem obejmuję go. Tata przytula mnie, a potem odpędza, mówiąc, żebym już poszła. Wspinam się na schody i idę do sypialni rodziców. Biegałam po tych korytarzach jako dziecko. Gdy obudził mnie jakiś koszmar, pędziłam do pokoju rodziców, żeby mnie ochronili. Ale teraz wszystko się odwróciło. Moją mamę niszczy jej własne ciało i nikt nie może jej uratować.

Zatrzymuję się przed drzwiami i sięgam do klamki, ignorując wiercenie w żołądku. Mama jest przytomna, może ostatni raz. Muszę jej powiedzieć to wszystko, co chciałam jej powiedzieć, przyjeżdżając tu.

Wchodzę do jej starej sypialni, ale pokój nie wygląda tak samo. Stoi w nim szpitalne łóżko, obok są kroplówki. Mama leży na plecach z półprzymkniętymi oczami. Jest przykryta cienką niebieską kołdrą, ale ręce ma na wierzchu. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, co rak jej zrobił, jak straszliwie ją zmienił. Wygląda staro i krucho. Jej niegdyś promienna twarz jest szara, zapadnięta. Ciemne włosy, sięgające za ramiona, zniknęły. Ludzie mówią, że jesteśmy do siebie podobne. Teraz tego podobieństwa prawie zupełnie już nie ma.

Mama mnie nie widzi. Zaciskam usta i podchodzę bliżej.

— Mamo?

Mama patrzy przed siebie, ale kiedy słyszy mój głos, jej oczy przesuwają się, szukając mnie. Ustawiam się na linii jej wzroku i na jej twarz wypływa zboląły uśmiech. Jest bardzo lekki i szybko znika.

— Sidney. Wróciłaś.

Podnosi palce, jakby chciała mnie dosięgnąć. Biorę ją za rękę.

— Jestem w domu, mamo. — Gardło tak mi się zaciska, że nie mogę mówić.

Wzrok zamazują mi łzy.

Jej głos jest taki słaby — ledwie szepcze — ale mówi do mnie. Opowiada o swoim ogródku i pyta, czy wiosenne kwiaty już wzeszły. Już jest dawno po przymrozkach, ale ona chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Słucham jej głosu i przeklinam się w duchu, że nie wróciłam do domu wcześniej. Unikałam tego, bo myślałam, że nic tu już nie zostało. Nie wiedziałam, co się stało po moim wyjeździe, nie wiedziałam, że matka zwróciła się przeciwko Deanowi.

Klękam przy łóżku i mówię o niczym i o wszystkim, aż przychodzi czas na podanie matce lekarstw. Rozmowa przenosi się na Petera.

— Kochasz go? — Kiwam wolno głową. — W takim razie nie pozwól mu odejść. — Matka kaszle i jej ciało sztywnieje z bólu. Chciałabym, żeby to się nie działo, ale nie mogę tego powstrzymać. Nikt nie może. Stracę ją na zawsze.

— Chcesz, żebym zawołała kogoś do pomocy?

— Nie. — Ścisną moją dłoń mocniej. — Muszę ci coś powiedzieć. Po twoim wyjeździe znalazłam twoje notesy. Przeczytałam je. Chciałam się dowiedzieć, co takiego zrobiłam, co było aż tak straszne, że w ten sposób zniknęłaś. — Jest taka słaba. Słowa wychodzą z jej ust płytkimi wydechami, jakby brakowało jej tchu.

— Czytałaś moje pamiętniki? — Miałam kilka, kiedy tu mieszkałam. Gdy wyjeżdżałam, zostawiłam je. Nie było szans, żebym mogła wymknąć się niepostrzeżenie, zabierając wszystko.

Kiwa lekko głową.

— Chciałam to naprawić, ale wtedy było już za późno. Nie wiedziałam. Niczego nie zauważyłam. Nie masz powodu, żeby mi przebaczać, i nie mogę cię o to prosić. Chcę ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro, że musiałaś przeze mnie uciekać, tak bardzo mi przykro, kochanie.

— Ty mi wierzysz? — Głos łamie mi się od szoku. Żal zalewa serce, topi mnie w rozpacz.

— Tak, ale spóźniłam się. Szkoda, że... — przerywa nagle i tężeje z bólu. Kiedy atak mija, udaje jej się powiedzieć: — Przepraszam. — Mamrocze coś jeszcze i jej oczy zamykają się. Uścisk na mojej dłoni słabnie. Ledwie oddycha.

— Nie spóźniłaś się, mamo. Tak bardzo cię kocham. I tak strasznie cię przepraszam. — Głos mi drży, kiedy to mówię, w tyle głowy kołacze się myśl, że już więcej jej nie usłyszę. Nie będzie więcej rozmów, śmiechu ani łez. To koniec.

Wracam na swoją huśtawkę i przeczekuję noc.

Tuż przed świtem słyszę to — głos ojca. Ojciec zawodzi i coś roztrzaskuje się na podłodze wewnątrz domu. Siedzę tam, nie mogąc myśleć. Szok obmywa mnie falami raz za razem. Moje zmysły odłączają się i umierają. Jakoś podnoszę się z huśtawki i idę do domu. Przy schodach widzę ojca. Płacze. Siadam obok niego. Żadne z nas się nie odzywa. Po kilku minutach ojciec bierze głęboki oddech i wyciera łzy. Chwyta mnie mocno za ramię i przyciąga do siebie.

Sam stoi u podnóża schodów, patrzy w górę, na nas, twarz ma bladą jak duch. Na chwilę zapomina o wszystkim innym, wspina się na schody i siada z nami.



## Rozdział 25.

Myślałam, że będę płakała, ale nie płakałam. Większość dnia spędziłam na huśtawce ogrodowej, patrząc tępo w przestrzeń przed sobą. Ciotka Beth próbowała mnie wyrwać z tego odrętwienia, wtykała mi do rąk talerze z jedzeniem. Niczego nie tknęłam. Odstawiam talerze na ziemię i wtedy przychodzi mój indyk. Zjada jedzenie i próbuje też pożreć talerze.

Szybko je podnoszę i stawiam tam, gdzie nie ma do nich dostępu.

— Muszę cię zaprowadzić do weterynarza, żebyś mógł znówu latać. Chodzenie musi być do dupy. Kiedy już cię naprawimy, założę się, że polecisz na autostradę, do reszty swoich kumpli. — Nie, żebyś widziała kiedyś na tej autostradzie jakieś sępy.

Ciotka Beth przywołuje mnie z zaplecza domu. Odpędzam ptaka. Ciotka już raz dziś groziła, że odda go do wypchania. Przez cały czas płacze i gotuje z innymi kobietami z mojej rodziny — no, ze wszystkimi oprócz mnie. Mi przez większość czasu dają spokój.

— Sidney, skończyła nam się mąka — wyjaśnia, wycierając ręce w fartuch, który moja matka nosiła tyle razy. Zerkam na jej buty. Są białe, jakby wysypała na nie całą torebkę mąki. Ma ją też na spodniach. Jest bliska rozpadnięcia się na kawałki, gdy próbuje wyjaśnić, co się stało.

Uśmiecham się do niej, żeby powstrzymać łzy.

— Z chęcią po nią pójde, ciociu. Potrzebujesz może coś jeszcze ze sklepu?

— Nie, kochanie, tylko mąkę. Chcemy dokończyć wszystko do jutra. — Wyciera rękę w fartuch i przyciąga mnie do uścisku. — Cieszę się, że wróciłaś.

Uśmiecham się i kiwam głową. Tak właśnie robię, gdy ludzie to mówią. Częściowo dlatego, że nie wiem, co miałabym powiedzieć, ale też dlatego, że nie zostaję. Nigdy nie zamierzałam zostać. Przyjechałam do domu pochować matkę. Potem wracam do Teksasu. Jeszcze nikomu o tym nie powiedziałam. Myślę, że ojca by to zabiło, ale nie mogę tu zostać. Żal mnie dusi i im dłużej tu jestem, tym jest gorzej.

Ciotka Beth zaprowadza mnie do kuchni.

— Och, i weź mojego vana, bo zastawiłam twoje auto. — Rzuca mi kluczyki, ja je łapię i wychodzę.

Ciotka Beth ma trzy małe dziewczynki i minivana, w którym pachnie jak w cukierni. Jadę do spożywczaka kilka przecznic dalej, mając nadzieję, że nie wpadnę tam na nikogo znajomego. Zatrzymuję się na parkingu, bo ciotka dostałaby szału, gdyby ktoś zarysował jej drzwi, potem idę do sklepu. Znajduję mąkę i biorę jeszcze kilka innych rzeczy. Potem wychodzę i kiedy ładuję torbę na tył vana, zaczyna mnie mrowić szyja. Odwracam się szybko, myśląc, że zobaczę, iż ktoś mnie obserwuje, ale nikogo tam nie ma.

Trochę wystraszona wsiałam do vana i jadę do domu. Cały czas nie opuszcza mnie wrażenie, że pod rzędem siedzeń ukrywa się morderca z siekierą. Oglądam się na nie ciągle, ale pod siedzeniami nikogo nie ma. Mimo to uczucie, że jestem obserwowana, nie mija.

Kiedy przyjeżdżam, ciotka Beth wybiega, żeby zabrać zakupy, i znika w domu. Zamykam bagażnik i się odwracam. Tuż przede mną stoi Dean. Nasze ciała ocierają się o siebie, a kiedy daję krok w bok, żeby zejść Deanowi z drogi, on chwytam mnie za rękę.

— Zaczekaj. Chcę z tobą porozmawiać.

— Nie mamy o czym. — Wyrywam rękę i odwracam się, żeby pójść do domu.

— Przykro mi z powodu twojej mamy.

Nienawidzę go. Nienawidzę tego, że to mówi, że myśli, iż ma prawo tu być. Odwracam się wolno, po mojej twarzy z pewnością widać, że myślę o nim wszystko, co najgorsze.

— Idź do diabła.

Dean uśmiecha się, jakby to było zabawne.

— Uwielbiam tę nową ciebie. Do twarzy ci z hardością, Sidney. Jak się tak prężysz, twoje cycki wydają się większe, niż naprawdę są. To twój nowy chłopak nauczył cię tak się stawiać?

Gniew narastał we mnie od kilku minut, a teraz gdy Dean wspomniał o Peterze, ledwie nad sobą panuję. Nie odpowiadam. Zamiast tego słucham pacyfistycznej strony swojego umysłu, która radzi mi, żebym odeszła.

— Serio? Przyjeżdżam, żeby złożyć kondolencje, a ty mnie nie zaprosisz? Co to kurwa jest, Sidney?

— Moja matka groziła, że zakopie cię w ogródku. Nie jesteś mile widziany w tym domu.

Ma czelność się roześmiać.

— Tak, pamiętam to. Najwyraźniej uwierzyła ci odrobinę zbyt późno. Życie jest okrutne, nie uważasz? Nie przyjeżdżałaś do domu przez ten cały czas, bo ci nie wierzyła, ale okazuje się, że tak naprawdę to wierzyła. Jaka szkoda. — Cmoka, jakby cała sytuacja była drugorzędna, jakby nic nie znaczyła. Furia krąży mi w żyłach tak szybko, że mam ochotę się na niego rzucić. Chcę sprawić, żeby się zamknął, chcę go zranić tak samo mocno jak on mnie. Nie mogę się pozbyć tej myśli. Narasta w mojej głowie, jest coraz wyraźniejsza, kiedy Dean stoi tam i patrzy na mnie lekceważąco, jakbym była totalnie żalosna.

Dean dostrzega tę zmianę we mnie, ale nie wie, jak głęboko sięga nic szaleństwa. Podchodzi do mnie od tyłu i delikatnie otacza mnie ramionami w pasie, jakbyśmy byli kochankami.

— Co ty na to, żebyśmy zrobili to, co zawsze. Mam nawet w kieszeni ten

sam nóż. Czujesz go, prawda, maleńka? Przyciska się do moich nóg, żebym mogła poczuć jego podniecenie i nóż w kieszeni.

W mojej głowie formuje się szalona myśl, nie potrafię się z niej otrząsnąć. Przyciąga mnie, rośnie szybko, jest coraz mroczniejsza. Mówię „nie” i próbuję się odwrócić, ale wiem, czego Dean chce. Lubi walkę, lubi, gdy się go boję. Odgrywam swoją rolę, a Dean trzyma mnie mocno. Tym razem pozwalam mu zaciągnąć się do vana. Popycha mnie na boczne drzwi i przyciska się do mnie całym ciałem.

— Wiesz, że tego pragniesz.

— W takim razie, chodźmy. — Patrzę na niego i nawet nie mrugnę. Każde moje słowo jest szczere. Chcę go tu i teraz. Samego.

Jego mina zmienia się. Oczy wypełniają mu się chucią, wwierca się biodrami w moje. Ten ruch wywołuje we mnie mdłości, mam ochotę ukryć się w sobie, ale nie robię tego. Pamiętam błysk srebra. Pamiętam ból, ale przede wszystkim wciąż czuję ogromną rozpacz z powodu straty matki i to wszystko jest jego wina. To Dean mi to zrobił. Ukradł mi wszystko.

Na karku wciąż czuję mrowienie, jakby ktoś mnie obserwował. Rozglądam się szybko, ale nie widzę nikogo. Ulica jest pusta i ciemna, nie licząc latarni z jej żółtym światłem. Przypuszczam, że to moja reakcja na Deana; w końcu nasze ostatnie spotkanie, kiedy byliśmy sam na sam, zniszczyło mnie. Moje ciało zapamiętało każdy najmniejszy szczegół, ale zamiast czuć zalew wspomnień, nie czuję nic. Jest tak, jakby coś w mojej głowie przestało działać. Racjonalna część mojego umysłu odcięła się i odpłynęła. Jedyne, co zostało, to ta myśl, która jest coraz mroczniejsza i mroczniejsza.

Wślizguję się do furgonetki Deana i Dean odjeżdża. Prowadząc, w pewnym momencie wyciąga rękę i kładzie mi ją między udami. To oczywiście, że cała krew musiała odpłynąć mu z głowy, skoro nie widzi tego, jak na niego patrzę, że nie reaguję na jego dotyk, jakby w ogóle mnie nie dotykał. Wypełnia mnie pustka, pochłaniająca myśli i odpędzająca wszelką próbującą dojść do głosu logiczną myśl. Moja matka nie żyje, a siedzący obok mnie facet doprowadził do tego, że zerwałam z nią kontakt. Mogłam wrócić do domu. Wróciłabym, gdybym wiedziała. Wściekłość gotuje się we mnie. Wyrywkowe myśli przelatują mi przez głowę, wirują, niczym czarownica pochwycona w oko cyklonu. Myśli pojawiają się i natychmiast znikają. Konsekwencje nie mają znaczenia; nic teraz nie ma znaczenia. Straciłam wszystko. Moja dusza zwinęła się we mnie w kłębek i umarła.

Dean zjeżdża z ulicy na ciemny parking. Na samym jego końcu jest stary plac zabaw, przez większość czasu pusty; wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Nocne powietrze jest lepkie, praktycznie klei się do mnie, kiedy idę do naszego miejsca, a Dean za mną. To tutaj pierwszy raz mnie pocałował, zanim pocałunki zamieniły się w coś więcej. Jest tam betonowy murek zasłaniający widok

z parkingu. Jesteśmy sami, otoczeni wysokimi ciemnymi drzewami i atramentowym mrokiem.

Przykucamy za murkiem, Dean przyciąga mnie, wciska mi rękę pod bluzkę i mocno ściska za biust. Jest zachłanny, a ja nie chcę, żeby mnie dotykał, ale nie mogę dosięgnąć do tego, na czym mi zależy — jeszcze nie teraz. Moje serce wali coraz mocniej. Walczę o zachowanie przytomności, mój umysł jednak się zamyka, poddaje się terrorowi wspomnień wypalonych w moich komórkach mózgowych. Wspomnienia podnoszą się jak zwłoki i domagają uwagi, ale nie ulegam im.

To Dean zrobił ze mnie taką, jaką jestem, kim jestem. Z całych sił staram się panować nad reakcjami, nad umysłem. Tym razem to ja go tu zaciągnęłam, a nie odwrotnie. Dopilnuję, żeby nigdy mnie nie zapomniał, tak jak ja nigdy nie zapomnę jego, tyle że tym razem to nie będzie uwodzenie. Wpatruję się tępo przed siebie, a Dean przyciska mnie do murku. Beton zadrapuje mi łokcie. Ręce Deana są wszędzie — na mojej talii, pod bluzką, na szyi. Opuszki palców suną po bliźnie pod szyją, przywołują gwałtownie do życia tamtą scenę. Przetacza się przeze mnie fala starych emocji. Jestem dziwnie spokojna i nie odzywam się, ale Dean nie zwraca na to uwagi. Mówi do mnie jakieś odrażające rzeczy. Ciężko dysząc, mocno przyciska mnie do muru i wwierca się we mnie biodrami i swoją erekcją.

— Wiem, jak bardzo chcesz mojego fiuta, Sid, i zamierzam ci go dać — raz za razem — aż zaczniesz błagać, żebym przestał. Lubisz tak; wiem, że tak lubisz. Powiedz to, maleńka. Powiedz, jak bardzo chcesz go possać.

Dean jest taki silny. Już teraz ledwie mogę się ruszać, a kiedy ściągnie spodnie, zrobi wszystko, o czym mówi, i jeszcze więcej. Nie mogę dłużej czekać. Wciskam pierś w jego dłonie, sięgam w dół i wsuwam rękę do kieszeni jego spodni. Dean wydaje pomruk zaskoczenia, jakby nie myślał, że złapię go w ten sposób. Dotknęłam jego genitaliów przez przypadek, ale to maskuje to, co naprawdę chcę zrobić — dotrzeć do noża. Moje palce zamykają się na rękojeści, wyciągam nóż z kieszeni.

Odsuwam się i rozkładam ostrze.

— Pamiętasz to? — Macham ostrzem blisko jego twarzy.

Dean szeroko otwiera oczy, chce się odsunąć i wpada na mur. Nie ma drogi ucieczki.

— Taa, chcesz, żebym go użył?

Śmieję się, ale w tym śmiechu nie ma radości.

— Cały czas pamiętam, jak go użyłeś wobec mnie, te wszystkie rzeczy, które robiłeś. Mam po tobie tyle blizn, że tracę od tego głowę. Nikt mnie przed tobą nie uratował. A ty jesteś tutaj w dzień śmierci mojej matki, mówisz mi, że to moja wina, że zostałam zgwałcona, i że to moja wina, że matka mi nie uwierzyła. Ale zaraz... ona mi uwierzyła — a ty o tym wiedziałeś. I to jest zabawne. Śmieszne, że aż strach, tragicznie ironiczne. — Mówiąc, coraz głębiej i głębiej wciskam czubek

ostrza w jego gardło. Ostatnia nić, która trzymała mnie w ryzach, puściła i powiewa na wietrze. Nikt mnie nie uratuje. Jest jak ostatnio, a ten facet już nigdy nie będzie czaił się na mnie w mrokach.

Dean wyklina na mnie, grozi mi najróżniejszymi rzeczami, ale nie może się poruszyć, bo inaczej nóż rozetnie mu gardło. Przekręcam czubek i patrzę, jak po szyi spływa kropla krwi. Moje oczy przeskakują do jego oczu. Czuję napięcie w ramieniu, potrzebę upuszczenia narosłych we mnie energii i strachu.

To wtedy słyszę głos. Zbliża się przez ciemność. Z początku myślę, że mam halucynacje, potem naprawdę widzę Petera. Ciemna grzywka zasłania mu oczy, twarz ma spuszczoną. Kopie kamień i mówi:

— Chociaż uważam, że powinnaś mu to gardło poderznąć, to znam cię. Wiem, co się stanie, jeśli to zrobisz, kiedy będzie po wszystkim. — Peter podchodzi bliżej.

Nie mogę się poruszyć. Mocniej zaciskam palce na rękojeści noża, myśląc, że Peter będzie próbował mi go odebrać. Nie zastanawiam się, dlaczego tu jest ani jak mnie znalazł. Widzę błyski srebra i myślę, że ostrze celuje we mnie. Zachowuję się, jakby to mnie zaatakowano, i nie mogę się zatrzymać. Nie chcę.

— Użył go przeciwko mnie. To ten sam nóż. Pokaleczył mnie w środku i na zewnątrz.

— Wiem, że to zrobił. — Peter jest obok mnie, ale nie sięga do mojej ręki. Przygląda mi się spod tych czarnych rzęs. — No to, na co czekasz?

— Co ty, kurwa, gadasz, człowieku? — wrzeszczy Dean z przerażeniem. Znowu przekręcam ostrze, a Dean tężeje, próbując jeszcze bardziej przycisnąć się do muru. Patrzę, jak rana się pogłębia, ale wcale przez to nie czuję się lepiej.

— Kiedy to się skończy — pyta Peter — co zrobisz? Kiedy już cały się wykrwawi, kiedy umrze na twoich oczach, co zrobisz?

Głowę wypełnia mi odgłos mojego oddechu. Czuję się tak, jakbym miała nad sobą kontrolę, ale tak nie jest. Nie mogę myśleć; nie mogę mrugnąć. Nie znam odpowiedzi na pytanie Petera, ale nie mogę opuścić ręki. Jestem sparaliżowana, wpatruję się w człowieka, który zniszczył mi życie.

— Wiem, jak nazywa się facet, który zabił Ginę. Wiem, gdzie mieszka, i wiem dokładnie, co bym mu zrobił. Patrzenie, jak życie uchodzi z jego oczu, przyniosłoby mi ogromną radość.

— To dlaczego czegoś z tym nie zrobisz?

— Bo już zrobiłem. Kiedyś byłem w tym samym miejscu, w którym ty jesteś teraz, ale się nie zatrzymałem. Muszę ci powiedzieć, że zrobienie tego zatrzaśnie cię w pułapce przeszłości do końca życia. Ten człowiek zniszczy cię w każdy możliwy sposób i będziesz o tym pamiętała każdego dnia. Będzie cię dręczył nawet po śmierci. Jeśli wbijesz mu ten nóż w gardło i zakończysz jego żalony żywot, wygra. Będziesz jego własnością do końca swoich dni. Tego chcesz?

Jego słowa uderzają we mnie mocno. Gdzieś głęboko czuję wzbierającą falę emocji, próbujących wyrwać się z klatki, w której je upchnęłam.

— Muszę to zakończyć. Nie mogę pozwolić, żeby on... — Na szyi czuję oddech Petera. Jego dłoń jest obok, wolno ześlizguje się po moim ramieniu.

— W takim razie pozwól, żebym ja to zrobił. Pozwól, żebym ja się tym zajął za ciebie. Już nigdy więcej go nie zobaczysz. Obiecuję. Oddaj mi nóż. — Peter, mówiąc to, przesuwa rękę na moją dłoń. Lekko za nią pociąga i nóż oddala się od szyi Deana. Dean ostro wciąga powietrze.

Peter trzyma mnie w objęciach i całuje po twarzy, ale nóż trzyma w pogotowiu. Klatka w moim wnętrzu rozpęka się i emocje uderzają we mnie gwałtownie, tak silnie, że cała się trzęsę.

— Przepraszam, Peter.

Dean dławi się i przykłada palce do szyi. Kiedy je odejmuje, są pokryte krwią. Zaczyna wrzeszczeć.

— Ty pierdolnięta dziwko, zapłacisz mi...

Szczęka Petera tężeje. Jego pięść wylatuje w powietrze i trafia Deana tak mocno, że ten składa się w pół i dyszy z braku tchu. Peter puszcza mnie i zadaje ponowny cios, tym razem w żołądek Deana. Potem wali go w plecy. Ciosy są coraz silniejsze, aż w końcu Dean łąduje na kolanach, a jego koszula jest cała we krwi.

— Wystarczy — mówi jakiś głos i pojawia się Sean. Rękę trzyma w kieszeni. Jego spojrzenie przesuwa się na mnie, kiwa do mnie, jakby na znak aprobaty czy czegoś podobnego.

Peterowi brakuje tchu. Wyciera pot z czoła i mówi:

— Powiedz mu, czego ma się spodziewać, jeśli znowu zadrze z Sidney. Dopilnuj, żeby w pełni zrozumiał, co mam na myśli. — Napięcie Petera jest fizycznie wyczuwalne. Każdy mięsień ma tak naciągnięty, że wydaje się, iż za chwile wszystkie popękają.

Wszystko dzieje się tak szybko. Jestem oszołomiona, jedyne, co mogę, to mrugać oczami. Kiedy stałam się taka? Co popchnęło mnie aż tak daleko, że chcę kogoś skrzywdzić? Część mnie jest zdegustowana, ale ta druga jest tak poraniona, że mam nadzieję, iż Sean wystraszy Deana na śmierć. Chcę, żeby ten facet cierpiał za wszystko, co mi zrobił — co mi odebrał. Ten sukinsyn ukradł mi życie, byłam bliska, żeby je kompletnie zaprzepaścić. Gdyby Peter nie pojawił się...

Przebiega mnie dreszcz i rzeczywistość dogania mój umysł. Moją skórę pokrywa cienka warstwa potu. Twarz mam tak cholernie rozpaloną, ale ręce są lodowate. Zanim zdążę pomyśleć, jakaś siła zmusza mnie, żebym zgięła się w pół i moje ciało próbuje wyrzucić na zewnątrz zawartość żołądka, ale tam nic nie ma, więc wymiotuję na sucho. Peter gładzi mnie po plecach i przemawia do mnie ciepło. Jego słowa wpadają mi w uszy, ale go nie rozumiem. Byłam bliska zabicia Deana. Ta myśl uderza mnie mocno i nie mogę przestać się trząść.

— Zajmę się tym. Znikajcie stąd. — Sean łapie Deana za szyję i ciągnie go do zagajnika. Przelewa się przeze mnie panika. Nie mogę być za to odpowiedzialna. Ludzie stają się źli właśnie przez takie decyzje. Nie mogę na to pozwolić, nieważne, jak daleko odleciałam.

— Zaczekaj — wyduszam, ale Sean się nie zatrzymuje. Peter odciąga mnie i muszę zwalczyć przymus obejrzenia się. — Nie możecie go zabić. Nie możecie!

— On nie zabije tego dupka. Ja bym to zrobił, gdybym przyszedł sam. To dlatego Sean upierał się, że chce tu dzisiaj być. Zna mnie lepiej, niż chciałbym to przyznać. Sean tylko przypomni temu zdrańcowi, że złe uczynki nie uchodzą ludziom bezkarnie. Sean jest trochę bardziej emocjonalnie zdystansowany ode mnie. Ja bym go zabił, nie mając takiego zamiaru. — Patrzy na swoje dłonie, jakby to było coś, co o sobie wie, jakby rzeczywiście kogoś zabił.

W moim gardle kotłuje się zduszony szloch, przechodzi mnie dreszcz. Potrząsam głową i otaczam się ramionami w pasie. Peter odprowadza mnie do czarnego sportowego auta. To samochód Seana, motocykl stojący obok też jest jego. Wślizguję się do środka auta i z powodu duszącego strachu milknę.

## Rozdział 26.

Następnego dnia Peter stoi obok, gdy kładę róże na trumnie mojej matki. Zostajemy do momentu, aż wszyscy wychodzą. Sam siedzi po jednej stronie mnie, ojciec po drugiej. Tata patrzy ślepo przed siebie. Nie płakał od pranka, gdy mama zmarła. Uśmiecha się, kiedy mnie widzi, i mówi, że wyglądam jak ona. Jego słowa mnie prześladowają. Ilekroć patrzę w lustro podczas czesania się lub gdy sprawdzam, czy nie rozmazał mi się makijaż od płaczu, widzę twarz matki. Jej fotografie są w całym domu. Ta, na której jest w moim wieku, porusza mnie najbardziej. Nie mam pojęcia, jak wyglądało jej życie. Z dziecka zamieniłam się w osobę dorosłą i nigdy tak naprawdę nie dowiedziałam się, kim była.

Myślę o mamie często i żałuję, że nie miałam więcej odwagi i nie wróciłam do domu wcześniej, ale patrzeć za siebie nie pomaga mi w ruszeniu naprzód. Peter ciągle mi to powtarza. Opłakiwanie zmarłych jest potrzebne. Żałoba jest niezbędna, ale w pewnym momencie łzy zamieniają się w uśmiechy, a wspomnienia nie są już przesiąknięte bólem. Mam nadzieję, że ten dzień nadejdzie wkrótce, na razie jednak jeszcze nie nadszedł.

Wracamy do domu samochodem Seana. Peter pożyczył go od niego do czasu naszego powrotu do Teksasu. Wiercę się na swoim siedzeniu. Kiedy zaczynam mówić, nie patrzę na Petera:

— Nie przeraża cię to, że pękłam?

Nie rozmawialiśmy o tym, co zrobiłam Deanowi, ale przez cały czas o tym myślę. Peter spogląda na mnie. Czuję jego spojrzenie na boku twarzy.

— Nie, wiele przeszłaś, Sidney. A jego gówniana ocena sytuacji zrobiła z niego chodzący cel.

— To, co mówiłeś do mnie wczoraj... skąd wiedziałeś, co się dzieje w mojej głowie?

Peter nie odpowiada od razu. Mocniej zaciska ręce na kierownicy i skupia się na drodze. Jazda z cmentarza jest długa, jedziemy okrężną drogą, żebyśmy mogli porozmawiać.

— Wiem, bo byłem w takiej samej sytuacji. Tamtego dnia, gdy Gina została zabita, rzuciłem się na jednego z tych gości i dźgnąłem go jego własnym nożem. Nie mogłem się powstrzymać. Nie myślałem. To było automatyczne. Ale ciągle o tym pamiętam. Nadal czuję ten nóż i to, jak wbija się w ciało. To oślepiające i przeważa nad każdą dobrą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem. Dla Giny przestałem się bić. Zmieniłem się, jednak w głębi duszy wciąż byłem taki sam. Zabiłbym znowu, gdybym mógł ją odzyskać, sprowadzić do życia.

— To dlatego Sean cię odesłał. Wiedział, że pęknę, jeśli będę zbyt mocno naciskany, bo już raz pękłem. Nie wiedziałem, co się stało. Po twoim wyjeździe spytałem Seana, ale on sprzedał mi jakąś bajeczkę, a ja ją kupiłem. Powiedział, że



potrzebujesz przez jakiś czas побыć sama. Nie chciałem w to uwierzyć, ale uwierzyłem. Potem zaczął opowiadać te głupoty, że zażądałaś od niego pieniędzy — nawet pokazał mi twoje konto, z tą całą przelaną kasą. Zagrał nieuczciwie. Ktoś wcześniej już mi coś takiego zrobił, dlatego wiedział, że mnie zniechęci. Sean mnie rozegrał. Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem. I przepraszam, że przyjechanie tu zajęło mi tak długo. — Na chwilę milknie, potem znowu mówi z przejęciem: Śledziłem cię wczoraj, gdy pojechałaś do sklepu i potem do parku. Nie rozumiałem, dlaczego pojechałaś z Deanem po tym, jak walczyłaś z nim jak lwica, kiedy ostatnim razem czegoś próbował. Dlatego pojechałem za tobą, a Sean najwyraźniej śledził mnie, chciał mieć pewność, że nie zabiję tego drania. Więc odpowiadając na twoje pytanie: wiedziałem, jak byś się czuła, gdybyś go nadziała na ten nóż, ponieważ sam coś takiego zrobiłem. Nie chciałem, żebyś się tak czuła, nigdy. Chcę, żeby ten duch odszedł, ale najlepsze, co mogę zrobić, to przepędzić go na krótko. Kocham cię, Sidney. I żałuję, że nie mogę bardziej ci pomóc. Chciałbym móc sprawić, żeby to wszystko zniknęło.

Nie wiem, co mam powiedzieć.

— Ty kogoś zabiłeś?

Peter kiwa głową i przez twarz przemyka mu wyraz żalu.

— To była obrona własna, oni na nas napadli, ale morderstwo to morderstwo. Facet wykrwawił się i zmarł w drodze do szpitala. Zmarł przeze mnie. Nieważne, co zrobię, to zawsze ze mną pozostanie. Stąd wiedziałem, o czym myślałaś wczoraj, bo myślałem to samo.

— Nie wzięłam pieniędzy od Seana. Tak naprawdę to powiedziałam mu...

Peter uśmiecha się do mnie.

— Wiem. Powiedział mi, gdy tu jechaliśmy — że wsadzisz mi tę kasę do tyłka. Sean jest palantem pod pewnymi względami. Jeśli poprawi ci to humor, to złoję mu za to później skórę. — Peter żartuje, no, może nie tak zupełnie.

— Przynajmniej ktoś się o ciebie troszczy i cię pilnuje.

— Taa, chyba tak. — Peter skręca w moją ulicę i zatrzymuje się przed domem rodziców. Świeci się w nim, wiem, że jest zapakowany ludźmi i jedzeniem.

— Musimy wchodzić od razu?

Peter kręci głową i wyłącza silnik.

— Nie, nie musimy. Przejdźmy się dokoła osiedla. Chodź. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Obchodzi samochód i wyciąga mnie z niego. Ruszamy i wtedy brzęczy jego telefon. Ktoś ciągle pisze do niego jakieś wiadomości.

— Kto to?

— Jonathan. — Peter trzyma mnie za rękę i patrzy przed siebie, gdy to mówi.

— Naprawdę? Czego chce?

— Cóż, żebym przyjechał do niego do Islip i zobaczył, dlaczego mama chce go zabić. Chce też, żebym został. Ten wścibski dzieciak wyniuchał, że nie jestem obecnie nigdzie zatrudniony, i składa mi jakieś zagadkowe oferty pracy.

— Naprawdę? — Peter kiwa głową i lekko się uśmiecha. — Co mu odpowiedziałeś?

Odkopuje jakiś kamyk.

— Odpowiedziałem, że nie jestem zainteresowany. Chcę, żebyś spędziła z rodziną tyle czasu, ile potrzebujesz. Jon może zawsze znaleźć sobie kogoś innego do naprawienia swojej ostatniej i największej wpadki.

— Peter... — Zatrzymuję się i patrzę na niego. — Nie możesz tak mówić. Nie masz pracy ani pieniędzy.

Wzrusza ramionami.

— Mam tyle, że na razie mi wystarczy. Poza tym przecież cię teraz nie zostawię... jesteś moja, ciałem, umysłem i duszą.

Martwię się o niego i to widać na mojej twarzy. Może jest jak jego młodszy brat, chodzi z głową w chmurach. Ludzie potrzebują pieniędzy, żeby żyć, a Peter zdaje się nie spieszyć z załatwieniem sobie nowej pracy. Po tym, w jaki sposób odszedł z uczelni, nie jestem nawet pewna, czy w ogóle zatrudnią go gdziekolwiek indziej. Wyobrażam go sobie wypełniającego kwestionariusz zgłoszeniowy.

POWÓD ZAKOŃCZENIA OSTATNIEJ PRACY: *Przespałem się ze swoją studentką.*

Formalnie nie byłam jego studentką, kiedy się ze mną przespał — chyba że chodzi o dosłowność i ktoś policzyłby spanie w jednym łóżku — ale perspektywy są równie ponure. Plotki o nas krążyły na długo, zanim cokolwiek się wydarzyło. Prycham na te wspomnienia. Nie miałam pojęcia, że tak mu się podobałam.

Peter ściska moją dłoń.

— O czym tak rozmyślasz w tej swojej pięknej główce?

— O tym, jak się poznaliśmy. Zupełnie nie przypuszczałam, że sprawy tak się potoczą. Ale cieszę się, że się tak potoczyły. Nie zamieniłabym tych minionych miesięcy na nic.

Peter unosi moją dłoń do ust i uśmiecha się do mnie.

— Tak samo ja. I tak się cieszę, że dałaś mi w końcu trochę tej *kawy*, bo byłem strasznie spragniony i nawet o tym nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia. — Uśmiecha się. — To co teraz? Wracamy do Teksasu czy zostajemy ludziskami z Jersey? — Odwraca się i wznawiamy spacer, a potem skręcamy za róg. Znowu jesteśmy na ulicy prowadzącej do mojego domu. Widzę już nawet światło na werandzie i sznurek zaparkowanych przy chodniku samochodów wyglądający jak sznureczek mrówek legionistek.

— Ludziskami z Jersey? Kto tak mówi? Pochodzisz z Long Island — i nie myśl sobie, że nie zauważyłam tego całego „Jestem z Connecticut”, ty kłamco, bo

zauważyłam. Powinieneś mieć ten wyniosły akcent, Panie Nowojorczyku, razem z tą wrodzoną pogardą dla wszystkiego, co wspaniałe, a co pochodzi z Jersey jak ja.

— Nie kłamałem. Do Teksasu dotarłem przez Connecticut.

— Bez różnicy, łgarzu.

— Niezupełnie, kawiarko. — Peter zatrzymuje mnie i zagląda mi w oczy z seksownym uśmiechem na twarzy. — I zauważyłem, że unikasz mojego pytania, co każe mi myśleć, że jeszcze się nie zdecydowałaś.

— Naprawdę nie wiem, co mam robić. — Zakładam kosmyk włosów za ucho i biorę głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić. Emocjonalnie czuję się mniej więcej tak silna, jak zmoczona papierowa chusteczka do nosa. — Zmarnowałam tyle czasu. Wciąż mam jeszcze jednego rodzica i tę brzydką przyrodną siostrę. Coś mi mówi, że tym razem nie powinnam uciekać. Może uda mi się ponaprawiać różne rzeczy albo zacznę od nowa.

— Chwila, chwila. Brzydka przyrodnia siostra? Pan Indyk czy Sam? Bo moim zdaniem ten tytuł pasuje do każdego z nich.

— Przestań mówić nieładnie o Panu Indyku. — Oczywiście, że miałam na myśli Sama. To straszny palant, ale mimo wszystko to moja krew. Nie chcę go znowu spisywać na straty, nie bez wcześniejszej próby połatania naszych relacji. — Zerkam na dom, potem z powrotem na Petera. — No to, kiedy się dowiedziałeś, jak ma na imię?

— Sam? Właśnie je wymieniałaś i domyśliłem się. Kopciuszek, brzydka przyrodnia siostra, zazdrosny brat. Załapałem. — Peter puka się palcem w skroń. — Zapominasz, jaki jestem mądry.

Śmieję się i klepię go w ramię.

— Nie to! Ptak. Skąd wiedziałeś, że go nazwałam?

— Och. — Peter bierze moją rękę i znowu rusza. — Słyszałem, jak do niego mówiłaś. To było wtedy, gdy twoja ciotka wyszła i poprosiła, żebyś pojechała do sklepu. Chciałem do ciebie podbiec i wziąć cię w ramiona, ale usłyszałem, co się stało, i połączyłem części układanki. To, że się zjawiłem zbyt późno, było kiepskim posunięciem z mojej strony, nie byłem pewny, czy będziesz chciała mnie widzieć. Kiedy oddałaś swoją kolację sępowi, nazwałaś go „Panem Indykiem”. Spodobało mi się. Powinniśmy mu sprawić jakąś muszkę albo coś takiego.

— Już nigdy więcej nie słuchaj Seana, ale tak nigdy, dobrze?

— To najwspanialszy pomysł, jaki kiedykolwiek usłyszałem. Popieram go całym sercem.

## Rozdział 27.

Stukając szybko kciukami w ekran, odpowiadam na SMS od Millie i odkładam telefon na stół. Minęło kilka dni, ale ja jeszcze nie wybrałam się w drogę powrotną. Millie wszystko policzyła i jest świadoma, że mam mało czasu. Piszę jej, żeby się nie martwiła, i odkładam telefon. Po prostu nie chciałam jeszcze zostawiać taty. Jest zadowolony, że ma mnie przy sobie. Uśmiecha się tylko wtedy, gdy wchodzi do pokoju i widzi mnie. Na jego twarzy zawsze wtedy pojawia się zaskoczenie, jakby zapominał, że wróciłam.

Peter zerka na mnie. Tata pozwolił mu spać na kanapie, co bardzo pomaga. Jeśli nie mogę zasnąć, schodzę na dół i siedzę z Peterem na sofie. Peter mnie obejmuje i oglądamy telewizję aż do świtu. Co jakiś czas udaje mi się przysnąć na kilka godzin. Ciągle sobie przypominam, że czas uleczy rany w moim sercu, że ból kiedyś w końcu odpuści i będę znowu szczęśliwa.

Peter trąca swoje naleśniki. Ciotka Beth nadal dla nas gotuje. Z początku myślałam, że jest tu ze względu na tatę, ale myślę, że została ze względu na mnie. Mama i ciotka się przyjaźniły, a ja widzę, że ciotka czuje się lepiej, kiedy jest w kuchni i gotuje. Zapowiada się, że strasznie utyję... ale nie tak jak Pan Indyk, ten skończy z chorobliwą otyłością. To ptaszysko zjada wszystko, czego nie mogę zjeść, a najbardziej lubi bekon. Myślę o tym, żeby wziąć kawałek takiego bekonu i rzucić go z dachu, żeby rozbryzgał się na werandzie. Sęp będzie miał jak za dawnych czasów, tylko bez ciężarówek.

— Przestań zbierać boczek dla tego potwora. — Peter sięga przez stół i wykrada mi plasterk.

Wyrywam mu go, zanim zdąży donieść do ust, i Peter gryzie powietrze. Śmieję się i rzucam boczek przez tylne drzwi Panu Indykowi.

— Załatw sobie własny.

— Nie wierzę, że to zrobiłaś — mówi Peter, mrugając z zaskoczenia. Jego ciemne włosy są potargane, na pięknej twarzy ma dwudniowy zarost, jest uradowany. Ciemny T-shirt ściśle opina jego klatkę piersiową, sprawia, że jego oczy wydają się bardziej niebieskie, niż to możliwe. Bez ostrzeżenia nachyla się do mnie i zaczyna łaskotać.

Próbując przed nim uciec, prawie podrywam się z krzesła, ale ratuje mnie ciotka Beth. Wali Petera po ręce szpatułką kuchenną.

— Żadnych takich przy stole, młody człowieku.

Śmieję się, bo Peter ma tytuł doktora, a ciotka ruga go jak dziecko. To nieziemsko zabawne, a Peter nie ma pojęcia, jak się ma zachować. W końcu tłumy uśmiech i mówi:

— Przepraszam, madame. Więcej się nie powtórzy.

— Madame? — Ciotka gromi go wzrokiem. — Twoim zdaniem jestem aż

taka stara?

Celuję palcem w Petera i zanoszę się śmiechem.

— No dalej, doktorze Granz, podlizuj się i przepaszaj.

Peter jest skołowany. Ten zwrot w Teksasie wyraża szacunek, ale tutaj kobiety reagują na niego, jakby oznaczał, że są stare i zniedołężniałe. Dalej nabijam się z Petera i też zarabiam pacnięcie szpatułką.

Ciotka Beth patrzy na mnie i kręci głową.

— Maniery przy stole, Sidney. I przestań dokarmiać to coś. Nigdy stąd nie odejdziesz, jeśli codziennie będziesz dawała mu bekon.

— Ja nigdy nie odejdę, jeśli codziennie będzie mi pani serwowała bekon — rzuca Peter.

Powiedział właściwą rzecz, bo ciotka promienieje.

— Och, daj spokój. — Potem bierze jego talerz i dodaje: — Daj, dołożę ci jeszcze trochę.

Peter wygina brwi i składa ręce na piersi. Odchyła się z krzesłem w tył, tak że krzesło stoi tylko na dwóch nogach, i posyła mi najbardziej arogancki uśmiezek, jaki kiedykolwiek widziałam. — Ona lubi mnie bardziej niż indyka.

— Wszyscy lubią cię bardziej niż indyka.

— A ty?

— W tej chwili czy generalnie? — Nie patrzę na niego. Odgryzam kęs muffinki lub planuję to zrobić, ale Peter wytrąca mi ją z rąk i babeczka ląduje na moim talerzu.

Odwracam się powoli i widzę, że Peter sprawia wrażenie wielce z siebie zadowolonego.

— Jesteś walnięty.

— Ale to lubisz.

Szczęka opada mi w uśmiechu zaskoczenia, szturcham go w ramię. Krzesło usuwa się spod niego i Peter zwała się na podłogę. Ciotka Beth wybiera ten moment i pojawia się w drzwiach.

— Dostyc tego. Jeśli wy dwoje chcecie się zachowywać jak dzieci, to wyjdźcie przed dom. — Kładzie boczek na talerzu Petera, podnosi talerz i wtyka go Peterowi w ręce, potem popędza nas: — No już. Zabierajcie swoje rzeczy i idźcie zjeść na dworze. Wynocha!

Starając się powstrzymać śmiech, przygryzając język, zabieram swój talerz i wychodzę. Peter idzie za mną z zaszokowaną miną. Kiedy jesteśmy przy huśtawce, siada obok mnie i mówi:

— Ona nas wyrzuciła.

Wybucham głośnym śmiechem i znowu szturcham go w ramię.

— Jesteś takim dupkiem.

— Sidney, zacznij myśleć o czymś innym poza moim tyłkiem. Myślę, że

wkurzyliśmy twoją ciotkę. Wywalila nas na podwórko razem z ptakiem. — Pan Indyk wybiera ten moment i podkrada się do nas, szukając jedzenia. Rzucam mu boczek Petera. — Och, nie zrobiłaś tego.

— A właśnie, że tak. I co mi za to zrobisz, Profesorku? — Przechylam głowę na bok i krzyżuję ręce na piersiach.

Peter śmieje się i rzuca się na mnie. Mój talerz wlatuje w powietrze, połowa jego zawartości ląduje na mnie, reszta spada na ziemię pod huśtawkę.

— Jesteś dupek!

— Już mówiłaś. — Peter pcha mnie do tyłu, żebym się położyła na plecach, potem nachyla się do mnie. Nie zablokował mi rąk, więc nie zaczynam svirować. Poza tym z mojego czoła skapuje żółtko jaja, jakby w głowę postrzelił mnie kurczak. Peter zanurza palce w żółtej mazi i rozmazuje mi ją na policzkach, rysuje z niej serce.

Piszczę, wierzgam nogami i się śmieję. Udaje mi się go z siebie zepchnąć i Peter spada z huśtawki. Przekręcam się i ląduje na nim. Sięgam do jedzenia, które spadło, chwytam garść jajeczniczy i próbuję wepchnąć mu ją do ust — z trawą i wszystkim innym.

— Jedz, Ferro. No już, otwieraj szeroko buzię.

Jego twarz przecina straszliwie zdradziecki uśmiezek, więc nieruchomieję.

— Sidney, błagam, to jeszcze nie jest pora na kawę. — Zaczyna się śmiać tak bardzo, że cały się trzęsie, ze mną na wierzchu.

— Powtórz to. No dawaj.

— Mów do mnie sprośne rzeczy... — Peter nie kończy zdania, bo wciskam mu jajecznicę do ust. Szczerzy się do mnie. Zamiast wypluć brudne resztki, przełyka je i mówi: — Trochę zwirowate.

— Hej! — woła tata z tylnej werandy. — Złaż z niego. Nie zmuszaj mnie, żebym poszedł po szlauch, Sid!

Trochę się czerwienię i ześlizguję z Petera, potem siadam obok niego. Peter nie może przestać się szczerzyć. Ogląda się na mojego tatę i macha do niego. Ojciec potrząsa głową.

— Wolałbyś nie być na mojej liście, chłopcze. Kończy się na łopacie i długiej jeździe samochodem, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zmajstruj jej coś, a zniszczę ci życie, dzieciaku. — Tata wchodzi do domu, nie czekając na odpowiedź.

Peter i ja patrzymy na siebie i oboje zaczynamy się śmiać jak wariaci. Po kilku minutach Peter kładzie się na trawie i mówi:

— Nie zmajstrowałem ci nic, prawda? Tak dla porządku, bo muszę wiedzieć takie rzeczy, żebym mógł kupić dla ciebie i dziecka dom, a potem szybko uciec, kiedy twój ojciec się dowie.

— Nie jestem w ciąży, Peter. Biorę pigułki antykoncepcyjne. Zaczęłam, kiedy stało się to wszystko z tym palantem. — Przyciągam kolana do piersi i

otaczam nogi ramionami. — To jak, chcesz mieć dzieci, mały domek i drewniany płotek przed nim?

— Możliwe. — Uśmiecha się tak szeroko, że wiem, że się ze mną droczy i że myśli: *tam do diabła, jasne, że chcę.*

— A ty?

— Możliwe. Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, kto mi to dziecko zmajstruje i kupi dom, wiesz. Takie tam drobnostki.

— Ja. — Głos Petera brzmi śmiertelnie poważnie. — Co byś powiedziała, gdybym to ja tulił cię w nocy? Gdybym to ja był ojcem twoich dzieci? I rodzicem zastępczym twojego sępa? Co byś o tym sądziła?

Pukam się palcem w usta, jakbym rozważała ten pomysł.

— Czy taniec wchodziłby w grę?

Kiwa głową.

— Zawsze. A bekon?

Śmieję się.

— Oczywiście. Co to za „amerykański sen” bez bekonu?

— Musiałabyś obiecać, że kochałabyś mnie pomimo otyłości, bo kuchnia twojej ciotki i takie ilości bekonu na pewno doprowadziłyby do tego, że zrobiłbym się gruby jak beczka. — Peter wsuwa ręce pod głowę. Nie jest ani trochę otyły, a je tyle samo co sęp.

— Tylko wtedy, jeśli ty obiecasz, że będziesz mnie kochał zawsze i zapewnisz mi zapas kawy na całe życie. Okazuje się, że naprawdę lubię kawę. — Mrugam do niego i już dłużej nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Rozlewa mi się na twarzy i wsiąka do środka. — Te ostatnie kilka dni były tak trudne i zarazem takie cudowne. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, ale wiem, że musisz. Tak, jak jest teraz, nie może być wiecznie.

— A kto tak twierdzi? — Peter spogląda na rozrzucone na ziemi jedzenie. Pan Indyk wrócił i dziobie kawałek kiełbaski leżącej na jajecznicy obok muffinki. Peter podsuwa się do rozrzuconego jedzenia i przegania ptaka. Podnosi muffinkę i ją otrzepuje. — Miałem cały romantyczny scenariusz, ale pozwól, że zapytam tak: — Wyjdiesz za mnie?

Myślę, że się wygłupia. Zakładam kosmyk włosów za ucho i drocę się z nim.

— Ty też lubisz kawę, przyznaj się.

Peter zbliża się do mnie na kolanach i podaje mi muffinkę.

— Kocham kawę. Kocham ciebie.

Biorę muffinkę i patrzę na nią.

— Słucham?

— Wiem, że nie wolno jeść rzeczy z ziemi, ale może zajrzysz do środka i sprawdzisz, jaka tam czeka na ciebie niespodzianka?

— O czym ty mówisz? — Śmieję się i spoglądam na niego. Co on zrobił? Zaczynam rozrywać muffinkę, aż pod palcami wyczuwam coś twardego. Po strzepnięciu okruszyn w palcach zostaje mi pierścionek z brylantem. Patrząc na niego i potem znowu na Petera. — Ty naprawdę mi się oświadczasz?

— Tak, chcę resztę życia spędzić na uszczęśliwianiu cię. Wyjdiesz za mnie, Sidney?

Moja twarz wykrzywia się w najgorszą minę, jaką mogę sobie wyobrazić. Śmiech i łzy zlewają się ze sobą i beczą jak owca. Peter uśmiecha się niepewnie, czekając na odpowiedź, ale ja nie mogę mówić. Zarzucam mu ręce na szyję, praktycznie go przewracam, i kiwam gwałtownie głową.

— Tak, tak!

Peter podnosi mnie i okręca dokoła. Oboje piszczymy i śmiejemy się, aż w końcu Peter odstawia mnie na ziemię. Potem krzyczy w stronę drzwi: — Zgodziła się! Możecie już teraz wyjść!

Zaskoczona zerkam na niego, a potem na drzwi. W naszą stronę biegnie moja ciotka z płaczliwym uśmiechem na twarzy, w jej dłoni wciąż tkwi szpatułka. Ciotka ściska nas oboje i niezrozumiale coś wykrzykuje.

Odsuwamy się od niej i widzimy ojca. Stoi obok i patrzy na nas poważnie.

— Nie żartowałem wcześniej. Masz się nią opiekować.

— Będę, proszę pana. — Peter wymienia z ojcem uścisk dłoni, potem odwraca się do mnie i przytula mnie do siebie tak mocno, że prawie mnie dusi.

Za ojcem i ciotką stoi Sam. Jest dzisiaj nadęty, bo Dean niespodziewanie postanowił się przeprowadzić. Gość się spakował i zwiął. Kiedy Sam mi o tym powiedział, ucieszyłam się tak, że ledwie mogłam to ukryć. Już raczej nie spotkam więcej Deana. Po tym jak Sean i Peter się z nim rozprawili, Dean zwiął z podwiniętym ogonem. Nie powiedział o niczym Samowi, tylko że ma dość tego zadupia i musi znaleźć jakieś lepsze miejsce.

Sam próbuje udawać, że jest zachwycony.

— Gratulacje, Sid. Cieszę się ze względu na ciebie. — Ściska mnie krótko i potem podchodzi do Petera. — Szanuj ją, bo inaczej będę musiał skopać ci dupsko.

Oglądam się, żeby zobaczyć reakcję Petera, mam nadzieję, że nie znokautuje Sama. Sam zawsze palnie jakąś głupotę i ta chwila nie jest wyjątkiem. Peter jednak uśmiecha się do mojego brata i przyciąga go w niedźwiedzi uścisk, zupełnie taki sam, jaki zafundował mi przed momentem mój ojciec.

— Ależ jasne, dzieciaku. Poza tym zawsze chciałem mieć takiego zadziornego młodszego brata jak ty! — Sam odsuwa się, na twarzy ma zabawną minę, reszta z nas się śmieje. Sam w końcu też się uśmiecha i wyciąga rękę do Petera. Chłopaki wymieniają uścisk, potem nachylają się do siebie i mówią coś, czego nie słyszę.

— Wiedziałem, że chodzi jej o twoje pieniądze, Pete. Z jakiego innego



powodu zgodziłaby się przyjąć twoje oświadczyzny? — Odwracam się szybko na pięcie. Za wszystkimi stoi Sean z zadowoloną miną. Jest ubrany w skórzaną kurtkę i buty na motocykl; z kaskiem utkniętym pod pachą wygląda bardziej niż przerażająco. Jestem przekonana, że mój ojciec cieszy się, że wybrałam Petera, a nie Seana.

— Dupku! — woła radośnie Peter. — Przyjechałeś! — Peter chwyta brata w objęcia. Klepią się po plecach, potem po twarzach, tak jak to mają w zwyczaju robić już od dzieciństwa.

— Jasne, że przyjechałem. Kiedy powiedziałaś, że dajesz jej pierścionek, chciałem się upewnić, że go nie zje przez przypadek. Kto ukrywa pierścionek w ciastku? — Sean kręci głową z dezaprobatą, jakby uważał, że taki sposób oświadczenia się jest idiotyczny.

— Czy ty kiedykolwiek bywasz uprzejmy? — pytam i krzyżując ręce na piersiach, gromię go wzrokiem.

— A ty pytasz o to na serio? — Sean, próbując ukryć uśmiech, podchodzi do mnie i podaje mi małe pudełko. — Proszę.

Rozglądam się.

— Jeśli w środku jest serce Pana Indyka, to...

— Po prostu je otwórz, ty dowcipnisiu. — Sean odwraca się, ale wrogie spojrzenie, jakie otrzymuje od ojca i ciotki Beth, każe mu odwrócić się do mnie z powrotem.

Zdzieram papier i odsłaniam małe czarne pudełko. Daję słowo, że boję się je otworzyć. Zerkam na Petera.

— Wiesz, co to jest? — Kręci głową i podchodzi bliżej.

— Ludzie zwykle znajdują odpowiedź na takie pytania, zdejmując pokrywkę. — Spojrzenie Seana krzyżuje się z moim. Sean patrzy na mnie wyzywająco, co mnie totalnie zbija z tropu. Rozglądam się za indykiem, teraz już na serio przestraszona. — Och, na rany boskie. — Sean wyciąga rękę i podnosi pokrywkę. W środku małego pudełka jest poduszczonek z przyszytą do niej małą kokardką przytrzymującą na miejscu mosiężny klucz.

Rozwiązuję kokardkę i podnoszę klucz.

— Co to jest?

— Mały domek z białym drewnianym płotkiem, minus dwójka dzieci, bo tego z tobą nie zrobię. — Pogardliwy ton Seana sprawia, że Peter trzepie brata dłonią w potylicę.

Gapię się na kluczyk.

— Kupiłeś nam dom?

— Taa, pomyślałem, że będziecie zadowoleni. — Kręcę głową i chcę oddać klucz, ale Sean się odsuwa i mówi: — Nie ma żadnych zwrotów, Sidney.

Cóż, nie wiem, co powiedzieć ani o co pytać. Prezent jest stanowczo

przesadzony i zupełnie niespodziewany. Myślę o tysiącu powodach, dla których nie wolno mi go przyjąć, ale coś w postawie Seana uzmysławia mi, jakie to jest dla niego trudne i że naprawdę próbuje naprawić nasze stosunki, choć wie, że jest w tym totalnie do niczego. Cała sytuacja jest ogromnie niezręczna. Sean od pierwszego dnia zachowywał się jak palant. Nie wiem, co mam zrobić z tą nową wersją brata Petera.

Pokonuję skrępowanie i pytam:

— A gdzie jest ten dom?

— Daleko, co najmniej cztery lub pięć przecznic stąd. — Sean pokazuje kierunek i kąciki jego ust drgają, jakby chciał się rozeźmiać. — Słyszałem, że drugie szanse zdarzają się raczej rzadko, dlatego chciałem mieć pewność, że wam, ludziska, się uda.

— Kupiłeś nam dom? — mówi w końcu Peter, tak samo zaszokowany jak ja.

— Dlaczego wszyscy patrzą na mnie jak na wariata? Gdzie zamierzaliście zamieszkać? Potrzebujecie przecież domu, no nie? — Sean patrzy na ciotkę Beth, szukając u niej potwierdzenia i oczekując, że go poprze.

Brwi ciotki znajdują się prawie pod linią jej włosów. Mówiąc do Seana, używa tonu, który ma mu dać do zrozumienia, że wybrał niewłaściwy prezent, jest z nim jednak delikatna, jakby miała do czynienia z pięciolatkiem.

— Prezenty zaręczynowe to zwykle pojemniki na ciastka, kochanie. Coś małego. A dom nie jest mały.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Sean prycha, potem też się śmieje.

— W porządku, na ślub kupię im większy.

— Nie, nie. Jeden zupełnie wystarczy. — Stoję przed Seanem, patrząc mu w twarz. Przez sekundę wydaje mi się, że rozumiem, co Avery w nim widzi, kiedy na niego patrzy, ale potem kurtyna się zamyka i wszystko znika. — Myślałam, że mnie nie lubisz.

— Nigdy tego nie powiedziałem — odpowiada.

— Uch, taa, powiedziałaś. Powiedziałaś coś w stylu „brzydzę się tobą”.

Sean wzrusza ramionami, jakby to było bez znaczenia.

— No cóż, okazuje się, że się droczyłem. Masz więcej charakteru od niejednego faceta, a to jest godne podziwu.

— Ty mnie podziwiasz?

— Tego też nie powiedziałem. — Sean szczerzy się i odwraca ode mnie. Odchodząc, rzuca przez ramię: — Opiekuj się nią, Peter. Zostanę w mieście jeszcze kilka dni, spróbuję poukładać sprawy i uratować Jonathana przed nim samym. Ten dzieciak, jak będzie działał w takim tempie, doczeka się wydziedziczenia, a ja nie chcę, żeby cały ten biznes z byciem dziedzicem spadł znowu na mnie. Tak czy owak, wpadaj, kiedy zechcesz, i zabierz ze sobą narzeczoną.

Sean znika za rogiem, a po kilku chwilach słyszymy ryk motocykla. Do tego

momentu wszyscy patrzymy na siebie tak, jakby Sean był jakimś obłąkanym Świętym Mikołajem.

Ja odzywam się pierwsza:

— No, to było nieoczekiwane i trochę dziwne.

— Nawet bardzo. Sean wszystkich nienawidzi, ale ty, zdaje się, podbiłaś jego serce. — Peter szczyplenie mnie w policzek i śmieje się, kiedy trzepię go po ręce. Pogodzenie się z Seanem to coś naprawdę zaskakującego.

— Założę się, że kupił nam jakąś ruderę z wygodką.

Tata odzywa się po raz pierwszy podczas tej całej rozmowy:

— Kiedy ostatnio sprawdzałem, na Sycamore nie było żadnych ruder. Myślę, że on naprawdę kupił wam prawdziwy dom.

Peter bierze mnie za rękę i przyciska do niej usta.

— Chcesz pojechać i zobaczyć swój nowy dom, Przyszła Pani Granz?

— Naturalnie. Muszę go zobaczyć, żeby uwierzyć. Jeśli Sean mnie lubi, to cała moja teoria o osi zła trochę się rozpada, bo Sean był jej główną podporą. — To każe mi się zastanowić, dlaczego Sean otoczył się tyłoma murami. Zupełnie jakby nie chciał, żeby ktoś spojrział w jego stronę, nie wspominając o zbliżeniu się.

Cała rodzina podąża za nami, gdy jedziemy pod adres zapisany wewnątrz pudełka. Sean wykaligrafował go na pokrywce wykwinnym pismem. Kiedy otworzyłam pudełko, nie wiedziałam, co to jest. Myślałam, że to adres sklepu, w którym kupił klucz, a nie adres naszego nowego domu.

Kiedy ja i Peter zatrzymujemy się przed nim, wygląda tak słodko, że nie mogę opanować podekscytowania. To małe Cape Cod. Dom jest szaro-biały, na drzwiach widnieje wielka niebieska kokarda. Frontowy ogródek jest przyozdobiony kwiatami, takimi, jakie hodowała moja matka. Stokrotki, niecierpki i duże liściaste funkcie są wszędzie. Wygląda, jakby Sean dosłownie skopiował ogródek mamy i go tu przeniósł. Zaciskam usta tak mocno, jak tylko potrafię, bojąc się, że się rozplacę.

Peter wyciąga mnie z samochodu i idziemy ręką w rękę po chodniku do drzwi.

— Klucz, pani Granz. — Podaję go i Peter otwiera drzwi.

Oglądam się na rośliny i na świeżo pomalowane ściany.

— Jak on to zrobił tak szybko?

Peter wzrusza ramionami.

— To Sean. Jak on robi cokolwiek? — Bierze moją rękę i zarzuca ją sobie na szyję, po czym mnie podnosi, a ja piszczę:

— Co robisz?

— No cóż, to będzie nasz dom. Muszę cię przenieść przez próg. Czy może ty wolisz przenieść mnie? — Szczerzy się do mnie.

— Przeniosę cię w dzień naszego ślubu.

— Umowa stoi. — Peter wnosi mnie do środka i zatrzymuje się. Dom jest piękny i w pełni umeblowany. Opada mi szczęka, nie ma szansy, żebym potrafiła to wszystko szybko w siebie wchłonąć. — Łał. — Peter obraca się wolno. Jest tam nowa kuchnia, wyposażona w sprzęty ze stali nierdzewnej, granitowe blaty i najfajniejsze barek, jaki kiedykolwiek widziałam. Ciemna posadzka przechodzi do salonu, w którym stoimy. Tutaj są puchata biała kanapa, wbudowane w ścianę regały na książki, narożny kominek i ogromny telewizor. Mój ojciec pomrukuje z aprobatą i siada na kanapie.

Peter znowu się obraca, tym razem w stronę wąskich schodów prowadzących do sypialni na górze.

— Chcesz pójść zobaczyć?

— Cholera, jasne, że tak. Po tym, co widziałam tutaj, mam ochotę tam pobiec. — Peter stawia mnie na podłodze i wchodzimy na górę. Są tam mała łazienka w korytarzu i śliczna druga sypialnia, z łóżkiem, szafką nocną i wygodnym fotelem. — Ale to ładne.

Peter uchyla drzwi do głównej sypialni i mówi:

— Będziesz zachwycona. — Podchodzę do niego i próbuję zajrzeć, ale przyciąga drzwi tak, żebym nie mogła nic zobaczyć. — Kiedy rozmawiałem z Seanem, wspomniałem mu o kilku rzeczach. Ale nie kazałem mu nic z tego zrobić. Wymyślił to sam z siebie.

Śmieję się nerwowo.

— Okej, zaczynasz mnie przerażać. — Peter uśmiecha się ciepło i otwiera drzwi. Stoję sparaliżowana w wejściu. — O mój Boże, jest piękna. — Wszędzie, gdzie spojrzę, jest idealnie. Pokój jest utrzymany w łagodnych barwach, dużo jasnego błękitu, wielka gruba biała sztukateria. Ciemna podłoga jest tak wypolerowana, że widzę w niej swoje odbicie. Pod ścianą stoi duże łóżko z tapicerowanym wezgłowiem nakrapianym maleńkimi błyszczącymi koralikami. Puchata pościel jest śnieżnobiała, a z sufitu do podłogi zwiesza się delikatna tkanina osłaniająca wezgłowie łóżka. W rogu stoi starodawny patefon. Podchodzę do niego wolno, myśląc, że to podróbka victroli, ale potem przyglądam się patefonowi uważniej. Pokazuję na niego. — O mój Boże! To autentyk!

Peter ogląda szafę wnękową — przynajmniej tak mi się wydaje, że to szafa.

— Przeczytaj, co jest napisane na płycie.

Zerkam na czarny krążek i piszcę.

— To Benny Goodman! Skąd on to wszystko wytrzasnął? — Uruchamiam patefon, uważając, żeby nie porysować płyty, i słyszę jedną z moich ulubionych piosenek. — O mój Boże, Peter. Czy może być bardziej idealnie?

— Nie wiem. Nie widziałas jeszcze tego pomieszczenia. — Wystawia głowę i dodaje: — Chodź, zerknij.

Przechodzę przez małe drzwi, myśląc, że za nimi jest schowek czy coś, i

rozdziawiam usta. Poddasze zostało przerobione na olbrzymią łazienkę. Pod świetlikiem stoi biała wanna na nogach. Ściany zastawione są białymi szafkami z dużymi lustrami zawieszonymi nad mosiężnymi umywalkami. Maleńkie jasnoniebieskie szklane kafelki błyszczą we wnękach w ścianach, a piękna olbrzymia kabina prysznicowa jest zagnieżdżona w rogu. Stoję tam i się gapię.

— Jak on znalazł czas na zrobienie tego wszystkiego?

Peter podchodzi do mnie z tyłu i obejmuje mnie w pasie.

— Oczywiście odpowiedź brzmi, że zaczął w wieczór, w który cię poznał, ale to wydaje się niewiarygodne, zważywszy na to, jak się zachowywał.

— Troszeczkę, taa...

— Powiedziałem mu, że chcę się z tobą ożenić, że jesteś tą jedyną. Od samego początku wiedział, że traktuję cię poważnie. — Peter odwraca mnie. — Dał nam niezmierny prezent.

Kiwam głową i uśmiecham się.

— To oznacza, że nie muszę zostawiać taty i że ty i ja możemy zacząć od nowa, tylko co z pracą?

Peter puszcza mnie i z tylnej kieszeni wyciąga telefon. Mówiąc, stuka w ekran.

— Ponieważ będziemy dzielić konto bankowe, powinnaś wiedzieć, jak wygląda nasza sytuacja finansowa. Proszę... — podaje mi telefon — spójrz.

Spoglądam na ekran. Mrugam kilka razy, myśląc, że źle widzę. Kiedy podnoszę wzrok, Peter się uśmiecha.

— Mówiłeś, że jesteś spłukany. — Nie rozumiem. Peter ma mnóstwo kasy. Nie musi pracować, jeśli by nie chciał, i to nigdy. Na jego koncie jest więcej pieniędzy niż suma, jaką zaproponował mi Sean w domu jego rodziców.

— Powiedziałem, że nie jestem dziedzicem i że to nic nie szkodzi. I tak jest. Zainwestowałem swój fundusz i dobrze na tym wyszedłem. Utrzymywałem się z pensji, więc suma na koncie rosła. Nie jestem tak bogaty jak Sean czy Jon, ale daleko mi do bycia spłukanym. — Peter szczyrzy się do mnie. — Mówiłem ci, że się tobą zaopiekuję. Naprawdę myślałaś, że nic nie mam?

Kiwam głową i wywracam oczami.

— No taa... W swoim salonie w Teksasie miałaś meble z płyty wiórowej. Wyglądał bardziej jak pokój w akademiku niż w mieszkaniu profesora.

Wzrusza ramionami.

— To mieszkanie nie było dla mnie domem, więc go nie urządziłem. Nie było po co, przynajmniej do chwili, gdy cię poznałem.

— Czyli ty nie musisz pracować? — Peter kręci głową. — Ale założę się, że chcesz uczyć.

Kiwa głową i zbliża się do mnie.

— Taa, lubię być w klasie.

— Musimy coś w tej sprawie zrobić.

— Tak naprawdę — mówi i spogląda na mnie spod tych swoich ciemnych rzęs — to ja już mam pracę. Pamiętasz, jak wspominałem, że Jon jest popędliwy? Cóż, kupił coś w tej okolicy kilka lat temu.

— Co takiego kupił?

— Prywatną szkołę. Próbował zaimponować gorącej lasce.

— Jak chyba wszyscy, no nie? — Nie potrafię sobie wyobrazić, jak coś takiego mogłoby zaimponować jakiejś dziewczynie, ale jakoś to pasuje do tego, co Sean i Peter mówili o najmłodszym Ferro.

Peter śmieje się i mówi:

— Szkoła Jonathana Ferro znajduje się godzinę drogi stąd i potrzebuje nauczyciela angielskiego.

— Czyżby, profesorze?

Peter kiwa głową.

— Po tym jak moja matka wypadła jak burza z jadalni, Jon powiedział, że zrobi ze mnie króla, jeśli tylko pomogę mu uporać się z matką i z jego ostatnią inwestycją. Kiedy się zorientowałem, gdzie szkoła jest zlokalizowana, zgodziłem się. Jediną przeszkodą w moim podstępym wielkim planie było to, że będziesz chciała wracać do Teksasu albo że może nie zgodzisz się przyjąć moich oświadczeń. Byłem przekonany, że indyk pożre pierścionek. A przy okazji... chodź, zobacz. — Peter podchodzi do okna i odsuwa zasłonkę.

Patrzę w dół i tuż obok patio widzę ogromną grzędę, na której siedzi wielki czarny ptak.

— Ach, Sean przywiózł Pana Indyka.

— No to jak... — Peter odwraca się do mnie. — Zostajemy tutaj czy wracamy do Teksasu?

To chyba dobry moment na nowy początek, w idealnym miejscu, w idealnym domu i z idealnym przyszłym mężem.

Peter obejmuje mnie, spuszcza głowę i mnie całuje. Potem się odsuwa i mówi:

— Kocham cię, Sidney Colleli.

— Ja też cię kocham, Peterze Granz. A teraz daj mi trochę tej „kawy”, o której tyle mówiłeś.

## **Spis treści**

Rozdział 1. Rozdział 2. Rozdział 3. Rozdział 4. Rozdział 5. Rozdział 6. Rozdział 7. Rozdział 8. Rozdział 9. Rozdział 10. Rozdział 11. Rozdział 12. Rozdział 13. Rozdział 14. Rozdział 15. Rozdział 16. Rozdział 17. Rozdział 18. Rozdział 19. Rozdział 20. Rozdział 21. Rozdział 22. Rozdział 23. Rozdział 24. Rozdział 25. Rozdział 26. Rozdział 27.

